tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 15 (1214)
11-16.04.2023
Cena 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

PAWEŁ SIERGIEJCZYK
DWÓCH WROGÓW KACZYŃSKIEGO

ILE KOSZTUJE OTWARTA GRANICA Z UKRAINĄ

TIKTOK OGŁUPIA, INWIGILUJE

ZAMACH NA KUŹNICĘ NA MIERZEI HELSKIEJ

PROF. CEZARY SZCZYLIK

NIE MUSIMY PRZEGRYWAĆ Z RAKIEM

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
15 >
9 771509 311300

eprasa.pl 66d62a834a

MIĘDZYNARODOWE TARGI KSIĄŻKI W WARSZAWIE

UKRAINA – GOŚĆ HONOROWY

targiksiazkiwarszawa.pl

25-28 maja 2023 r.
PKiN
i plac
Defilad

Organizator

Gość Honorowy

Patronat honorowy

Patronat honorowy

Wydarzenia towarzyszące

Patronat medialny

eprasa.pl 66d62a834a

Jerzy Domański

Pomożecie?

Ten komentarz jest nietypowy, bo i sprawa wykracza poza to, o czym zwykle piszę. W normalnym czasie byłoby o wizycie prezydenta Zełenskiego i, szerzej, o coraz większych problemach, które mamy w związku z wojną na Ukrainie. Niestety, zamiast tego muszę napisać o sytuacji, w jakiej znalazła się nasza redakcja. Odwlekałem ten moment, ile się dało. Próbowaliśmy różnych sposobów, by kryzys finansowy, w jakim znalazł się tygodnik, rozwiązać własnymi siłami. Chcemy uniknąć tego, co robią nawet te tygodniki, które za popieranie PiS dostają reklamy o wartości dziesiątków milionów złotych, czyli podnoszenia ceny. Nasz tygodnik kupuje w znacznej mierze ta część inteligencji, której finansowo nie powodzi się najlepiej. A książki i gazety są dla niej artykułami pierwszej potrzeby. Nie chcę, by w dobie szalejącej inflacji i coraz chudszych portfeli stała przed wyborem: kupić „Przegląd" czy coś bardziej potrzebnego do życia.

Będzie nam ciężko, sytuacja bytowa ludzi w Polsce nie poprawi się w ciągu tego, a pewnie i następnego roku. Przed nami bardzo trudne miesiące. Rządzący Polską układ tak się przyzwyczaił do grabienia pieniędzy z budżetu, że najbliższe wybory będą dla niego walką o przeżycie.

Opozycyjne media, choć coraz bardziej marginalizowane, skupiają wokół siebie ludzi, którzy chcą realnej zmiany.

„Przegląd" od początku jest pismem wspólnotowym. Na polskim rynku unikatowym. Mamy wielu wybitnych autorów. Z ich komentarzami identyfikuje się wielu czytelników. Tym bardziej wierzę, że warto pomyśleć, jak obronić instytucję, która zgromadziła setki mądrych ludzi. Jest to znakomity kapitał do wykorzystania w książkach, debatach i publicystyce. Tyle że nie przekłada się to na efekt finansowy. Z pewnością nie możemy liczyć na wsparcie instytucji państwowych. Dla nich wyeliminowanie z rynku „Przeglądu" to spokojniejsze poniedziałki.

Co możemy, to budować fundację, opierając się na naszych czytelnikach i sympatykach. Mamy bardzo zaawansowane prace nad kolejnymi książkami i wkładkami historycznymi. Na finiszu jest nowa strona internetowa oraz bardzo ciekawe archiwum. Mógłbym dużo pisać o innych pomysłach, ale by je zrealizować, musimy prosić czytelników o wsparcie. Zarówno logistyczne, pomagające tak zorganizować fundację, by mogła realizować swoje zadania mimo barier i kłopotów, jak i merytoryczne. Bez ograniczania pomysłów. A przede wszystkim finansowe w postaci stałych wpłat, nawet symbolicznych kwot. Im więcej osób odpowie na ten apel, tym łatwiej będzie nam utrzymać tygodnik na rynku. Zainteresowanych pomocą zapraszam do utworzenia Klubu Przeglądu. Wszelkich darczyńców do Rady Fundacji i do Zespołu Programowego. Nie zmarnujemy nawet jednego grosza.

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

BĄKOWSKI

PRZEGLĄD na LinkedIn

Prowadzisz firmę?

Interesują Cię tematy poruszane w tygodniku?

Chcesz poznać nowe inicjatywy PRZEGLĄDU?

Nawiąż z nami kontakt biznesowy przez LinkedIn

eprasa.pl 66d62a834a

W NUMERZE

KRAJ
8 Nie musimy przegrywać z rakiem
– rozmowa z prof. Cezarym Szczylikiem
12 Ile kosztuje otwarta granica
To nie koniec problemów rolników
15 Zamach na Kuźnicę
Odgrodzeni murem od zatoki

OPINIE
20 Paweł Siergiejczyk
Dwóch wrogów Kaczyńskiego

GLOBALNY PUNKT WIDZENIA
23 Inflacja chciwych
Jak firmy podnoszą ceny

ZAGRANICA
26 TikTok – Chiny widzą wszystko
Aplikacja do inwigilacji
29 Realia po okupacji
Korespondencja z Chersonia
32 Samotne i wykorzystywane
Korespondencja z USA
36 Nie dla wszystkich Paryż płonie
Korespondencja z Francji
40 Skradziona tożsamość
Dekolonizacja europejskich muzeów

KULTURA
44 Nowa przeszłość
Czy należy aktualizować książki
48 Marmur nie wybacza pośpiechu
Wspomnienie o Igorze Mitoraju
53 Qulturalia
66 Baśniowe Światy

ZWIERZĘTA
54 Dzikość zagrożona
Korespondencja z RPA

OBSERWACJE
58 W Rajskim Zakątku Gambii
60 Potencjał bratka
Sezon w rozkwicie

FELIETONY I KOMENTARZE
3 Jerzy Domański
Pomożecie?
19 Jan Widacki
Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie
39 Andrzej Romanowski
Szymszon i Gusta
43 Roman Kurkiewicz
Język wojenny już mamy
47 Tomasz Jastrun
Rozsupływanie duszy
57 Wojciech Kuczok
Dni świrów

36
ZAGRANICA

NIE DLA WSZYSTKICH PARYŻ PŁONIE
Korespondencja z Francji

54
ZWIERZĘTA

DZIKOŚĆ ZAGROŻONA
Korespondencja z RPA

60
OBSERWACJE

POTENCJAŁ BRATKA
Sezon w rozkwicie

Projekt okładki: Daria Słowińska-Kettner

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 66d62a834a

Konfederacja – trzecia siła czy sondażowa anomalia?

Trzecia siła czy sondażowa anomalia?
Skąd się biorą sukcesy Konfederacji

Sławomir Mentzen jest sto razy bardziej niebezpieczny niż Janusz Korwin-Mikke i Grzegorz Braun razem wzięci. On ma umiejętność kamuflowania swoich poglądów w zależności od otoczenia, w jakim się znajduje. *Aśka Olszówka*

•

Po pierwsze, konfederaci pozują na antysystem, a po drugie – dystansują się od wojny na Ukrainie. Społeczeństwo jest zmęczone i obecnym systemem, i wojną, stąd rosnące poparcie. *Konrad Kawa*

•

Konfederacja jawi się jako antysystemowa, a ludzie młodzi lubią antysystemowość. *Tomasz Marek Sosnowski*

•

Lewica mogła iść tą drogą, ale nie poszła. Mniejsza o to, czy z głupoty, czy z jakiegokolwiek innego powodu.

Krzysztof Derebecki

Ostrożnie, Ukraina!

Ostrożnie, Ukraina!
Co wynika z napaści Putina dla Rosji, Europy i świata – polemika z Anne Applebaum

Od samego początku było wiadomo, że wojna na Ukrainie nie jest nasza, a pod żadnym pozorem nie powinniśmy w niej pomagać. Wiadomo od zawsze, a powiedziała to ostatnio w niemieckim parlamencie posłanka Die Linke Sevim Dagdelen, że USA potrzebują nie sojuszników, tylko wasali. Cała Unia Europejska to wasale, bez prawa głosu, a jedyny istotny głos mają USA. Jak powiedział gen. Mark Milley, przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów, „wojna na Ukrainie jest ważna dla interesów USA". Dla nich ważna, a dla nas zgubna. Wyłożyliśmy miliardy, których nikt nie odda, a sami do bogatych nie należymy. Przy zmieniającym się obecnie świecie na sukcesy raczej nie mamy co liczyć. *Andrzej Kościański*

Ile Kaczyńskiego w PiS, ile PiS w Kaczyńskim?

Ile Kaczyńskiego w PiS, ile PiS w Kaczyńskim?

W Polsce jedyny model partii to ten wodzowski. PiS nie jest tu wyjątkiem, bo reszta działa w ten sam sposób.

Andrzej Młynarczyk

Episkopat i dyktatura

Mateusz Mazzini w książce „Koniec tęczy. Chile po Pinochecie" potwierdza przypuszczenie o udziale papiestwa w finansowaniu przez CIA przewrotu w Chile i o czynnym uczestnictwie „emisariuszy" Watykanu tam, gdzie polityka USA miała swoje interesy. W Chile był kard. Sodano, w Polsce abp Kowalczyk. Watykan jawi się jako byt zdecydowanie polityczny, w znacznie mniejszym stopniu duchowy. Kościół katolicki nietęgo na tym wychodzi, bo traci rząd dusz – w Chile, Irlandii, Hiszpanii, Austrii, także w Polsce. Artykuł przypomniał mi niesławną pielgrzymkę do Pinocheta Tomasza Wołka i Michała Kamińskiego plus jeszcze dwóch panów. Jako piąty wystąpił ryngraf.

Episkopat i dyktatura

Ewa Wesołowska

ZDJĘCIE TYGODNIA

Panie pozwolą – Wołodymyr Zełenski i Andrzej Duda z żonami podczas oficjalnej wizyty prezydenta Ukrainy w Polsce. Warszawa, 5 kwietnia 2023 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 66d62a834a

W czasie wizyty w Polsce **prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski** został odznaczony Orderem Orła Białego. Przyszłość pokaże, czy nasze relacje dalej będą się sprowadzać do tego, że Polska daje, co tylko może, a Ukraina skromnie reaguje na nasze prośby.

•

Henryk Kowalczyk, wicepremier i minister rolnictwa, podał się do dymisji. Zbyt późno. Bo straty, jakie poniosło polskie rolnictwo z powodu jego indolencji, trzeba liczyć w miliardach złotych. A przez otwartą granicę z Ukrainą ciągle przejeżdżają towary bez kontroli.

•

Wybór **Józefa Michalika, arcybiskupa seniora z Przemyśla**, na wygłaszającego homilię w finale marszu papieskiego w Warszawie jest dla ofiar księży pedofilów bolesną prowokacją. Abp Michalik latami krył Michała M., proboszcza z Tylawy, który przez 30 lat molestował małe dziewczynki. I mimo wyroku sądowego pozwalał mu mieszkać w Tylawie.

•

Damian Muskus, biskup pomocniczy archidiecezji krakowskiej, powiedział, że ani trzymanie w dłoni obrazka z wizerunkiem Jana Pawła II, ani wieszanie go na ścianach instytucji publicznych nie odmieni oblicza tej ziemi.

•

Hanna Krall, wybitna pisarka i reporterka, została honorową ambasadorką akcji „Żonkile" organizowanej przez Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN w 80. rocznicę wybuchu powstania w getcie warszawskim.

•

O 170 osób rozrosła się kancelaria premiera, od czasu gdy w 2015 r. nastały rządy dojnej zmiany.

•

Pracownikom kancelarii prezydenta Dudy inflacja niestraszna. Dostali godziwe podwyżki płac. Dyrektorzy zarobią o 16% więcej (**„Rzeczpospolita"**).

•

Mało kto w kraju wie, że w 2022 r. Polska sprowadziła z Rosji gaz płynny (LPG) za ponad 700 mln euro. Jesteśmy największym importerem tego gazu w Unii Europejskiej. Decyduje cena, bo inne warianty importu LPG plus nowa logistyka są dużo droższe od gazu rosyjskiego.

•

Zdaniem Wiesława Gryna, jednego z liderów stowarzyszenia Oszukana Wieś, które protestuje przeciwko polityce rolnej rządu, ponad połowa uczestników protestów to wyborcy PiS.

•

460 pieszych zginęło w 2022 r., z tego 145 na wyznaczonych dla nich przejściach. W 2021 r. zginęło więcej, bo 527 pieszych. Najczęściej piesi byli ofiarami w województwie mazowieckim, śląskim i małopolskim.

•

Centrum Nauki Kopernik w Warszawie otworzyło Pracownię Przewrotu Kopernikańskiego, w której zgromadzono 1,5 tys. najnowocześniejszych przyrządów, m.in. roboty przemysłowe, drukarki 3D i mikroskopy.

•

Badania nad snem Polaków przeprowadzone przez UCE Research pokazują, że 30% cierpi na przewlekłą bezsenność. A 26% Polek i Polaków uważa, że ich bezsenność wynika ze stresu, z którym nie umieją sobie poradzić.

PRZEBŁYSKI

Kukiz na Wrocław?

Kto jest największym wrogiem polityka? Jeśli myślicie, że ktoś z innej partii, błądzicie. Największe zło to konkurent do miejsca na liście wyborczej. Zakulisowa wojna o jedynki to walka, w której jeńców się nie bierze. Jedynka na liście jest jedna, a chętnych wielu. Gorąco będzie we Wrocławiu, gdzie dojna zmiana chce obsadzić Pawła Kukiza. Bo w Opolu za gęsto od chętnych. I w Kielcach, na które szykuje się Piotr Wawrzyk, wiceminister spraw zagranicznych. O Olsztyn rywalizuje Olga Semeniuk-Patkowska z Błażejem Pobożym. Miejscowi mają ich już po czubek głowy. Bo jeżdżą tam na okrągło i mizdrzą się do lokalsów.

Kościelny siedzi

Ministrant musi być szczególnie czujny. Problemem może być nawet kościelny. W Regulicach koło Alwerni kościelny Karol B. wysyłał ministrantowi swoje nagie zdjęcia. A jak była okazja, to łapał go za miejsca intymne i proponował seks. Chłopak poprosił kolegów i ci zrobili zasadzkę na pedofila. Sąd Rejonowy w Chrzanowie był dość wyrozumiały i skazał kościelnego tylko na 18 miesięcy więzienia i zapłatę 10 tys. zł poszkodowanemu. Przy okazji robotę stracił proboszcz parafii św. Wawrzyńca w Regulicach. Zażądali tego parafianie. I metropolita krakowski uległ groźbom, że jak proboszcza nie odwoła, to nie będą posyłali dzieci na religię.

Dymy wokół biskupa

Nad sosnowiecką diecezją co i rusz unoszą się czarne dymy. I specyficzny zapaszek. Coś między seksem a grzechem. Czyli zakazaną przez Kościół męską miłością. I tak od 2009 r., gdy w Sosnowcu osiadł bp Grzegorz Kaszak. Autor pracy „Odpowiedzialna miłość i antykoncepcja w katechezach Jana Pawła II".

Zanim się dorobił sakry biskupiej, swoje przeszedł. Grzegorz Kaszak w latach 1992-2002 jeszcze jako ksiądz pracował w Watykanie, w papieskiej Radzie ds. Rodziny. Musiał tam czymś się wyróżniać, bo został sekretarzem kard. Alfonsa Lópeza Trujilla. Tak, tego, co ostro wojował z gejami i prezerwatywami. A sam był bardzo aktywnym gejem z długą listą kochanków.

Cóż można tu jeszcze napisać… Że za bp. Kaszaka nad Sosnowcem będzie ciągle dymiło.

Gryglasa pociąg do pleców

Wydawało się, że po wielu kompromitacjach zniknął na zawsze. Ale gdzież tam. Zbigniew Gryglas pojawił się na łamach „Rzeczpospolitej". Jako obrońca Jana Pawła II ogłosił: „Nie zdezerterujemy". Tego akurat jesteśmy pewni. Dopóki można ojczyznę doić, chętnych nie zabraknie. Gryglas będzie bronił papieża razem z emigracją. Z Polakami z Chicago. Pasuje tam jak ulał. Zwłaszcza z opaską Narodowych Sił Zbrojnych, którą założył na występ w Sejmie. Ale zanim Gryglas dokonał tego coming outu, przeszedł długą drogę. Do Sejmu trafił w barwach Nowoczesnej, na plecach Petru (129 tys. głosów, podczas gdy na Gryglasa zagłosowało… 1011 wyborców). Od Petru trafił do Gowina, a później do Kaczyńskiego. Za posadę jednego z ośmiu wiceministrów aktywów państwowych. Do końca lipca 2022 r. zarabiał na ośmiorniczki w Polskim Holdingu Hotelowym. A teraz pewnie liczy, że na kolejnych plecach wdrapie się na nową tłustą posadę. Taka droga. Od Petru do papieża.

FOT. YOU TUBE (3)

eprasa.pl 66d62a834a

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

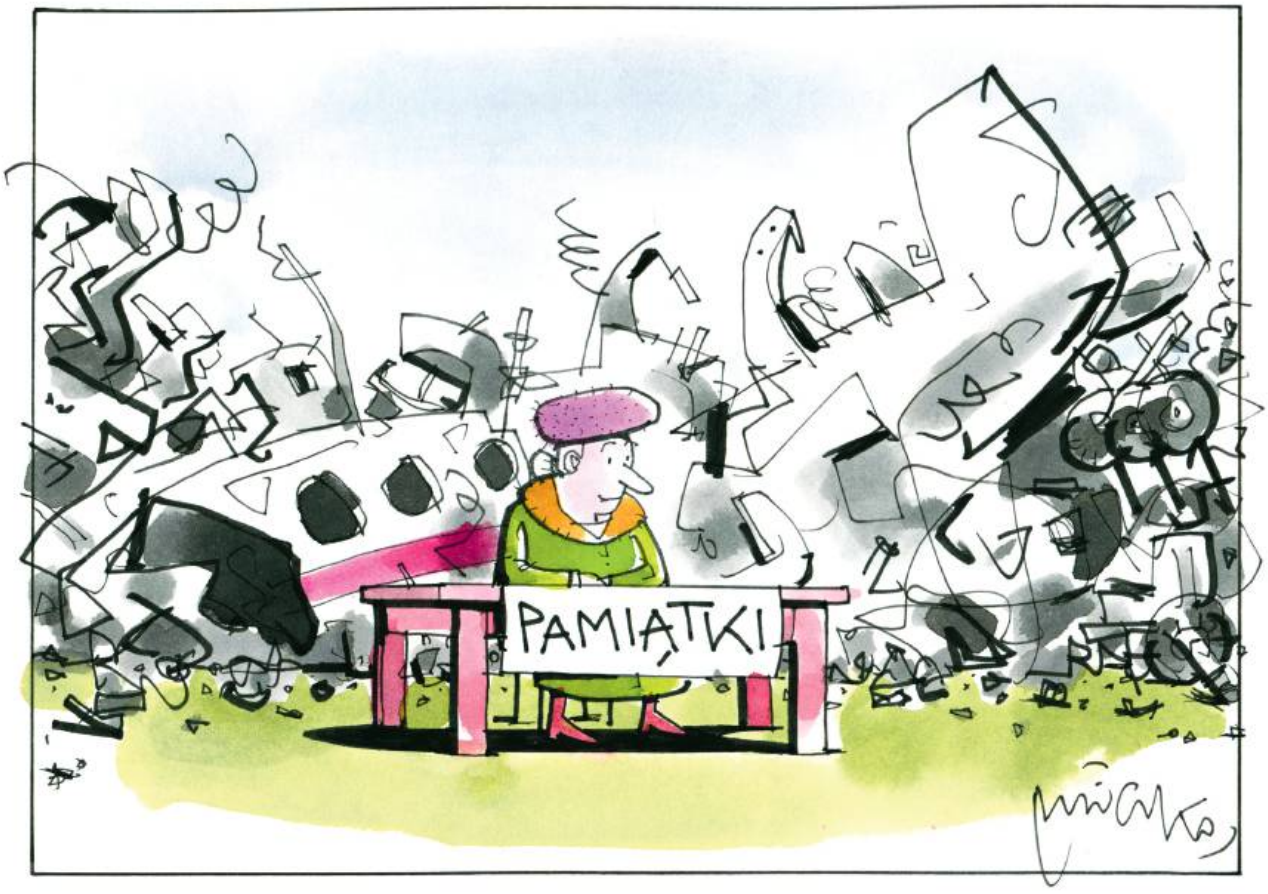

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Jak walczyć z marnowaniem żywności?

KATARZYNA BILEWSKA, *Greenpeace Polska*

Przekraczamy kolejne granice produktywności i wytrzymałości naszej planety. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebujemy w dobie kryzysu klimatycznego i przyrodniczego, jest systemowe i masowe marnowanie żywności. FAO, odpowiadająca z ramienia ONZ za kwestie wyżywienia, szacuje, że ludzkość marnuje aż jedną trzecią żywności wyprodukowanej na świecie. Znaczna jej część wciąż nadaje się do spożycia. Skala jest tak olbrzymia przez wadliwie skonstruowany system dystrybucji. Polskie sklepy tonami wyrzucają zdatne do spożycia produkty, dodatkowo zamykając śmietniki na kłódkę i uniemożliwiając osobom zainteresowanym wykorzystanie niesprzedanej żywności. Nie możemy zapominać o tym, że produkcja i dystrybucja żywności pochłania sporo zasobów: wody, energii elektrycznej, opakowań, paliwa do transportu itd. To w dużej mierze dodatkowo obciąża i tak już mocno wyeksploatowaną Ziemię.

JOANNA KĄDZIOŁKA, *Polskie Stowarzyszenie Zero Waste*

Po pierwsze, trzeba zmniejszyć straty, które powstają na etapie produkcji i dystrybucji żywności. Poważnym problemem jest także to, jak konsumujemy – według raportu Federacji Banków Żywności wyrzucamy rocznie aż 5 mln ton jedzenia, a gospodarstwa domowe mają w tym udział na poziomie aż 60%. Dlatego tak ważne jest podejmowanie działań na poziomie indywidualnym. Coraz popularniejsze stają się jadłodzielnie, dzięki którym mamy możliwość dzielenia się jedzeniem. Dobrym trendem jest to, że tworzą je dzisiaj nie tylko osoby prywatne, ale i gminy. Warto też planować z wyprzedzeniem posiłki, bo to ogranicza listę zakupów do niezbędnych produktów, oraz sprawdzać to, co już mamy w lodówce i szafkach. Mamy również w Polsce ustawę o niemarnowaniu żywności, która obliguje obiekty handlowe o powierzchni powyżej 250 m kw. do przekazywania żywności organizacjom pozarządowym. Bywa z tym różnie, co widzimy na freegańskich grupach na Facebooku, jednak nadal sporym problemem są mniejsze sklepy, od których takich aktywności się nie wymaga.

ANITA KUPNIEWSKA, *freeganka*

Mieszkam w Katowicach, gdzie przez lata większość śmietników przy dyskontach była otwarta. Niedawno niestety to się zmieniło. Jest to o tyle ciekawe, że stało się w trudnym dla wszystkich roku. W śmietnikach jedzenia szukają nie tylko osoby w kryzysie. Dziś przy kontenerze można spotkać osoby, które po prostu buntują się przeciwko wyrzucaniu jedzenia. A pożywienia marnuje się mnóstwo. Z niektórych wypadów przywoziliśmy żywności na dwa tygodnie. W większości są to warzywa i owoce, które nie wyglądają jak w telewizji, np. banany z brązową skórką, o których część klientów myśli, że się zepsuły. W czasach, gdy był jeszcze łatwy dostęp do sklepowych kontenerów, śmiałam się, że do sklepu wchodzę tylko po te rzeczy, których zabrakło w śmietniku.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

eprasa.pl 66d62a834a

Nie musimy przegrywać z rakiem

Rocznie umiera 110 tys. pacjentów z chorobą onkologiczną, a przynajmniej 30 tys. z nich mogłoby żyć

PROF. CEZARY SZCZYLIK

Rozmawiają Robert Walenciak i Kornel Wawrzyniak

Panie profesorze, jak pan ocenia program Krajowej Sieci Onkologicznej?

– Na razie nie można na ten temat nic powiedzieć. Przypomnę, że Ministerstwo Zdrowia trzy lata temu wyasygnowało kwotę ok. 40 mln zł na program pilotażowy. Zdecydowano, że będzie on prowadzony w dwóch ośrodkach. Nie wiem, dlaczego akurat te dwa ośrodki wybrano, ale wszystko jedno... Byłem świadkiem raportowania efektu programu pilotażowego w senackiej Komisji Zdrowia, w obecności pięciu profesorów onkologii, przedstawicieli sejmowej Komisji Zdrowia i organizacji pacjentów onkologicznych. Program i jego wyniki przedstawiał nam profesor, który prowadził go przez trzy lata. Słuchałem uważnie. W tej prezentacji nie było ani jednego konkretu, ani jednej liczby. Wydano 40 mln zł, a nam, członkom grupy ekspertów i komisji senackiej, nie przedstawiono wyników pilotażu ani nie powiedziano, na co te pieniądze zostały wydane. A przecież na podstawie tego programu zadecydowano o starcie Krajowej Sieci Onkologicznej!

Trochę w ciemno.

– Z jednej strony, rozumiem ministra zdrowia, który chciałby, żeby system opieki onkologicznej w Polsce funkcjonował jak najsprawniej, żeby umierało mniej ludzi. Ale z drugiej, nie mogę nie zauważyć, że program KSO jest niepełny. Skupia się, co też jest ważne, przede wszystkim na kwestii finansowania systemu, ale nie rozwiązuje problemów wczesnego rozpoznawania i diagnostyki nowotworów w Polsce.

Zastałem tam zgniłe deski

A to kluczowa sprawa w leczeniu nowotworów.

– Od tego jest ścieżka DiLO – diagnostyki i leczenia onkologicznego. Według danych fundacji Alivia czas od rozpoznania do leczenia w ostatnich latach się skrócił. Podobne dane podaje NFZ. Natomiast problemem pozostaje nie tylko skrócenie czasu do tomografii, rezonansu, ich opisu i biopsji, bo ten proces idzie powoli w dobrym kierunku, ale przede wszystkim oczekiwanie na rozpoczęcie leczenia pacjenta po rozpoznaniu choroby onkologicznej. Trwa ono nawet powyżej miesiąca! NFZ może więc mówić, że diagnostyka się poprawia, ale co z tego, skoro w momencie, kiedy ma dojść do leczenia, pacjent musi czekać?

Na chemię, na radioterapię...

– Kiedyś wydawało się, że mamy wystarczającą liczbę urządzeń do radioterapii. Ale to było kiedyś, bo w tej chwili, według analiz europejskich, mamy za mało aparatów i za mało ludzi, którzy je obsługują. Radioterapia to nie tylko bunkry, które trzeba wybudować, i aparaty, które można kupić, lecz także technicy, fizycy, radioterapeuci, fachowcy. Ale nie chcę wypowiadać się na temat radioterapii, bo nie jestem kompetentny.

Pan?

– Owszem, zdarzyło mi się zbudować jeden ośrodek, od dołu do góry, naprawdę jako wzorcowy. To było po powrocie ze Stanów Zjednoczonych, wtedy sobie obiecałem, że wybuduję prawdziwą onkologię na terenie szpitala na Szaserów, i to zrobiłem. A zastałem tam zgniłe deski w sanitariatach, wspólnych dla kobiet i dla mężczyzn, i 12 łóżek. W to miejsce powstał superośrodek z radioterapią na najwyższym poziomie, z salami wykładowymi, z laboratorium, które ma 700 m kw., i z międzynarodową obsadą.

Zbierał pan gratulacje?

– W momencie otwarcia musiałem odejść. Gdy otwierano ten ośrodek, z udziałem prezydenta, ministra zdrowia i wojewody, moje nazwisko w ogóle nie padło, poproszono mnie tylko o wygłoszenie wykładu na temat współczesnej terapii onkologicznej. OK! Takie są losy, ale to też jest Polska. Trzeba się uczyć adaptować do tego kraju, w którym się jest.

eprasa.pl 66d62a834a

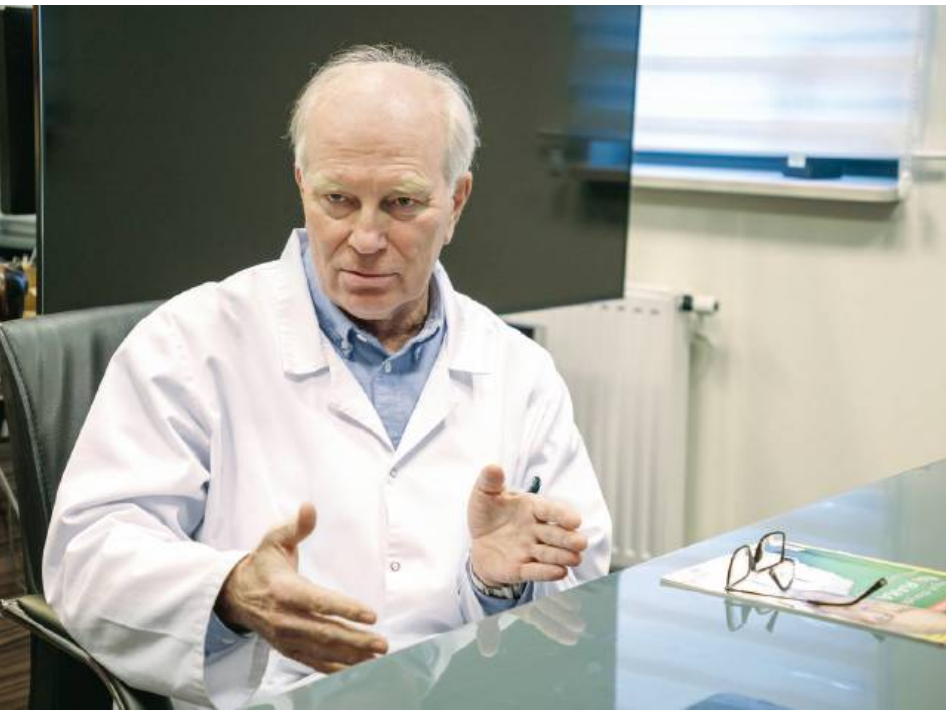

Nie wszyscy to potrafią.

– Sami przecież wiecie, jak się rozkładają w tym kraju głosowania. Nie głosuje się na kogoś, kto rozwiązał problem opieki zdrowotnej, tylko na tego, kto sypnie kasą. I to jest jedyny argument.

Bardzo skuteczny argument.

– A do tego wyciąga się w odpowiednich momentach różne oskarżenia. Prowadzi się kampanie polityczne wyłącznie po to, żeby kogoś zdyskredytować, a nie żeby rozwiązać problem. W Polsce toczą się debaty polityczne o niszczeniu siebie nawzajem, powinny zaś o tym, jak budować, a nie wzajemnie na siebie szczuć. Nie zajdziemy daleko w społeczeństwie, w którym klasa polityczna jest aż tak zepsuta.

Dlaczego wyjeżdżają?

Irytuje pana, że politycy, zamiast pracować nad systemem ochrony zdrowia, wolą, dla odwrócenia uwagi, robić show, atakować lekarzy?

– Nieżyjący Ludwik Dorn walczył z nami powiedzonkiem „Pokaż lekarzu, co masz w garażu". Straszył też wzięciem nas w kamasze. I choć od tych gróźb minęło wiele lat, nadal dobrze obrazują, jakie podejście mają politycy do systemu opieki zdrowotnej i w jaki sposób rozumieją jego funkcjonowanie. Za każdy kryzys w systemie opieki zdrowotnej odpowiedzialnością najczęściej obarczani są lekarze.

Wygląda na to, że rządzący ustawili sobie lekarzy w roli wrogów.

– Migrują nam lekarze! Dlaczego wyjeżdżają? Dlatego, że czujemy się jak chłopcy do bicia, jak grupa zawodowa, której przy każdej okazji wyciąga się jakieś pojedyncze przypadki, żeby hałasem odsunąć termin rozwiązania problemów do czasu kolejnej debaty przedwyborczej.

Bo jak je rozwiązać...

– Problem ochrony zdrowia w Polsce to problem ponadpartyjny. Oczywiście możemy się spierać o to, jak szczegółowo ma wyglądać finansowanie, i prowadzić nad tym debatę publiczną. Tak, by ustalić w niej, która ścieżka jest do udźwignięcia przez budżet i przez społeczeństwo. I to w sposób zrozumiały, a nie zamataczony cyframi. Tak było wielokrotnie, mówiono, że nakłady wzrosły, a faktycznie nie rosły. Dziś rządzący pokazują, że na ochronę zdrowia idzie 6,8%, ale realnie to jest 6%. Bo jeśli policzymy realny wzrost kosztów finansowania, to postępu nie ma.

Bo wszystko drożeje?

– Rosną koszty leczenia, więc jesteśmy w tym samym punkcie. Mówię o pensjach personelu medycznego i o kosztach, które generuje sam system.

Drogi sprzęt, droższe leki, droższe procedury...

– Dlatego powinno się dojść do politycznego kompromisu – ochrona zdrowia nie jest dobrem jednej partii, to dobro ogólne. I winno ono łączyć tę politykę, której celem powinno być budowanie planu opieki zdrowotnej na 20 lat do przodu.

Zdarzało im się przyjąć 70 osób dziennie

Jak ten plan wyznaczyć?

– Ścieżki dochodzenia do tego, przed chwilą o tym mówiłem, powinny być przedstawione w debacie publicznej. Zostałem zaproszony przez pana marszałka Tomasza Grodzkiego do grona ekspertów senackiej Komisji Zdrowia. Oczywiście przyjąłem zaproszenie, choć nie biorę w posiedzeniach udziału, bo nie jestem ekspertem od organizacji systemu zdrowia. Mogę natomiast powiedzieć, że toczy się tam merytoryczna praca i że powstały dokumenty, które mogą być platformą do

Prof. dr hab. n. med. Cezary Szczylik – ordynator Oddziału Onkologii Klinicznej i Chemioterapii Europejskiego Centrum Zdrowia Otwock, specjalista onkologii klinicznej, chemioterapii nowotworów i chorób wewnętrznych. Przez 40 lat związany był z Wojskowym Instytutem Medycznym, z czego przez 24 lata jako kierownik Kliniki Onkologii. Prezes Fundacji Onkologii Doświadczalnej i Klinicznej. Współzałożyciel Studium Medycyny Molekularnej. Członek Rady Programowej Fundacji Jolanty Kwaśniewskiej Porozumienie bez Barier. Kierownik Kliniki Onkologii Centrum Medycznego Kształcenia Podyplomowego i członek Rady Naukowej CMKP. W dorobku profesora znajduje się ponad 150 prac naukowych, opublikowanych w „Science", „The New England Journal of Medicine" czy „Journal of Experimental Medicine".

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 66d62a834a

narodowej dyskusji. Wskazują one, w jaki sposób reformować system opieki zdrowotnej, jak rzeczywiście liczyć potrzeby łóżkowe, jakie są realne koszty funkcjonowania systemu ochrony zdrowia. Mogą być podstawą do ustalenia, co jest priorytetem dla społeczeństwa.

Eksperci ustalą jedno, a zaraz w swoje ręce wezmą to politycy i znów nic z tego nie będzie.

– Rozumiem wahania co do wyboru kształtu takiego systemu. Można się zdecydować na dominację Narodowego Funduszu Zdrowia lub odwrotnie, na budowanie niezależnych systemów ubezpieczeń, żebyśmy mogli sobie wybrać ubezpieczalnię. Taki jest system holenderski, w którym kilkanaście ubezpieczalni rywalizuje o pacjentów. Konkurencja to też metoda obniżenia kosztów.

A panu bliżej do którego wariantu?

– Narodowy Fundusz Zdrowia jest trudnym rozwiązaniem, kreującym monopol decyzyjny, stąd także niedoszacowanie kosztów usług podyktowane szczupłością budżetu i zbyt niskim finansowaniem systemu ochrony zdrowia. Wiąże się z tym słynna historia z Centrum Zdrowia Dziecka i panem Bartoszem Arłukowiczem, który był wówczas ministrem zdrowia. Jego pierwszym pomysłem była wymiana dyrektorów w tej instytucji. Minister uznał, że dyrektor źle zarządza placówką, zupełnie nie dostrzegając, że problemem są stawki, wyceny za procedury. Centrum Zdrowia Dziecka nie miało szansy zarabiać. W onkologii w wielu przypadkach jest podobnie, co zmusza dyrektorów do radykalnych kroków, aby utrzymać płynność finansową. Najczęściej kończy się na tym, że jeden lekarz przyjmuje dziesiątki pacjentów dziennie.

Parę lat temu w PRZEGLĄDZIE mówił pan, że 50 dziennie.

– Stale rozmawiam z koleżankami i kolegami z różnych ośrodków w całym kraju. Niektórzy twierdzili, że zdarzało im się przyjąć nawet 70 osób dziennie. I to nie jest jednostkowy przypadek z jednej placówki. To jest dehumanizacja zawodu! Wszyscy onkolodzy doświadczają tego samego. Mamy za dużo pacjentów, bo nadal mamy za mało onkologów. Ponadto pandemia spowodowała, że pacjenci przestali przychodzić i wykonywać wczesne badania. W pierwszych kwartałach pandemii covidu zgłaszalność kobiet na badania mammograficzne w niektórych województwach spadła o 90%.

System jest niewydolny

A ilu mamy w Polsce pacjentów onkologicznych?

– W kraju żyje 1,15 mln Polaków z nowotworami.

Ilu jest onkologów?

– Teraz ok. 1,8 tys. Proszę więc sobie wyobrazić – ci wszyscy onkolodzy mają pod opieką grupę pacjentów liczącą grubo powyżej miliona osób. Czyli na jednego specjalistę przypada ponad 600 chorych. Sama obsługa pacjenta w systemie informatycznym, który obowiązuje w większości placówek, w przypadku osoby, która przychodzi do onkologa pierwszy raz, zajmuje pół godziny. Doba ma zaś tylko 24 godziny. Jeśli zderzymy same te liczby, już widzimy, że system jest niewydolny.

A co w nim zmieni KSO?

– Triumfalne ogłaszanie, że Krajowa Sieć Onkologiczna rozwiąże te wszystkie problemy, bo skategoryzuje się placówki onkologiczne na te słabiej, średnio i lepiej wyposażone, jest nie na miejscu. To medialne przekłamanie. Choć sam plan KSO jest w wielu rozwiązaniach sensowny – bo przynajmniej uwzględnia fakt, że inne koszty ma mała placówka, a zupełnie inaczej funkcjonują te największe, takie jak Narodowy Instytut Onkologii. Szkoda tylko, że nie widzi tego NFZ, bo każdy szpital niezależnie od wielkości dostaje za wykonanie określnej procedury takie same pieniądze. A to wszystko nie rozwiązuje najważniejszego problemu polskiej onkologii – że rocznie umiera 110 tys. pacjentów z chorobą onkologiczną, a przynajmniej 30 tys. osób umiera niepotrzebnie.

Dlaczego?

– W dalszym ciągu choroby nowotworowe rozpoznajemy zbyt późno. Nadal dominują pacjenci z zaawansowaną chorobą nowotworową. I to jest zupełnie odrębny problem związany z profilaktyką. Można wskazać, że mamy karty DiLO, które są dobrym pomysłem, ale niestety niedopracowanym.

110 tys. Polaków umiera rocznie z powodu nowotworów. 30 tys., jak pan mówi, mogłoby wciąż żyć, gdyby w porę zdiagnozowano chorobę i odpowiednio wcześniej leczono. To jest gigantyczna liczba.

– W wypadkach drogowych w Polsce ginie rocznie 2-3 tys. ludzi, a wypadki drogowe są zawsze na pierwszych stronach mediów. Ustawiane są na skrzyżowaniach i rondach tysiące znaków ostrzegających, że może stać się coś złego. A nam ginie ponad 100 tys. ludzi rocznie!

Lekarz onkolog jest więc prawie jak Bóg. Bo jak on nie pomoże, to kto?

– Tak tego nie czuję. Wiem, jakie jest moje miejsce w szeregu, i wiem, od czego jestem. Jestem od leczenia. Owszem, chętnie biorę udział w rozmowach na temat systemu ochrony zdrowia, ale nie jestem politykiem. Nie chcę się w to mieszać.

Szlachetniejszy zawód pan wybrał.

– Polityka to też jest bardzo szlachetny zawód. Tylko, żeby tak było, musi być w innym wydaniu. Musi odpowiadać na wyzwania społeczne.

My się z pacjentami wiążemy

Kłopot w tym, że od polityki trudno uciec. Bo jeśli przychodzi do pana chory i widzi pan, że nie można go uratować, bo system nie daje rady...

– Nie daję rady dlatego, że pacjent przychodzi do mnie z tak zaawansowaną chorobą, że mogę tylko zaoferować próbę zatrzymania jej rozwoju. Mogę mu darować czas, ale go nie wyleczę. System musi być tak skonstruowany, by dysponować odpowiednim zasobem diagnostów, lekarzy, techników. To jest jak prowadzenie wojny! Nie mogę zaatakować, mając trzy czołgi i dwie szable. Muszę mieć tysiąc czołgów, samoloty i pół miliona żołnierzy. Z systemem ochrony zdrowia jest podobnie. Muszę wpierw policzyć środki, którymi dysponuję, i dopiero wtedy mogę realizować zadanie. A jeżeli nie mam tych środków, to muszę je zaplanować, przeznaczyć na to określony budżet. I wtedy to się zepnie.

I wtedy ci ludzie by żyli.

A jak przychodzą za późno, to...

eprasa.pl 66d62a834a

– To jest za późno. I ostatnia rzecz, która mnie boli przy okazji rozmowy o polskiej onkologii. Proszę zapytać jakiegokolwiek urzędnika Ministerstwa Zdrowia, czy zbadany jest problem wypalenia zawodowego onkologów.

Pan nie wygląda na wypalonego zawodowo.

– Leczenie to moja pasja. Ale tę pasję, wiem to na podstawie doświadczeń wielu kolegów onkologów, można zgasić krytykowaniem, obciążaniem nadmiernymi zadaniami, zbyt dużą liczbą pacjentów. Przecież my z tymi pacjentami się wiążemy…

Nawał pracy, presja, stres. Zwłaszcza gdy pacjent odchodzi. I następuje naturalne wypalenie zawodowe?

– Nikt tego w Polsce nie badał. Takie badanie zapoczątkowałem w poprzednim miejscu pracy, ale gdy odszedłem – skończyło się. Wstępne wyniki mówiły, że wypalenie zawodowe wśród onkologów to proces powszechny, wymagający wsparcia. Takiej pomocy, jak żyję, a jestem onkologiem od 40 lat, nie doświadczyłem. Szkoda, bo na pewno skuteczniej by to rozwiązało wiele problemów niż wskakiwanie nam na plecy przy każdej okazji.

Pan zżywa się z pacjentami.

– To moja praca. Jestem z pacjentem. To jest trudne, zwłaszcza gdy pacjent odchodzi. Wciąż o tym myślę… Jak o wielkim zadaniu! Jeżeli dajemy pacjentowi kartę DiLO i robi to np. lekarz pierwszego kontaktu, to on musi mieć na ścianie lub w komputerze adres najbliższej placówki, w której można wykonać badanie tomograficzne, badanie USG, rezonans. Stamtąd pacjent, jeżeli będzie miał wynik, powinien się udać do placówki, która wykona biopsję. Potem do placówki patomorfologicznej, która to oceni. Lekarz pierwszego kontaktu powinien więc mieć przed sobą i przekazać pacjentowi mapę drogową, jak ma się poruszać od punktu do punktu. A pacjenci jeżdżą po całej Polsce! Nie rozwiążemy problemu wczesnego rozpoznawania chorób onkologicznych kilkoma ośrodkami czy nawet kilkunastoma. Tych ośrodków musi być więcej. Trzeba wzmacniać ośrodki uniwersyteckie, uczelnie medyczne, tam obecnie musi iść główny strumień finansowania. Tam trzeba zachęcać studentów do specjalizowania się w onkologii, trzeba wzmacniać rolę Centrum Medycznego Kształcenia Podyplomowego, żeby onkologia kliniczna była nauczana na jak najwyższym poziomie. Ale myślę, że jeśli w tym kierunku pójdzie polityka państwa, to za 40-50 lat będziemy mieli pozytywne efekty tego działania.

Za 40-50 lat?!

– Ja nie żartuję. W Stanach Zjednoczonych Narodowy Program Walki z Rakiem i Narodowy Instytut Raka powstały kilkadziesiąt lat temu. Prowadzono konsekwentną politykę bez względu na to, czy u władzy byli demokraci, czy republikanie. I po 50 latach można było ogłosić sukces. Nie tylko dlatego, że mniej pacjentów umiera w USA z powodu nowotworu, bo jest on wcześniej wykrywany i wcześniej leczony – o tym wiedziano już jakiś czas temu. Sukcesem jest również to, że w Stanach Zjednoczonych spadła liczba zachorowań na nowotwory, czyli polityka profilaktyczna państwa okazała się skuteczna.

W Polsce też spadła liczba zachorowań – w czasie pandemii. Bo ludzie przestali się badać, przestali przychodzić się leczyć.

– Wiemy, że te dane są zafałszowane przez zjawisko pandemii, to nie jest intencjonalne, po prostu zgłaszało się mniej pacjentów i dlatego zarejestrowano mniej zachorowań. Ale de facto mamy stale rosnącą, 2-3% rocznie, liczbę pacjentów z chorobą nowotworową.

A w Stanach ta liczba spada.

– Po 50 latach konsekwentnej polityki. Ale my, bazując na ich doświadczeniach, możemy do tych rezultatów dojść szybciej, bo już wiadomo, jak iść. Tylko to musi być spójna, konsekwentna polityka państwa. Panowie, kończymy… Jestem zmęczony. Pracuję od siódmej rano.

Panie profesorze, doskonale rozumiemy. Dziękujemy za rozmowę.

– Przy tym stole, przy którym siedzicie, mieliśmy rano konsylium, 25 pacjentów do omówienia. Po leczeniu chirurgicznym, po operacjach piersi, jelita grubego, po operacjach urologicznych… To konsylium, które ustalało dalszą ścieżkę postępowania. Dwa razy w tygodniu spotykamy się w pełnym gronie – radioterapeuci, chirurdzy, onkolodzy. Omawiamy to, co spłynęło z laboratoriów patomorfologii, raportów chirurgicznych. I dzisiaj omówiliśmy 25 pacjentów, po kolei każdy przypadek. A potem po schodach na górę, do gabinetu… Przyjmowałem kolejnych pacjentów, jedni przychodzą na kontynuację leczenia, drudzy do konsultacji. Wszystko to są bardzo trudne i ważne rzeczy.

Życie ludzkie od tego zależy.

– Dokładnie tak. Nie można się pomylić. A ja mam 70 lat. I o tej godzinie jestem już zmęczony…

Robert Walenciak
i Kornel Wawrzyniak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 66d62a834a

Ile kosztuje otwarta granica

Gdyby nie wojna, Ukraina byłaby daleko od Unii Europejskiej, a polscy rolnicy mieliby mniej problemów

Marek Czarkowski

Ani rząd Morawieckiego, ani tym bardziej Komisja Europejska i inne zachodnie rządy nie zdawały sobie sprawy, ile będzie kosztowało ubiegłoroczne zniesienie przez Unię Europejską ceł na produkty rolnicze z Ukrainy.

30 zł za 100 importowanych zza wschodniej granicy jaj. Taką cenę w hurcie odnotowano na Giełdzie Elizówka pod Lublinem 31 marca br. Dla porównania – cena 100 polskich jaj, w zależności od wielkości, oscylowała między 60 a 77 zł. Identyczna sytuacja panuje na rynku drobiu. Od czerwca ub.r., kiedy kraje Unii Europejskiej zawiesiły cła i kontyngenty na produkty z Ukrainy, na unijny rynek trafia co miesiąc ok. 18 tys. ton mięsa drobiowego, czyli ponaddwukrotnie więcej niż w roku 2021.

Głównym ukraińskim eksporterem jest koncern MHP, którego nazwa to skrót od Myronivsky Hliboproduct. To jeden z największych europejskich producentów drobiu, posiadający ok. 370 tys. ha ziemi, kontrolowany przez miliardera Jurija Kosiuka, nazywanego „przyjacielem prezydentów". Koncern ma zakłady w Słowenii i Holandii. W 2017 r. głośno było o planach przejęcia przez MHP kutnowskiego Exdrobu. Wszystko wskazuje na to, że w tym roku MHP wyeksportuje z Ukrainy na unijne rynki jeszcze więcej kurczaków i pogłębi w ten sposób problemy polskich hodowców drobiu. Nie są oni w stanie konkurować z Ukraińcami ze względu na wyższe koszty produkcji. Kurczak zza wschodniej granicy jest dziś tańszy o ok. 30% od polskiego.

W identycznej sytuacji mogą za chwilę się znaleźć producenci malin, porzeczek, wiśni oraz innych owoców miękkich. Nawet pszczelarze są zaniepokojeni, gdyż ukraiński miód bywa o połowę tańszy od polskiego.

1 kwietnia w centrum Piaseczna otwarto Best Market, sklep z produktami z całego świata, czyli z Ukrainy. Odwiedzając go, można się poczuć jak w Kijowie. Na półkach znajdziemy słynny tort kijowski oraz inne słodycze firmy Roshen.

Protest rolników w miejscowości Okopy na drodze krajowej nr 12, prowadzącej do przejścia granicznego w Dorohusku, 2 lutego 2023 r.

„Zguszczonkę" – mleko skondensowane w charakterystycznych niebieskich puszkach, identycznych jak w czasach ZSRR, i wobłę – suszoną rybę, tradycyjną zakąskę do piwa. Kwas chlebowy, marchew po koreańsku oraz przypominającą mortadelę słynną kiełbasę doktorską.

Ostatnio polskie i ukraińskie media piszą o planach ekspansji w Polsce ukraińskiej sieci supermarketów Silpo. Nie ma czemu się dziwić, Ukraińcy, podobnie jak Polacy w Wielkiej Brytanii, tęsknią za swoimi smakami, a dzisiaj na stałe mieszka w Polsce od 1,3 mln do 1,5 mln Ukraińców. W samej Warszawie jest ich ok. 100 tys., z czego 60 tys. pracuje legalnie. W zależności od przebiegu wojny liczba ta może jeszcze wzrosnąć. To także element niezwykle kosztownego procesu wchodzenia naszego wschodniego sąsiada do Unii.

Droga przez mękę

Atak Rosji na Ukrainę zmienił wszystko w tej części Europy. Nigdy wcześniej Kijów nie był tak blisko akcesji do Unii Europejskiej. W przeszłości jego perspektywy były więcej niż niepewne. W lutym 2006 r. ówczesny wiceprzewodniczący Komisji Europejskiej oraz komisarz ds. przedsiębiorstw i przemysłu Günter

eprasa.pl 66d62a834a

Verheugen powiedział w jednym z wywiadów: „Za 20 lat wszystkie państwa Europy będą członkami UE, z wyjątkiem tych państw byłego ZSRR, które w tej chwili nie należą do Unii". Była to zadziwiająco trafna prognoza polityczna. Niechęć bogatych państw zachodnich wobec aspiracji Ukrainy była związana nie tylko z rosnącym wówczas bilansem wzajemnych obrotów handlowych z Rosją oraz troską o interesy rodzimych koncernów energetycznych, kupujących na potęgę rosyjską ropę i gaz ziemny. Syte i bogate społeczeństwa Europy nie chciały też ponosić kosztów kolejnego rozszerzenia, zwłaszcza że dwa lata wcześniej członkami Unii zostały Cypr, Czechy, Estonia, Litwa, Łotwa, Malta, Polska, Słowacja, Słowenia i Węgry. Poza tym uważano Ukrainę za strefę wpływów rosyjskich.

Negocjacje umowy stowarzyszeniowej między Unią Europejską a Ukrainą nie były łatwe. Rozpoczęły się w roku 2007 i trwały do grudnia 2011 r. 30 marca 2012 r. szefowie obu delegacji parafowali umowę w Brukseli. Uroczyste podpisanie miało nastąpić w listopadzie 2013 r. w trakcie szczytu Partnerstwa Wschodniego w Wilnie. Tuż przed nim ówczesny rząd oraz prezydent Ukrainy Wiktor Janukowycz podjęli decyzję o zawieszeniu przygotowań do zawarcia umowy stowarzyszeniowej. Nie bez znaczenia w tej sprawie były płynące z Moskwy sygnały ostrzegawcze. Ukrainie grożono ograniczeniem dostępu tamtejszych przedsiębiorstw i towarów do rosyjskiego rynku. Na rząd naciskali też oligarchowie ze wschodu kraju, prowadzący interesy z Rosją.

Odmowa zawarcia umowy stowarzyszeniowej z Unią Europejską doprowadziła do masowych protestów w Kijowie, a po trzech miesiącach Majdan obalił prezydenta Janukowycza i władzę przejął nowy, prozachodni rząd. 16 września 2014 r. Rada Najwyższa Ukrainy i Parlament Europejski jednocześnie ratyfikowały umowę stowarzyszeniową między Ukrainą a Unią Europejską, lecz dopiero od 1 stycznia 2016 r. zaczęły działać przepisy dotyczące strefy wolnego handlu. Proces ratyfikacji tego dokumentu przez wszystkie państwa UE zakończył się 1 września 2017 r.

Szybko okazało się, że polityka Brukseli wobec Kijowa nie jest ani spójna, ani jasna. W rozumieniu zachodnich stolic umowa stowarzyszeniowa nie była wstępnym krokiem do akcesji Ukrainy do Unii Europejskiej, miała jedynie na celu promocję oraz konsolidację rynkowych i demokratycznych reform, które ostatecznie wciągnęłyby Kijów w orbitę Zachodu. Ukraińcy szybko zauważyli, że na ich barki spadł ciężar dostosowania gospodarki do standardów unijnych, tym bardziej dolegliwy, że na wschodzie kraju trwała wojna. Dochodził do tego nacisk gospodarczy ze strony Rosji, wyrażający się m.in. problemami z dostawami gazu. Ukraińskie firmy ostatecznie utraciły tamtejszy rynek, a zachodniego nie podbiły. Kraj trawiony korupcją pogrążył się w gospodarczym i społecznym kryzysie.

Warto pamiętać, że w roku 1990 PKB na głowę mieszkańca był w Ukrainie wyższy niż w Polsce. Po uzyskaniu niepodległości 1 grudnia 1991 r. kraj ten miał pięć elektrowni atomowych, w tym największą w Europie Zaporoską Elektrownię Jądrową w Enerhodarze. Charków był jednym z centrów naukowo-przemysłowych Związku Radzieckiego. Ukraina posiadała rozwinięty przemysł kosmiczny. W Dniepropietrowsku (obecnie Dniepr) mieściło się Biuro Konstrukcyjne Jużnoje im. Michaiła Jangiela, w którym projektowano i budowano międzykontynentalne rakiety balistyczne dla Armii Radzieckiej. Najbardziej znaną konstrukcją była SS-18 Satan, będąca przez dekady podstawą najpierw radzieckich, a potem rosyjskich Strategicznych Wojsk Rakietowych. Ukraina jest bogata w najlepsze w Europie gleby – czarnoziemy. A na wschodzie kraju, w Donbasie i na Ługańszczyźnie, znajdują się złoża węgla oraz innych cennych minerałów. Wielu Ukraińców nie może pojąć, jak doszło do tego, że ich kraj jest dziś najbiedniejszym państwem w Europie.

Po wejściu w życie umowy stowarzyszeniowej Unia Europejska stała się głównym partnerem handlowym Kijowa. Jednak wolumen handlu między Kijowem a UE pozostał niemal na tym samym poziomie, co przed podpisaniem umowy. W 2013 r. wyniósł on 36,8 mld euro, a w roku 2020 – 39,7 mld euro. Nowo powstała strefa wolnego handlu nie doprowadziła zatem do znaczącego wzrostu wymiany handlowej. Co gorsza, negatywne saldo Ukrainy w handlu z UE dowodzi, że tamtejsza gospodarka nie otrzymała dodatkowych możliwości eksportu swoich produktów do państw UE. Wzrosło także zadłużenie zagraniczne.

Kijów utracił stare, tradycyjne rynki we Wspólnocie Niepodległych Państw, zwłaszcza rosyjski. Eksport towarów z Ukrainy do tych krajów zmniejszył się z 21,7 mld dol. w 2013 r. do 5,9 mld dol. w roku 2020. Szacuje się, że straty eksportowe Ukrainy z tego tytułu w latach 2014-2020 wyniosły ok. 92,7 mld dol. Dostęp do unijnego rynku nie był w stanie ich zrekompensować.

Zmieniła się też struktura eksportu. W latach 2014-2020 zmniejszył się udział produkcji przemysłowej

Kontrolowany przez miliardera Jurija Kosiuka Myronivsky Hliboproduct to jeden z największych europejskich producentów drobiu. Ma 370 tys. ha ziemi i zakłady w Słowenii i Holandii.

Amerykańskie, francuskie, szwajcarskie i niemieckie firmy zainwestowały w urodzajną ukraińską ziemię i to one eksportują zboże oraz inne produkty rolne.

FOT. KRZYSZTOF RADZKI/EAST NEWS

eprasa.pl 66d62a834a

na rzecz rolnictwa. Otwarcie granic dla towarów z państw Unii doprowadziło do upadku wielu firm, które nie były zdolne konkurować z europejskimi producentami. Wzrosło bezrobocie. Szacunki mówią o ok. 10 mln Ukraińców, którzy wyjechali w poszukiwaniu pracy i lepszego życia. Ważnym efektem wejścia w życie umowy stowarzyszeniowej było za to pojawienie się ogromnych latyfundiów kontrolowanych bądź przez rodzimych oligarchów, bądź przez obce firmy. W 2013 r. chińska spółka Xinjiang Production and Construction Corps podpisała umowę wynajmu 3 mln ha ziemi na 50 lat z ukraińską spółką rolną KSG Agro.

Nad Dnieprem obecne są amerykańskie, francuskie, szwajcarskie i niemieckie firmy, które zainwestowały w urodzajną ukraińską ziemię, i to one eksportują zboże oraz inne produkty rolne. Kraj ponownie stał się spichlerzem Europy, ale czy na tym korzysta?

W centrum Piaseczna otwarto Best Market z produktami z Ukrainy.

Nikogo nie obchodzą polskie rolnictwo i przemysł

Przed 1 czerwca 2022 r. polskie rolnictwo było nieźle chronione przed konkurencją ze strony Ukrainy. Zniesienie przez Unię Europejską ceł i kontyngentów na tamtejsze towary zmieniło wszystko. Jeśli sytuacja się nie poprawi, polską gospodarkę, w tym rolnictwo, czekają poważne kłopoty.

Dziś zmagają się z nimi producenci zbóż, za chwilę dołączą do nich producenci drobiu. A ponieważ Komisja Europejska już w lutym zapowiedziała przedłużenie zniesienia ceł i kontyngentów na ukraińskie towary, ratunkiem dla rolników będą dopłaty, które rząd będzie musiał wygospodarować. System ten ma szansę utrzymać się do chwili, gdy wojna się skończy. Choć trudno sobie wyobrazić, że po zwycięskiej dla Kijowa wojnie Unia ponownie wprowadzi cła na granicy z Ukrainą. Bez względu na to, kto będzie rządził w Warszawie, nasze interesy i postulaty w tej materii zostaną zlekceważone. Ukrainę trzeba będzie odbudować. Co oznacza, że nie wolno będzie jej gnębić cłami, kontyngentami i innymi ograniczeniami. W tym przypadku cenę zapłaci nasz przemysł. Polska jest największym w Europie producentem sprzętu AGD i telewizorów. Takie linie produkcyjne bardzo łatwo przenieść tam, gdzie są niższe płace i podatki. Ukraina będzie się do tego nadawała wręcz idealnie. Nam przyjdzie się zmagać z rosnącym bezrobociem.

Od początku wojny Unia Europejska oraz jej państwa członkowskie udostępniły Ukrainie i jej obywatelom wsparcie w wysokości ok. 67 mld euro. Z czego 37,8 mld przeznaczono na pomoc gospodarczą, 17 mld na pomoc uchodźcom, a 12 mld na wsparcie wojskowe. Z kolei Stany Zjednoczone wyasygnowały dotychczas 44,2 mld dol., z czego większość, 29,3 mld, stanowiła pomoc wojskowa. Dodać do tego należy pomoc ze strony Wielkiej Brytanii oraz wsparcie międzynarodowych instytucji finansowych, takich jak Bank Światowy i Międzynarodowy Fundusz Walutowy. Możemy przyjąć, że pierwszy rok wojny kosztował państwa zachodnie nie mniej niż 150 mld dol. A kto płaci, ten zamawia muzykę. Stąd rosnący nacisk na Kijów, by armia ukraińska przeprowadziła zwycięską ofensywę, która zmusi Moskwę do podjęcia negocjacji i zakończenia agresji. Po czym nastąpi czas odbudowy i można będzie ograniczyć wydatki na bezpośrednią pomoc Ukrainie.

Myli się jednak ten, kto sądzi, że polskie firmy będą beneficjentami tego procesu. W przeszłości mieliśmy wielkie nadzieje na udział w odbudowie zniszczonego przez US Army Iraku. Wyszło jak zwykle. Zarobiły amerykańskie koncerny. Z naszym wschodnim sąsiadem będzie tak samo. Polsce przyjdzie płacić nie tylko bezpośrednim wsparciem finansowym Kijowa, lecz także kłopotami rolnictwa, przemysłu i całego społeczeństwa. Bo przecież bezkarnie nie da się rozwiązywać problemów kolejnymi dotacjami. Dług publiczny to nie pojęcie abstrakcyjne.

Komisja Europejska i bogate kraje Zachodu poświęcą nasz interes bez wahania, a dotychczasowe wyczyny naszych polityków są najlepszym dowodem na ich brak wyobraźni oraz niechęć do jakiegokolwiek działania. Klinicznym przykładem jest unijny komisarz ds. rolnictwa Janusz Wojciechowski, który przez rok palcem nie kiwnął, by zrobić cokolwiek z zalewającym Polskę ukraińskim zbożem.

Podobnie zaniedbał sprawę polski rząd. A przecież w styczniu br. Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa na zlecenie resortu rolnictwa przeprowadziła ogólnokrajową ankietę wśród rolników, pytając ich m.in., czy posiadają zapasy zbóż z ubiegłorocznych zbiorów i czy mają problemy z ich sprzedażą. Innymi słowy, ówczesny wicepremier i minister rolnictwa Henryk Kowalczyk doskonale wiedział, jaka jest sytuacja, na długo przed tym, nim w jego kierunku poleciały jaja i nieprzystojne okrzyki. Nie zrobił nic. Dziś mówi o 10 mld zł pomocy rządowej, nie zaznaczając, że potrzebna byłaby na to zgoda Komisji Europejskiej. Tak jak na choć częściowe wprowadzenie ceł na ukraińskie produkty. Być może przed wyborami Prawo i Sprawiedliwość dosłownie kupi sobie poparcie rolników. Lecz co nas czeka w przyszłości?

Unijny komisarz ds. rolnictwa Janusz Wojciechowski przez rok palcem nie kiwnął, by zrobić coś z zalewającym Polskę ukraińskim zbożem.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 66d62a834a

Zamach na Kuźnicę

Będziemy tu siedzieć jak więźniowie na spacerniaku, z murem od zatoki i ekranami od morza, a nasi letnicy z nami, jeśli w ogóle przyjadą

Kuźnica jest parterowa, rybacka, wiele domków jest malutkich. Mieszkańcy chcą zachować ten klimat.

Helena Leman

27 marca na plaży w Kuźnicy pusto. Morze ryczy, wicher gna białe grzywy fal i pękate, ciemne chmury, z których sypie śniegiem. Nad Zatoką Pucką po drugiej stronie Półwyspu Helskiego cieplej i spokojniej. Na brzegu mężczyzna ustawia rybackie tyczki.

– Po co to jest robione? – pyta, nie przerywając pracy. – Obawiamy się, że ktoś chce postawić mur nad zatoką, żeby za nim budować hotele i pensjonaty i nas zabetonować. Chcą zrobić drugi tor, pociągi elektryczne puścić i nawieźć turystów. Już teraz wczasowiczów jest za dużo. Tu, gdzie stoimy, w tej części Kuźnicy, nazywanej Syberią, półwysep nie ma nawet 200 m szerokości. Po tym wąskim pasku biegną szosa na Hel, ciągle zakorkowana latem, i linia kolejowa, którą w sezonie pędzi kilkanaście pociągów dziennie. Ale to za mało, ma ich być kilkadziesiąt, a u nas, na Syberii, drugi przystanek kolejowy ma powstać i podstacja trakcji elektrycznej o mocy 3000 V, która będzie buczeć na okrągło. Boję się, że mogę zostać wysiedlony, bo przystanek ma być w pobliżu mojego domu. Moja rodzina w Kuźnicy mieszka od pokoleń, najstarszy pomnik na cmentarzu należy do moich przodków, ale mój głos się nie liczy. Dlaczego jest tak cicho o tej sprawie?

Mój rozmówca twierdzi, że zagrożenia powodziowego od strony zatoki nie ma i nigdy nie było. – Ani mój dziadek, ani mój ojciec o nim nie mówili. W 1983 r. woda przerwała półwysep, ale od strony morza, i to może się powtórzyć, jeśli naruszą wydmy i wytną drzewa pod linię kolejową – dodaje i odsyła mnie do sklepu. Jego właściciel jest w Stowarzyszeniu Miłośników Kuźnicy, które powstało cztery lata temu, żeby bronić mającej niespełna 600 stałych mieszkańców miejscowości.

W sklepie szefa nie zastaję, za to ekspedientka nie przebiera w słowach. – Pójdę z wnukami na spacer nad zatokę i co, będę patrzeć na mur? – pyta. – Zatoka została umocniona lata temu betonową opaską z kamieniami i to w zupełności wystarcza. Z tym drugim torem to też absurd. Czemu akurat u nas, gdzie jest najwęziej, a nie na polach przed Władysławowem? Tam jest miejsce na mijankę.

Prowadzi mnie na tyły sklepu, przy samym jego ogrodzeniu biegną obecne tory, kilka kroków za nimi wznosi się porośnięta nadmorską roślinnością wydma, za nią już plaża.

eprasa.pl 66d62a834a

– Proszę spojrzeć, gdzie oni tu chcą zmieścić drugi tor? Jak on pójdzie? Przez wydmę? Nam się zabrania chodzić po wydmach, a 50 ciężkich pociągów dziennie ich nie naruszy? Do tego dojdzie hałas. Szynobusy, co teraz jeżdżą, są lekkie i ciche, ale dalekobieżne elektryki będą głośne – wylicza. – Podobno mają nam postawić ekrany, jak to zagraci krajobraz! Będziemy tu siedzieć jak więźniowie na spacerniaku, z murem od zatoki i z ekranami od morza, a nasi letnicy z nami, jeśli w ogóle przyjadą.

Jej zdaniem druga nitka torów, czyli poprawa przepustowości linii 213 Reda-Hel – jak oficjalnie nazywa się planowana inwestycja – nie rozładuje również korków. – Turyści dziś są wygodni, do mojego sklepu zaglądają, tylko jak im czegoś zabraknie, zakupy robią w dużych marketach, podjeżdżają samochodami i biorą zgrzewki towarów hurtem, oni pociągami tłuc się nie będą. Wreszcie czy warto wyciąć drzewa, naruszyć wydmy, które nas chronią, tylko ze względu na te dwa miesiące w roku, bo tyle trwa na półwyspie sezon? – pyta i dodaje, że najbardziej jej szkoda dzikich róż rosnących przy wydmach.

Zaglądam na otoczony z trzech stron lasem cmentarz z widokiem na zatokę. To chyba jedyny w Polsce cmentarz, na który wchodzi się przez kolejowe rogatki. Właśnie jedzie pociąg, więc czekam chwilę, aż podniosą się szlabany. Na nagrobkach twardo brzmiące kaszubskie nazwiska: Rotta, Dettlaf, Szomburg, Gojke, Struck, i bardziej miękkie: Muża, Konkol, Budzisz. Te ostatnie powtarzają się najczęściej.

Kobieta, którą spotykam, mówi, że wiele nazwisk już odchodzi w niepamięć. Jej przodek, właśnie Budzisz, budował w 1933 r. ceglany kościół w Kuźnicy, a dziś jest zapomniany. Chociaż moja rozmówczyni tu nie mieszka, nie podobają się jej planowane zmiany. – Ten las po lewej przy cmentarzu mieli wyciąć, bo miała tu powstać podstacja, ale ludzie się wykłócili i przeniesiono ją na koniec miejscowości. Chyba gmina trochę pokpiła sprawę, przespała, a teraz próbuje to naprawić. Tylko że może być już za późno – podsumowuje.

Gdzie oni tu chcą zmieścić drugi tor? Jak on pójdzie? Przez wydmę? – zastanawiają się mieszkańcy.

Burmistrz po stronie mieszkańców

Gdy te słowa przytaczam Tyberiuszowi Narkowiczowi, burmistrzowi gminy miejsko-wiejskiej Jastarnia, do której należy Kuźnica, odpowiada mi krótko i zdecydowanie: – Władze gminy stoją po stronie mieszkańców. Nie mam pojęcia, o co może chodzić z „przespaniem", bo na etapie jedynego toczącego się w tej sprawie postępowania (o wydanie decyzji środowiskowej) złożyliśmy sprzeciw. Podzielamy obawy przed betonowaniem Kuźnicy.

Burmistrz jest także przeciwko drugiej nitce torów: – Poprawa przepustowości nie musi oznaczać linii dwutorowej na kontrowersyjnym odcinku. Oczekujemy propozycji innych rozwiązań, aby przeciwdziałać wykluczeniu komunikacyjnemu – podkreśla.

Na dowód przesyła mi dokumenty dotyczące sprawy. W sprzeciwie skierowanym do Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska w Gdańsku 16 lutego 2023 r. wskazuje, że mieszkańcy niepokoją się, iż „utworzenie falochronu w postaci żelbetonowego muru będzie miało negatywne oddziaływanie na użytkowość terenu, walory estetyczne i historyczne oraz pośrednio na główne źródło utrzymania mieszkańców, którym jest turystyka. Zabezpieczenie terenu w przedstawionej formie nie uwzględnia zabytkowego charakteru Kuźnicy i niszczy unikatowość miejscowości pod względem aspektów przyrodniczych". „Podzielam zgłoszone przez protestujących obawy – pisze burmistrz. – Od otwartego morza wystarczające jest uzupełnienie zagrożonych odcinków wydm piaskiem z dna morskiego, w niektórych tylko przypadkach z zastosowaniem gabionów (koszy szańcowych wypełnianych kamieniami), tym bardziej od strony Zatoki Puckiej, gdzie abrazja nie jest tak gwałtowna i częsta, działania ochronne

Gdybyśmy nie byli czujni, mur już by stał – mówią mieszkańcy.

eprasa.pl 66d62a834a

Stowarzyszenie Miłośników Kuźnicy powstało cztery lata temu, żeby bronić miejscowości liczącej niespełna 600 stałych mieszkańców.

powinny się ograniczyć do jak najbardziej naturalnych". Burmistrz przypomina, że Kuźnica znajduje się na obszarze Natura 2000 i w Nadmorskim Parku Krajobrazowym.

Cztery lata walki i końca nie widać

– Gdybyśmy nie byli czujni, mur już by stał – kontrują słowa burmistrza mieszkańcy Kuźnicy ze stowarzyszenia: Bogna Konkel, Elżbieta Włodarski, Dariusz Budzisz, Leszek Kucira i właściciel sklepu Tomasz Kowalski.

– Sprawa muru pojawiła się po raz pierwszy we wrześniu 2018 r. – opowiadają. – Odbyło się wtedy spotkanie dla zaufanych, wzięło w nim udział sześć osób. Większość mieszkańców o niczym nie wiedziała, my też. O kolejnym spotkaniu, 12 grudnia 2018 r., dowiedzieliśmy się dwa dni wcześniej. Przedstawiono na nim „Wariantową Koncepcję Zabezpieczenia Przeciwpowodziowego Miejscowości Kuźnica". Proponowano trzy warianty: wał ziemny, wał wydmowy i bulwar z murkiem ochronnym, na który najbardziej naciskano. Tylko że ten żelbetonowy „murek", jak o nim mówią, miałby wysokość ok. 2 m. Nie zgodziliśmy się, napisaliśmy protest i w ciągu 12 dni przed Bożym Narodzeniem zebraliśmy pod nim 456 podpisów, a poza tym 1090 głosów z uwagami pod petycją internetową. Pismo wysłaliśmy do dyrektora urzędu morskiego, do ministra gospodarki morskiej i żeglugi śródlądowej, prezesa Wód Polskich, wojewody pomorskiego, marszałka województwa, do starosty i burmistrza, senatora Sławomira Rybickiego i do Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków w Gdańsku.

Protestujący, szukając kompromisu, podsunęli rozwiązanie alternatywne – ochronę za pomocą rękawów przeciwpowodziowych. W 2019 r. powstała propozycja porozumienia w tej sprawie między gminą Jastarnia a urzędem morskim, ale do jego podpisania nie doszło. W 2020 r. odbyły się nawet pokazy rozkładania rękawów, zdjęcia można znaleźć na facebookowej stronie stowarzyszenia. W 2021 r. ponowiono propozycję porozumienia. Nie podpisał go jednak urząd morski, powołując się na niepraktyczność zastosowania rękawów przeciwpowodziowych i wysoki koszt.

– Byliśmy przekonani, że sprawa została pomyślnie załatwiona – podkreślają członkowie stowarzyszenia. – Gdy pod koniec grudnia 2022 r. nasz kolega przypadkiem na tablicy w urzędzie gminy odkrył zawiadomienie RDOŚ o ponownym wystąpieniu do granicznego inspektora sanitarnego w Gdyni, dyrektora Wód Polskich i dyrektora urzędu morskiego o opinię co do konieczności przeprowadzenia oceny oddziaływania na środowisko planowanego muru, przeżyliśmy szok. A gdy w połowie lutego pojawiło się kolejne zawiadomienie RDOŚ o tym, że wymienione urzędy nie stwierdzają potrzeby przeprowadzenia oceny, to już nas zupełnie dobiło.

Jak to możliwe – dziwią się – że rozkładany rękaw przeciwpowodziowy napełniony wodą z Zatoki Puckiej ma być droższy niż dwukilometrowy mur? Czy dlatego nie ma zgody na rękawy, że to zabezpieczenie nie gwarantuje zmiany kwalifikacji gruntów? Zastanawia ich też firma z Kielc, która w imieniu urzędu morskiego prowadzi sprawę. Dlaczego aż z Kielc, zachodzą w głowę.

FOT. HELENA LEMAN (2), SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 66d62a834a

Mówią, że nic ich już nie zaskoczy, skoro decyzje istotne dla tak delikatnego przecież ekosystemu podejmowane są zdalnie, zza biurka. Ich, rybaków, którzy te wody znają jak własną kieszeń, nikt nie słucha. W trakcie jednego ze spotkań z urzędnikami usłyszeli, że „półwysep i Kuźnica nie należą do mieszkańców, nie możecie nam mówić, co mamy tutaj robić, jak i co budować".

Czy będzie referendum?

Magdalena Kierzkowska z Urzędu Morskiego w Gdyni wyjaśnia, że maksymalna wysokość projektowanych umocnień (muru) mierzona od lustra wody wynosi 1,90 m n.p.m., tj. ok. 70-80 cm powyżej istniejącego obecnie terenu oraz 40 cm powyżej projektowanej nawierzchni bulwaru. Pisze, że proponowane przez mieszkańców rękawy to rozwiązanie czasochłonne, a urząd nie ma sił ani środków do obsługi tej instalacji. Na koniec dodaje, że wychodząc naprzeciw mieszkańcom, urząd morski rozważa złożenie wniosku do gminy Jastarnia o przeprowadzenie referendum. Dwa tygodnie wcześniej taką informację od urzędu morskiego dostało stowarzyszenie.

We wcześniejszym piśmie UM do RDOŚ z 31 stycznia 2023 r. czytam, że analizowano również wariant zerowy polegający na niepodejmowaniu przedsięwzięcia. „Stwierdzono jednak, że zaniechanie inwestycji ograniczy możliwości rozwoju terenów położonych w jej bezpośrednim sąsiedztwie. Dlatego też wariant zaniechania uznaje się za negatywny, zarówno pod względem ochrony przed powodzią, jak i ograniczający rozwój gminy oraz nieefektywny społecznie i gospodarczo". UM uważa, że budowa muru odbędzie się na terenie zurbanizowanym i nie dojdzie do zniszczenia zabytkowych obiektów ani terenów o wysokich walorach przyrodniczych. Podkreśla, że obszar inwestycyjny położony jest w rejonie szczególnego zagrożenia powodzią o prawdopodobieństwie 0,2% (tj. raz na 500 lat) oraz 1%, tj. raz na 100 lat zgodnie z mapami Informatycznego Systemu Osłony Kraju.

Na te same liczby powołują się protestujący. Według nich pokazują one, że zagrożenie powodzią od strony zatoki jest znikome.

Regionalny Dyrektor Ochrony Środowiska w Gdańsku pisze, że postępowanie w sprawie wydania decyzji środowiskowej dla przedsięwzięcia „Zabezpieczenie przeciwpowodziowe m. Kuźnica gm. Jastarnia" jest w toku. W toku jest także postępowanie w sprawie wydania decyzji środowiskowej dla przedsięwzięcia „Poprawa przepustowości na linii nr 213 Reda-Hel".

Jednak przed protestującymi kolejne schody. Przesłany przez gminę w styczniu do RDOŚ protest mieszkańców z 2018 r. to skan niespełniający wymagań formalnych wniosku. W wypadku linii kolejowej, aby ułatwić mieszkańcom składanie wniosków do RDOŚ, stowarzyszenie przygotowało druki do wypełnienia. To też okazało się niezgodne z procedurą.

– Nas tu w ogóle dzisiaj nie powinno być – denerwuje się Leszek Kucira. – Gdzie są instytucje powołane do ochrony przyrody, gdzie jest Nadmorski Park Krajobrazowy, urzędnicy zajmujący się ochroną środowiska w gminie, w powiecie, w urzędzie wojewódzkim i marszałkowskim, których utrzymujemy z naszych podatków?! Gdzie jest RDOŚ, która zamiast nas wspierać, rzuca nam kłody pod nogi?!

> Nam się zabrania chodzić po wydmach, a 50 ciężkich pociągów dziennie ich nie naruszy?

Stop betonozie

Na koniec spotkania wybieramy się na spacer po miejscowości. Zaczynamy od cmentarza, mężczyźni mierzą krokami, czy drugi tor zmieści się między rogatkami. Przecinamy ocalony las przy cmentarzu i wychodzimy na drogę nad Kuźnicą. Na jej skarpie rosną powykrzywiane przez sztormy sosny, w dole biegną tory, po drugiej stronie huczy morze.

– Jak będą budować drugą nitkę, to naruszą tę skarpę i będzie po naszych sosnach, a one to wizytówka Kuźnicy, są na widokówkach – mówi Dariusz Budzisz i prowadzi na plażę, żeby mi pokazać, ile jest jeszcze do zrobienia po ubiegłorocznym wielkim sztormie. – Na przykład te drzewa powywalane można by było w końcu podnieść i jakoś uratować, one zielone jeszcze – wskazuje ręką. – Kołki w morzu do rozbijania fal sięgają tylko do początku Kuźnicy, a dalej co? Tu urząd morski może się wykazać, tu potrzebujemy pomocy, żeby nam woda się nie wlała, a nie nad zatoką.

Po drodze mijamy tablice Natury 2000 i spłowiałe od słońca informacje o mikołajku nadmorskim, pomazane przez grafficiarzy. – Tak będzie wyglądał ten nasz mur po pierwszym sezonie, te ekrany przy torach też – kpią.

Mijamy właśnie budowany dworzec i schodzimy nad skąpaną w słońcu zatokę. Od każdego domu do wody biegnie wydeptana ścieżka. – Każdy ma tu swoją – śmieje się Bogna Konkel. – Nie chcemy wielkich obiektów, wybetonowanego bulwaru, chcemy chodzić po piasku, po trawie, tego też szukają turyści, którzy do nas przyjeżdżają. Kuźnica jest parterowa, rybacka, wiele domków jest malutkich, z czerwonej cegły, chcemy zachować ten klimat, nastrój. A planowane zmiany to zniszczą. Pani patrzy na mój dom, jakie ma charakterystyczne wygięcie dachu, mąż nie pozwolił go zmienić, ma być tak, jak zbudowali przodkowie. I co w tym złego?

Na koniec zaglądamy do portu, zdaniem moich rozmówców zbyt wybetonowanego. Wskazują mur przy falochronie, twierdzą, że ten, co ma powstać, będzie podobnej wysokości. Przymierzam się i głową nie sięgam końca, nic nie widzę.

Wracam plażą do Chałup, nad morzem mgła, fale cicho ocierają się o piasek, a zza wydmowych wzgórz po lewej stronie tajemniczo wygląda zielona wieża kuźnickiego kościoła.

Helena Leman
h.leman@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 66d62a834a

Z Galicji

Jan Widacki

Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie

Ten często przywoływany cytat z aktu fundacyjnego Akademii Zamojskiej (czasem mylnie przypisywany Andrzejowi Fryczowi Modrzewskiemu) mówi o rzeczy oczywistej. Tak oczywistej, że na ogół zapominanej. Zapomniano o tej oczywistej prawdzie w 1989 r. Skutków zaś doświadczamy dzisiaj. Parafrazując słowa red. Mariana Turskiego, można powiedzieć, że „PiS nie spadło z nieba". Zresztą to nie PiS jest nieszczęściem tego kraju, jak uparcie powtarzają politycy opozycji i sprzyjające im media. Nieszczęściem jest to, że tak jak PiS myśli prawie połowa Polaków. A wśród nich co najmniej połowę stanowią ludzie, którzy zostali wychowani i ukształtowani już przez III RP. Nawet gdyby PiS przegrało najbliższe wybory, co ostatnio wcale nie jest takie pewne, to ci ludzie ze swoimi poglądami, wyobrażeniami, pomysłami, obyczajnością i mentalnością pozostaną. I nowa, demokratyczna władza, jeśli po wyborach (tych lub następnych) przyjdzie, sprawowana będzie także w ich imieniu i będzie musiała z nimi się liczyć.

> To nie PiS jest nieszczęściem tego kraju. Nieszczęściem jest to, że tak jak PiS myśli prawie połowa Polaków.

Ten elektorat PiS nie spadł z nieba! Pracowicie go sobie przygotowaliśmy przez ostatnie ponad 30 lat. Zaniedbano naukę i edukację. Nie przypadkiem najlepsze polskie uczelnie w światowych rankingach plączą się gdzieś między piątą a dziesiątą setką. Wyprzedzają je nie tylko uczelnie amerykańskie, brytyjskie, niemieckie czy francuskie, ale także dziesiątki uniwersytetów z krajów zaliczanych kiedyś do tzw. Trzeciego Świata. Wielu młodych, zdolnych polskich naukowców wyjeżdża na stałe za granicę, bo tam znajduje nieporównanie lepsze wynagrodzenie, a przede wszystkim prawdziwe warunki do pracy naukowej. U nas niewielkie środki budżetowe przeznaczone na naukę trwoni się na utrzymywanie co najmniej kilkudziesięciu kiepskich prowincjonalnych uczelni, zatrudniających marną kadrę naukową i całe rzesze urzędników oraz pracowników obsługi, produkujących często niby-naukę, której efekty publikowane są w co najmniej kilkuset zbędnych lokalnych czasopismach, których nikt poza autorami nie czyta i nikt nie cytuje.

Ze szkolnictwem podstawowym i średnim jest jeszcze gorzej. Nauczyciele wciąż zarabiają marnie, co pociąga za sobą w wielu przypadkach selekcję negatywną do zawodu. W efekcie nad stosunkowo nielicznymi „Siłaczkami" czy „Siłaczami" (tym większa im chwała!) przeważają ludzie czasem głęboko sfrustrowani, czasem niestety po prostu mierni. W krajowych rankingach szkół średnich od lat wygrywają te same licea z dużych miast. Liczą się sukcesy w rozmaitych olimpiadach, odsetek przyjętych na studia. Tylko nikt nie bada, jaki odsetek ich uczniów, na ogół dzieci bogatych rodziców, pobiera korepetycje. W efekcie trudno powiedzieć, czy wyniki absolwentów są zasługą bardziej kadry nauczycielskiej, czy całej rzeszy zatrudnionych przez rodziców korepetytorów. Od lat nie zmieniła się też filozofia polskiej szkoły. Programy są przeładowane faktami, niekoniecznie powiązanymi w jakąś logiczną całość. Nauka szkolna w dużej mierze polega na pamięciowym opanowaniu faktów i przyjmowaniu bez dyskusji „prawd objawionych", a nie na opanowaniu sztuki krytycznego myślenia. W historii wciąż dominuje narodowa martyrologia, przeplatana chwałą oręża, a lektury z języka polskiego z uporem wyczulają na problemy społeczne końca XIX w. Stanowi to znakomite podglebie dla bezmyślnej, emocjonalnej polityki historycznej, opartej nie na krytycznej analizie dziejów, ale na ich zmitologizowanym i zwulgaryzowanym opisie. Czy może dziwić, że efektem tego jest coraz częstsze ujawnianie się nacjonalizmu i ksenofobii? I czy może dziwić, że dla prawicowej władzy rezerwuarem „patriotycznej młodzieży" są „kibole", a nie np. w swojej masie lewicowi lub liberalni studenci uniwersytetów?

Jeśli kiedyś (oby już jesienią!) uda się odsunąć PiS od władzy, to jednym z najważniejszych zadań kolejnej ekipy rządzącej, o ile rzeczywiście leży jej na sercu dobro i przyszłość Rzeczypospolitej, będzie zbudowanie programu naprawy polskiej szkoły i polskiej nauki. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 66d62a834a

Paweł Siergiejczyk

Dwóch wrogów Kaczyńskiego

Kościół katolicki ma największe prawo i wręcz obowiązek, by walczyć z antyniemieckim resentymentem Polaków

78 lat po zakończeniu II wojny światowej polska prawica nadal prowadzi tę samą wojnę, najwyraźniej nie mogąc się pogodzić z jej historycznym wynikiem. Co więcej, prowadzi tę wojnę na dwóch frontach, czyniąc w ten sposób oficjalną polityką państwa „doktrynę dwóch równorzędnych wrogów" – Niemiec i Rosji – którą wyznawały jedynie Narodowe Siły Zbrojne, bo przecież nie rząd RP na uchodźstwie ani podległa mu Armia Krajowa.

Wrogość wobec Rosji w sytuacji wojny na Ukrainie można oczywiście zrozumieć, skoro takie jest stanowisko całego NATO, choć nie musi ona przybierać tak karykaturalnych rozmiarów jak u nas. Znacznie rozsądniejsze jest podejście Francuzów czy Niemców, wspierających walczącą Ukrainę konkretnymi działaniami, a nie krzykliwą propagandą swoich przywódców, z której niewiele wynika. Poparcie dla Ukraińców nie musi też się łączyć ze szpiegomanią i tropieniem na każdym kroku „ruskich agentów" ani z potępianiem w czambuł całej polityki zagranicznej III RP, która wraz z innymi krajami Zachodu nieraz podejmowała próby pokojowej współpracy z Rosją.

Trudno jednak spodziewać się czegoś innego, skoro rusofobia i polowanie na agentów (wraz z chorobliwym antykomunizmem i politycznym klerykalizmem) od początku lat 90. stanowiły podstawę ideologii polskiej prawicy. A ponieważ prawica różnych odcieni dominuje w życiu publicznym III RP – i dominowała nawet wtedy, gdy bezpośrednio nie rządziła państwem – praktycznie nie ma dziś liczących się środowisk, które miałyby odwagę zakwestionować nieprzejednaną antyrosyjskość pisowskich władz (również w takich dziedzinach jak kultura czy sport).

O ile skrajna rusofobia Polaków może jedynie budzić politowanie w Europie i świecie, o tyle nasilająca się równocześnie wrogość wobec Niemiec jest już kompletnym absurdem. I chyba tylko znacznie większemu rozsądkowi politycznemu i anielskiej cierpliwości niemieckich elit należy zawdzięczać brak jakiejkolwiek reakcji Berlina na to antyniemieckie szambo, które codziennie leje się z rządowych i prorządowych mediów, realizujących „doktrynę Kaczyńskiego", czyli przekonanie, że bez jego rządów Polska byłaby nadal „niemiecko-rosyjskim kondominium".

O ile skrajna rusofobia Polaków może budzić politowanie w Europie i świecie, o tyle nasilająca się równocześnie wrogość wobec Niemiec jest kompletnym absurdem.

Bzdury o IV Rzeszy

Otwarta antyniemieckość władz w Warszawie – nieporównywalna z niczym w Europie, bo nawet władze węgierskie nie przejawiają takiej obsesji – ewidentnie szkodzi Polsce. Kto tego nie widzi, ten jest całkowicie zamroczony lub świadomie kłamie. Niemcy bowiem są jedynym znaczącym krajem w Unii Europejskiej i NATO, który jest żywotnie zainteresowany trwałym sukcesem politycznym i gospodarczym Polski jako jednego ze swoich dwóch największych sąsiadów (obok Francji). U nas jednak mało kto zdaje sobie sprawę z tej oczywistej prawdy, gdyż dominuje zadawniona nieufność wobec Niemców i kompletny brak zrozumienia, czym jest Republika Federalna Niemiec – istniejące od 1949 r. państwo demokratyczne, liberalne, antyfaszystowskie, lojalne wobec europejskich i atlantyckich partnerów. Tymczasem w prawicowej propagandzie powtarza się u nas bzdury o IV Rzeszy, a przywódców RFN ubiera w hitlerowskie mundury i przypisuje im „tradycyjny niemiecki imperializm".

Co jeszcze bardziej absurdalne, dotyczy to nie tylko niemieckiej prawicy (CDU), lecz także lewicy (SPD), której zarzuca się równocześnie skrajną prorosyjskość czy wręcz agenturalność wobec Moskwy. Koronnym dowodem jest tu postać byłego kanclerza Gerharda Schrödera, którego biznesowe związki z Rosją nigdy nie stanowiły tajemnicy. Ale czy ktoś w Polsce chce pamiętać, że to za jego urzędowania Polska weszła najpierw do NATO, a potem do Unii Europejskiej – w tym drugim wypadku na całkiem dobrych warunkach, które udało się wynegocjować dzięki przychylności rządu w Berlinie? Właśnie z tego powodu prezydent Aleksander Kwaśniewski uhonorował Schrödera najwyższym polskim odznaczeniem – Orderem Orła Białego. Zrobił to również wobec jego poprzednika, Helmuta Kohla, dwóch kolejnych prezydentów RFN: Johannesa Raua z SPD

eprasa.pl 66d62a834a

W 2003 r. prezydent Aleksander Kwaśniewski odznaczył Orderem Orła Białego niemieckiego tłumacza oraz popularyzatora polskiej literatury Karla Dedeciusa.

i Horsta Köhlera z CDU, oraz wybitnego niemieckiego tłumacza i propagatora polskiej literatury Karla Dedeciusa. Warto podkreślić ten fakt, bo żaden inny prezydent III RP nie miał tyle odwagi i przyzwoitości, by w ten sposób docenić jakiegokolwiek innego Niemca, choć następcy Kwaśniewskiego rozdawali Ordery Orła Białego na lewo i prawo, także obcokrajowcom. A przecież jest to order chyba najlepiej symbolizujący polsko-niemiecką współpracę, bo ustanowił go w 1705 r. król Polski i władca Saksonii August II Mocny (notabene wybrany przez szlachtę na następcę Jana III Sobieskiego, który dowodził pod Wiedniem wspólną ofensywą wojsk polskich i niemieckich przeciw Turkom).

Niemieckie nazwiska

Polska prawica zdradziła więc ideę tej współpracy, sięgającej czasów Mieszka I (jego druga żona Oda była wszak Niemką), Bolesława Chrobrego (pamiętna wizyta cesarza Ottona III w Gnieźnie) i Mieszka II, mającego za żonę Rychezę, pierwszą królową Polski i matkę Kazimierza Odnowiciela. Jakże wymownym śladem już nawet nie współpracy, ale wręcz ciągnącej się przez całe tysiąclecie symbiozy polsko-niemieckiej są liczne nazwiska współczesnych Polaków, będących potomkami przybyszów zza Odry, którzy w minionych wiekach osiedlali się na ziemiach polskich, wzbogacając tutejszą gospodarkę i kulturę. Wystarczy spojrzeć na prawą stronę obecnego Sejmu, by znaleźć ludzi noszących takie właśnie nazwiska: Müller, Schreiber, Fogiel, Wassermann, Hoffmann, Rau, Schmidt, Weber, Ajchler, Braun, Mikke...

Do tego, że polska prawica nie zna polskiej historii (choć tak często instrumentalnie się nią posługuje), można już było przywyknąć. Do tego, że gardzi polskim państwem – również. Nie powinno zatem nikogo dziwić, że ośmioletnie rządy PiS zniszczyły dorobek całego ćwierćwiecza pojednania polsko-niemieckiego, które było wspólnym osiągnięciem obu środowisk zasiadających przy Okrągłym Stole: ludzi lewicy (z prezydentem Kwaśniewskim na czele) oraz liberalnych demokratów wywodzących się z Solidarności (z Tadeuszem Mazowieckim, Bronisławem Geremkiem i Donaldem Tuskiem). Ale geneza tego pojednania sięga czasów PRL: układu polsko-niemieckiego z grudnia 1970 r., podpisanego przez premiera Józefa Cyrankiewicza i kanclerza Willy'ego Brandta, a potem bliskiej współpracy Edwarda Gierka z kanclerzem Helmutem Schmidtem. Warto przypomnieć, że obaj ci niemieccy przywódcy reprezentowali tak dziś postponowaną u nas socjaldemokrację. I że jednym z akuszerów polskiej współpracy z SPD był Mieczysław F. Rakowski – wieloletni redaktor naczelny „Polityki", ostatni premier PRL i I sekretarz KC PZPR. Ta współpraca stanowiła w latach 70. i 80. najważniejsze polskie „okno na Zachód", wytyczając szlaki europejskiej polityki demokratycznej Polski po 1989 r.

Geneza polsko-niemieckiego pojednania sięga czasów PRL: układu z grudnia 1970 r., a potem współpracy Edwarda Gierka z kanclerzem Helmutem Schmidtem.

Jednak polska prawica zdradza i zaprzepaszcza nie tylko dorobek polskiej lewicy – do tego też już niestety zdążyliśmy się przyzwyczaić. Polska prawica zdradza także dorobek polskiego Kościoła, w tym Stefana Wyszyńskiego i Karola Wojtyły, na których tak często się powołuje.

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl 66d62a834a

Obaj kardynałowie byli przecież sygnatariuszami listu biskupów polskich do niemieckich, wystosowanego w listopadzie 1965 r. podczas obrad Soboru Watykańskiego II. W liście tym po raz pierwszy po wojnie dokonano uczciwego bilansu stosunków polsko-niemieckich na przestrzeni dziejów i zawarto historyczne zdanie: „W tym jak najbardziej chrześcijańskim, ale i bardzo ludzkim duchu wyciągamy do Was, siedzących tu na ławach kończącego się Soboru, nasze ręce oraz udzielamy wybaczenia i prosimy o nie".

Czy dzisiejsi „obrońcy dobrego imienia papieża Polaka" byliby w stanie – tak jak on to uczynił – podpisać się pod tymi słowami? Czy wśród naszych katolików istnieje w ogóle świadomość, że 20 lat po pokonaniu III Rzeszy przywódcy polskiego Kościoła nie żądali od Niemców reparacji, odszkodowań, wyrównania krzywd, ale po prostu wybaczali i prosili o wybaczenie? A skoro wybaczali w roku 1965, to dlaczego polski episkopat milczy w roku 2023, gdy stroją ca się w szaty obrońców Kościoła rządząca prawica nakręca bezprecedensową kampanię nienawiści wobec współczesnych Niemców jako rzekomo odpowiedzialnych za zbrodnie II wojny światowej? Czy któryś z polskich biskupów miałby dziś odwagę prymasa Wyszyńskiego i kard. Wojtyły (a przede wszystkim arcybiskupa wrocławskiego Bolesława Kominka, inicjatora i autora tekstu listu), by wobec zachodniego sąsiada przyjąć chrześcijańską, a nie nacjonalistyczną postawę – wbrew resentymentowi znacznej części własnych rodaków?

20 lat po pokonaniu III Rzeszy przywódcy polskiego Kościoła nie żądali od Niemców odszkodowań, ale wybaczali i prosili o wybaczenie. Dlaczego polski episkopat milczy w roku 2023?

Tchórzliwa cisza

A przecież Kościół katolicki jest tą instytucją, która ma największe prawo i wręcz obowiązek, by z antyniemieckim resentymentem Polaków walczyć. Religię chrześcijańską Polacy przyjęli za pośrednictwem Niemców (o czym nie chce się u nas pamiętać), a ile można wymienić ważnych postaci niemieckiego pochodzenia w polskim Kościele: od św. Jadwigi Śląskiej, księżniczki bawarskiej z XIII w. i żony księcia Henryka Brodatego, poprzez XVI-wiecznego kardynała Stanisława Hozjusza, ważną postać europejskiej kontrreformacji, po św. Maksymiliana Kolbego, założyciela Niepokalanowa i męczennika Auschwitz. Wieloletnia bliska współpraca Jana Pawła II z kard. Ratzingerem i późniejszy pontyfikat niemieckiego papieża także powinny naszych hierarchów do czegoś zobowiązywać. Tymczasem po tej stronie panuje tchórzliwa cisza. Ale czy powinno nas to dziwić, skoro przez tyle lat polski Kościół nie zdecydował się na gest wybaczenia i pojednania wobec własnych rodaków, którzy w czasach PRL stali po stronie władzy? Czy w tej sytuacji można oczekiwać podobnego gestu wobec sąsiadów zza Odry?

Żadna wojna nie sprzyja rozsądkowi politycznemu ani zwykłej przyzwoitości. Wojny generują jedynie nienawiść, podłość i głupotę. Tak jest również w przypadku obecnej wojny na Ukrainie, która umożliwiła rozpętanie w głowach Polaków nie tylko wojny polsko-rosyjskiej, ale i polsko-niemieckiej. Trudno w tej sytuacji być optymistą, bo nawet przegrana prawicy w wyborach (co przecież wcale nie jest pewne) nie wyplewi od razu tego zatrutego ziarna z polskich dusz. Na to potrzeba długich lat, może nawet całych pokoleń.

Paweł Siergiejczyk

PAŃSTWO LAICKIE CZY JUŻ WYZNANIOWE

W kraju, który zmaga się z problemem wykorzystywania przez polityków symboli religijnych oraz postaci Jana Pawła II i stoi przed pytaniem: państwo świeckie czy konfesyjne, każda poważna debata na ten temat jest godna zauważenia. Z tym większym zainteresowaniem warto się przyjrzeć międzynarodowej konferencji naukowej „Aktualne problemy stosunków wyznaniowych oraz laickości państwa w Polsce w kontekście międzynarodowym", zorganizowanej przez Zakład Prawa Wyznaniowego Wydziału Prawa i Administracji UW oraz Katedrę Prawa Wyznaniowego ChAT.

Już same tytuły niektórych referatów naukowców z Polski zapowiadają ich szeroki zakres: „III Rzeczpospolita jako państwo o cechach wyznaniowych" (prof. Paweł A. Leszczyński), „Polityzacja religii i Kościoła we współczesnej Polsce" (prof. Małgorzata Winiarczyk-Kossakowska), „Kwestia nadreprezentacji religii w systemie oświaty publicznej w Polsce" (prof. Tadeusz Jacek Zieliński), „Symbole religijne w przestrzeni publicznej w Polsce" (prof. ucz. dr hab. Maksymilian Stanulewicz). Część wystąpień będzie dotyczyła finansowania związków wyznaniowych oraz stosunku państwa i Kościoła katolickiego do mniej licznych Kościołów i środowisk laickich. Ciekawe będzie zderzenie sytuacji i regulacji prawnych w Polsce z tym, co jest w świecie, głównie w Europie, zaprezentowane przez uczonych z francuskiej Sorbony, Królewskiej Akademii Belgijskiej i innych uczelni. ■

Konferencja odbędzie się w Sali Senatu UW 15 kwietnia (sobota) w godz. 9-18.

eprasa.pl 66d62a834a

Inflacja chciwych

Firmy mają liczne wymówki, by podnieść ceny – klienci nie mają wymówki, by się na to nie zgodzić

Koncern Pepsi podniósł ceny dla amerykańskiego konsumenta o ok. 17%.

Jakub Dymek

Mówią coś państwu pojęcia „chciflacja", „excuseflacja", „pepsiflacja"? A może chociaż „inflacja sprzedawców" albo „spirala marżowo-cenowa"? Nie? Nic straconego. Zacznijmy od początku.

Za nowymi terminami kryje się wcale nie nowy spór. Kto odpowiada za wszechobecną drożyznę, jak ją wytłumaczyć i co zrobić, by ulżyć zwykłym ludziom? Dziś już nie tylko lewicowi i heterodoksyjni – czyli niemieszczący się w głównym nurcie – ekonomiści szukają niesztampowych wyjaśnień i lepszych odpowiedzi na te pytania. Może wskazówką będzie przyjrzenie się czemuś, co każdy zna – cenom puszki gazowanego napoju i paczki chipsów.

Bąbelki coraz droższe

W minionym roku koncern Pepsi, producent napojów gazowanych i przekąsek, podniósł ceny dla amerykańskiego konsumenta o ok. 17%. Na pierwszy rzut oka nic podejrzanego – wszyscy podnoszą ceny, przecież na tym właśnie polega inflacja. Jednak podwyżki cen napojów i chipsów produkowanych przez Pepsi były średnio większe (i to znacznie) niż wysokość inflacji producenckiej w USA – czyli, najogólniej mówiąc, wyższe od podwyżki kosztów, jakie musiał ponieść producent przed wprowadzeniem towaru na rynek. Inflacja producencka wyniosła bowiem w szczytowym momencie 2022 r. 11,2%. Podwyżki cen gazowanego napoju były też wyższe niż średnia inflacja dla amerykańskiego konsumenta ogółem (6,5%) oraz inflacja produktów spożywczych (13,5%).

Pojawia się zatem pytanie, dlaczego firma podniosła ceny, i to w takim stopniu. Najkrótsza odpowiedź: bo mogła. W momencie dużej społecznej niepewności firmy wykorzystują okazję i windują ceny. Gdy klienci – czyli my, społeczeństwo – słyszą wkoło o wojnie, „zerwanych łańcuchach dostaw", blokowanych portach i „większych kosztach frachtu", o drożejącej ropie i skutkach chińskich lockdownów, są gotowi zapłacić więcej. Akceptują konieczność podwyżek albo i tak nie mają innego wyboru.

Producenci dóbr codziennego użytku – ale także elektroniki, samochodów, części niezbędnych w przemyśle itd. – mają przewagę. Nikt

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 66d62a834a

poza nimi nie wie tak naprawdę, jaka podwyżka byłaby uzasadniona. To daje przestrzeń, aby podnieść ceny towarów ponad rosnące koszty produkcji. Gdy zaś koszty produkcji spadają – bo tanieje ropa i gaz, bo normują się ceny zbóż i olejów na światowych rynkach albo koszt importu części wraca do wcześniejszego poziomu – ceny towarów na sklepowych półkach wcale nie maleją. Marże zaś są i pozostają wysokie.

Dlatego coraz częściej mówi się w tym kontekście o zjawisku „excuseflacji" – od angielskiego *excuse*, czyli wymówka. Firmy mają liczne wymówki, by podnieść ceny – klienci nie mają wymówki, by się na to nie zgodzić. Agencja Bloomberg oddała tę mentalność za pomocą wywiadu z brutalnie szczerym piekarzem z USA. Wytłumaczył on dziennikarzom, że ilekroć dzieje się coś złego, co odbija się na niezbędnych w branży piekarskiej produktach – jajach, mące, tłuszczach – on podnosi ceny. „Czy chodzi o braki w dostawach mąki żytniej, czy atak ptasiej grypy, gdy ludzie słyszą podobne doniesienia w telewizji, dla biznesu to okazja do podwyżek – bez narażania się na skargi ze strony klientów", opowiadał. Gdyby wszyscy producenci byli podobnie szczerzy jak rozmówca Bloomberga, żylibyśmy w innej rzeczywistości. A tak zwykli ludzie zastanawiają się przy każdej kolejnej wizycie w markecie, dlaczego akurat ten towar dziś podrożał i dlaczego o tyle.

Dlaczego jednak trzeba wymyślać nowe pojęcia? Po części dlatego, że ekonomia głównego nurtu i jej wytłumaczenia obecnej inflacji przestają działać.

Niewidzialna ręka w paczce chipsów

Lekcje konwencjonalnej ekonomii uczą, że gdy jedna firma podnosi ceny, jej konkurencja powinna swoje obniżyć albo przynajmniej utrzymać na niezmienionym poziomie. Wtedy klienci zniechęceni podwyżkami poszukają tańszej alternatywy. I albo przerzucą się na inny produkt, albo ograniczą konsumpcję tego droższego – i tak czy inaczej popyt na droższy spadnie. O tym przecież mówią najróżniejsze teorie równowagi rynkowej i to podpowiada ekonomiczny „chłopski rozum" neoliberalizmu.

Oczywiście nic podobnego się nie stało. Jak już pod koniec ostatniego roku donosiły amerykańskie dzienniki, „Wall Street Journal" czy „New York Times", konkurencja Pepsi, zamiast obniżyć ceny, sama je podniosła. Klient więc nie miał możliwości przerzucić się z ulubionej marki chipsów czy gazowanego napoju na inną, bo inne też drożały. Ktoś powie, że nic w tym złego. Po pierwsze, tak działa wolny rynek. A po drugie, chipsy niezbędne do życia nie są – i jeśli ktoś nie chce za nie przepłacać, niech po prostu z nich zrezygnuje. Wyjdzie tylko na zdrowie.

To jednak nie takie proste. Część klientów rzeczywiście zrezygnowała lub ograniczyła konsumpcję – ale szacunki wskazują, że spadek spożycia napojów gazowanych w minionym roku był dużo mniejszy od wzrostu kosztów. Serwisy branżowe podają np., że różne gałęzie firmy Pepsi zanotowały w czwartym kwartale 2022 r. spadek sprzedaży o 2-7%, ale zyski za ten okres wzrosły o 14,6%. Firmy zatem mogą sobie zrekompensować ewentualną utratę klientów. Dzięki ograniczeniu promocji lub wprowadzaniu mniejszych – ale obłożonych większą marżą – opakowań udaje się także z nadwyżką zarobić nawet w czasach, gdy klient zmuszony jest szukać jak najtańszych produktów.

Po drugie, i ważniejsze, mechanizm nie dotyczy wyłącznie Pepsi – i nie o segment gazowanych napojów i kalorycznych przekąsek tak naprawdę chodzi. Dzięki wielkiej koncentracji produkcji pojedyncze koncerny oferują szeroki asortyment produktów dużo bardziej niezbędnych do codziennego życia niż napoje i chipsy. Te same firmy, które są właścicielami znanych marek napojów, produkują też pieluszki dla dzieci, artykuły higieniczne, chemię domowego użytku, wodę butelkowaną i płatki śniadaniowe.

Ludzie nie zrezygnują – a przynajmniej nie z dnia na dzień – z używania pieluszek, prania ubrań, picia wody i sprzątania mieszkania. Indywidualne strategie oszczędzania mają ograniczoną użyteczność – można zmniejszyć temperaturę w mieszkaniu o pół stopnia, ale jeśli przyjdzie sroga zima, to i tak zapłacimy wyższe rachunki. Możemy kupić tańsze buty, ale w perspektywie czasu niewiele na tym zaoszczędzimy, bo szybciej się zużyją. Na razie więc klienci zgadzają się na podwyżki, tłumacząc je

eprasa.pl 66d62a834a

sobie nieuchronną koniecznością. A przy okazji finansują firmom coraz większe marże. Tak wygląda „pepsiflacja" – albo „inflacja sprzedawców" – w praktyce.

Spirala, ale jaka?

Czy zatem możemy rzeczywiście mówić, że dziś większe marże korporacji i zyski odpowiadają za inflację? Zbadała to para ekonomistów z Uniwersytetu Massachusetts w Amherst, Isabella Weber i Evan Wasner. W niedawnym artykule naukowym „Sellers' Inflation, Profits and Conflict: Why can Large Firms Hike Prices in an Emergency?" (Inflacja sprzedawców, zyski i konflikt. Dlaczego wielkie firmy podnoszą ceny w czasach stanu wyjątkowego?) dowodzą, że tak. Weber i Wasner pokazują, że marże amerykańskich korporacji tak urosły w szczycie pandemii i kolejnych miesiącach, że sięgnęły poziomów niewidzianych od II wojny światowej. Firmy mogą podnosić ceny bez obaw o reakcje klientów, gdy spełnione są dwa warunki. Po pierwsze, gdy wiedzą, że inni zrobią podobnie. Po drugie, gdy zewnętrzne wstrząsy dają tym firmom pozycję wystarczająco mocną, aby dyktować ceny. Nie trzeba doktoratu z ekonomii, żeby zauważyć, że dzisiejsza sytuacja spełnia – i to z nawiązką – oba te warunki. A jest wiele powodów, by sądzić, że nadzwyczajne okoliczności, które badacze wiązali z pandemią COVID-19, nie tylko nie zniknęły, ale wręcz się mnożą – z powodu wojny w Ukrainie, sankcji na rosyjskie surowce i globalnej niepewności w handlu.

Przykładów tego, jak firmy mogą wykorzystywać swoją przewagę w czasie kryzysu, nie trzeba też szukać za oceanem – wystarczy spojrzeć, jaką politykę cen i marż zastosował w Polsce Orlen. Jak tłumaczył na łamach PRZEGLĄDU niedawno dr Michał Możdżeń: „Orlen zachował się jak typowy monopolista w kryzysie", wykorzystując niemal monopol na rynku hurtowym paliw, by narzucić wszystkim wysokie ceny. W rezultacie paliwo na stacjach Orlenu dla detalistów nie było ani wiele tańsze, ani droższe niż gdzie indziej, ale koncern swoje zyski czerpał z wielkiej marży narzucanej klientom hurtowym, którzy nie mogli natychmiast się przestawić na dostawy z innego źródła. Zwiększony popyt na ropę i paliwa z każdego innego niż rosyjski kierunku oraz widmo sankcji ograniczyły również konkurencję i dały większą swobodę w kształtowaniu cen producentom paliw.

> Marże amerykańskich korporacji urosły w szczycie pandemii i kolejnych miesiącach do poziomów niewidzianych od II wojny światowej.

Jeśli z jakiegoś powodu – przerw w dostawach z Chin albo nagle drożejących surowców – jeden dostawca musi podnieść ceny, to jego odbiorcy także wkalkulowują podobną podwyżkę i podnoszą ceny własnych produktów. I tak dalej, aż podwyżki cen dotrą na sklepowe półki. Dlatego Weber i Wasner mówią o inflacji sprzedawców, która ma mniej wspólnego z podażą pieniądza i polityką banków centralnych, a więcej z warunkami gry ustalanymi przez podmioty zdolne dyktować ceny.

Dlaczego jednak wszyscy podnoszą ceny bezkarnie? Bo póki bezrobocie jest niskie, a pracownicy są w stanie wywalczyć podwyżki choćby częściowo rekompensujące inflację, nie ma powodu, by ceny obniżać. Widzieliśmy to na przykładzie napojów gazowanych: ludzie kupią ich mniej, ale łącznie zapłacą więcej. Tradycyjnie ekonomiści tłumaczyli groźną dla gospodarki inflację za pomocą tzw. spirali płacowo-cenowej – ludzie domagają się podwyżek, więc koszty produkcji idą w górę, w górę idą zatem ceny, a inflacja nie może spać i się nakręca. Dziś przedstawiciele nowych szkół w ekonomii i co trzeźwiejsi obserwatorzy mówią, że owszem, widzimy spiralę – tylko o zupełnie innym charakterze. Nazywają ją spiralą marżowo-cenową lub marżowo-płacową.

To obserwacje, które korespondują z odkryciem Weber i Wasnera. Większe marże, a więc i ceny dla konsumentów, oznaczają, że pracownicy będą się domagać podwyżek. Podwyżki prowadzą do sytuacji, w której konsumentów stać na – mniej więcej – to samo, firmy nie mają zatem powodu, aby rezygnować z podwyżek cen, nawet gdy koszty produkcji już spadną. To zaś powoduje, że banki centralne mają ograniczone pole działania, a zwalczanie inflacji za pomocą manipulowania stopami procentowymi przynosi gorsze rezultaty.

Jeden z wniosków, jakie można wyciągnąć z tekstu Weber i Wasnera, jest więc taki, że albo firmy zatrzymają podwyżki cen, albo dopiero wzrost bezrobocia i pogorszenie się warunków na rynku pracy zatrzyma inflację. Bo – i tu apelują do nas ekonomiczni „heterodoksi" – wiemy już, że inflacja jest nie tylko zjawiskiem dotyczącym pieniądza, ale też konfliktem różnych grup interesu. W czasie gdy wszystko drożeje, każdy uważa, że ma prawo zrekompensować sobie podwyżki większymi zyskami. Pytanie, kto pierwszy tę rywalizację przegra lub ustąpi – pracownicy czy biznes.

A wniosek dla nas wszystkich jest taki, że być może warto do tych nowych terminów powoli się przyzwyczajać. Wszystko wskazuje, że jeszcze trochę z nami pozostaną.

Jakub Dymek
j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 66d62a834a

TikTok – Chiny widzą wszystko

Chińska aplikacja społecznościowa może służyć do inwigilacji. Polski minister cyfryzacji nie ma z tym jednak problemu

Kornel Wawrzyniak

W ostatnich tygodniach w mediach głośno jest o TikToku – platformie społecznościowej, w której zamieszcza się krótkie filmiki. O co więc ten hałas? Z pozoru niewinna aplikacja dla nastolatków jest tak naprawdę potężnym narzędziem, które władze Chin mogą wykorzystać do własnych celów, i to na kilka sposobów. Jednym z nich jest inwigilacja użytkowników, drugim sianie dezinformacji, a na deser mamy algorytm, który ułatwia pogłębianie polaryzacji w społeczeństwach. TikTok ma obecnie ponad 1 mld aktywnych użytkowników na całym świecie.

To nie moja ręka

Stara złodziejska zasada głosi, że nawet jak cię złapią na gorącym uczynku, do samego końca masz twierdzić, że ręka, która kradła, nie była twoja. Taką strategię obrał w ostatnim czasie TikTok. Pod koniec marca 2023 r. przed Izbą Reprezentantów Stanów Zjednoczonych zeznawał jego szef Shou Zi Chew. Prezes TikToka starał się przekonać amerykańskich polityków, że aplikacja nie stanowi żadnego zagrożenia dla Amerykanów. Kongresmeni podkreślali, że choć firma ByteDance będąca jej właścicielem jest prywatną spółką, pracują w niej osoby powiązane z Komunistyczną Partią Chin. Dodatkowo prawo zobowiązuje chińskie firmy do przekazywania gromadzonych danych władzom w Pekinie. To oznacza, że informacje związane z każdym użytkownikiem aplikacji na świecie mogą trafić w ręce chińskiego rządu.

O zagrożeniu dla prywatności użytkowników TikToka amerykańskie służby ostrzegały już w listopadzie 2022 r. Miesiąc później ustalono, że pracownicy ByteDance inwigilowali dziennikarzy amerykańskiej edycji „Forbesa", którzy pisali krytycznie o chińskiej aplikacji. Związani z TikTokiem pracownicy śledzili dzięki zgromadzonym w aplikacji danym, gdzie dziennikarze przebywali i z kim się spotykali. W tym miejscu powraca wspomniana wcześniej zasada o nieprzyznawaniu się do własnej ręki. Przedstawiciele TikToka tłumaczyli, że cała afera z namierzaniem dziennikarzy miała jedynie na celu ustalić, kto sprzedawał prasie informacje dotyczące korporacji. Zupełnie przemilczano fakt, że bardzo niepokojący jest sam wyciek tak wrażliwych danych jak lokalizacja, a tym bardziej wykorzystywanie tych informacji do wewnętrznych celów jakiejkolwiek firmy.

Co więcej, inwigilacja dziennikarzy zaczęła się po ujawnieniu przez „Forbesa", że 300 osób pracujących w TikToku ma związki z chińskimi państwowymi mediami, do których podobnie jak do naszej TVP nie trafiają ludzie z przypadku. Dziennikarze „Wall Street Journal" opisywali zaś w 2020 r., że w latach 2018-2019 aplikacja zbierała bez zgody i wiedzy użytkowników unikatowe numery identyfikacyjne urządzeń, tzw. adresy MAC. Co to dokładniej oznacza? Mniej więcej tyle, że TikTok wiedział, z jakich aplikacji korzystają poszczególni użytkownicy i co w nich dokładnie robią.

Ze względu na te wszystkie doniesienia instytucje unijne zakazały swoim urzędnikom używania TikToka. Na podobny krok zdecydowały się też poszczególne państwa, w tym USA. Dodatkowo w Stanach dyskutuje się o tym, czy zakazać aplikacji w całym kraju nawet obywatelom. Swoje obawy wobec platformy wyrażał dyrektor FBI Christopher Wray, który twierdził podczas posiedzenia Komisji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, że chiński rząd mógłby używać TikToka nie tylko do gromadzenia danych o milionach użytkowników, ale również do wpływania na nich za pomocą algorytmów i, co najbardziej przerażające, do przejęcia kontroli nad oprogramowaniem większości urządzeń.

Shou Zi Chew próbował tymczasem przekonać Izbę Reprezentantów, że jego firma nie ma nic wspólnego z chińskim rządem, a ByteDance dba o cyberbezpieczeństwo Amerykanów. Jednym z argumentów miało być to, że właściciele TikToka wydali ponad 1,5 mld dol. na tzw. Project Texas, który – poprzez magazynowanie na serwerach znajdujących się w Stanach Zjednoczonych – ma zapewnić ochronę danych ponad 150 mln użytkowników. Naturalnie od razu pojawia się pytanie: to do tej pory dane te nie były w Chinach bezpieczne?

Pracownicy ByteDance inwigilowali dziennikarzy amerykańskiej edycji „Forbesa", którzy pisali krytycznie o chińskiej aplikacji.

Zi Chew chciał odwrócić całą narrację i postawić się w roli pokrzywdzonego. Przyjął argumentację, że zarzuty Amerykanów dotyczą głównie struktury właścicielskiej firmy, a w mniejszym stopniu technicznych aspektów aplikacji. Słowem, zasugerował, że Amerykanie robią mu pod górkę, bo TikTok jest konkurencją dla amerykańskich platform społecznościowych. W świetle ustaleń z ostatnich trzech lat jest to jednak mówienie: to nie moja ręka. Amerykańscy kongresmeni nie dali się zresztą przekonać wystąpieniu Shou Zi Chewa. – W rzeczywistości zwiększyło się prawdopodobieństwo, że

eprasa.pl 66d62a834a

Kongres podejmie jakieś działania – podsumował na antenie ABC News republikański przewodniczący Komisji Specjalnej Izby Reprezentantów Mike Gallagher.

PiS Chin się nie boi

Również w Polsce temat TikToka stał się gorący. Pod koniec marca Rada ds. Cyfryzacji podjęła uchwałę, w której rekomenduje wprowadzenie nakazu usunięcia aplikacji z urządzeń służbowych urzędników i pracowników administracji publicznej ze względu na zagrożenie dla bezpieczeństwa danych znajdujących się na tych urządzeniach. Można uznać, że to całkiem logiczna propozycja w kontekście zagranicznych doniesień. Logika i cyberbezpieczeństwo nie są jednak mocnymi stronami urzędników Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. Sekretarz stanu Janusz Cieszyński, odpowiedzialny w KPRM za cyfryzację, odniósł się do stanowiska rady jeszcze tego samego dnia za pośrednictwem platformy Twitter. Polityk stwierdził, że uchwała nic nie zmienia, ponieważ organ ma tylko funkcję doradczą, a więc jej rekomendacje do niczego kancelarii premiera nie zobowiązują.

Cieszyński wyjaśnił: „Rada w swoim stanowisku nie przedstawiła technicznych dowodów potwierdzających zagrożenie płynące z posiadania TikToka na telefonie użytkownika". Takie postawienie sprawy jest co najmniej nietypowe w kontekście wszystkich dostępnych informacji o TikToku. Być może jednak do resortu cyfryzacji te rewelacje jeszcze nie dotarły. Można by jednak się spodziewać, że urzędnicy odpowiadający za cyfryzację korzystają z internetu chociaż do przeglądania portali informacyjnych, gdzie w ostatnim czasie doniesień o TikToku nie brakuje. Kiedy zaś w grę wchodzi wykradanie danych użytkowników, które udowodniono, to udawanie przez rząd, że problemu nie ma, wydaje się absurdalne.

Powodem, dla którego KPRM może pozostawać ślepa na wady TikToka, jest jego ogromny potencjał wpływania na młodych wyborców. Przypomnijmy, że PiS ma konto na chińskiej platformie, na którym do niedawna mogliśmy znaleźć m.in. słynne pytanie Radosława Fogla, dlaczego młodzież tak bardzo nienawidzi PiS. Znajdziemy tam też 11 filmów o Donaldzie Tusku. Nie jest to zresztą jedyny sposób partii rządzącej na dotarcie do młodych na TikToku. Była jeszcze karykatura młodzieżowego konta o nazwie „Okiem młodych". Gwiazdką „Oka…" został 22-letni student prawa Oskar Szafarowicz, dziś mierzący się z konsekwencjami swojej hejterskiej działalności wobec rodziny posłanki Filiks.

Ostatecznie zaś można przyjąć, że po aferze ze skrzynką mejlową Dworczyka na temat PiS jest już w sieci po prostu wszystko, więc partia dalszych wycieków się nie boi.

Prawdziwe zagrożenie

Według raportu firmy Hootsuite zajmującej się mediami społecznościowymi TikTok odnotował imponujący skok popularności, stając się piątą najczęściej używaną aplikacją wśród Polaków w grupie wiekowej 16-64 lata. Użytkownicy chińskiej aplikacji stanowią 34,1% internautów znad Wisły. Dane zebrane przez firmę OpenMobi wskazują, że już w 2021 r. z TikToka korzystało w Polsce 8 mln osób. Dominującą grupę stanowiły osoby w wieku 18-34 lata. Drugą najliczniejszą jest młodzież w wieku 14-17 lat. Dlaczego to ważne? Ponieważ coraz więcej osób w Polsce korzysta z mediów społecznościowych jako głównego źródła informacji. Najmłodsi internauci zastąpili m.in. TikTokiem wyszukiwarki internetowe, gdy chcą się czegoś dowiedzieć. I to zjawisko powinno nas niepokoić.

We wrześniu 2022 r. organizacja NewsGuard dostarczyła danych, z których jasno wynika, że aż 20% treści zamieszczanych na chińskiej platformie zawiera albo błędne informacje, albo fake newsy. Badacze przyjrzeli się, jakie filmiki wyskakują, kiedy wpisze się hasła odnoszące się do aktualnych wydarzeń. Na 27 zapytań pojawiło się 540 filmików, z czego aż 105 zawierało nieprawdziwe informacje. – TikTok podaje użytkownikom fałszywe i wprowadzające w błąd

Związani z TikTokiem pracownicy śledzili dzięki zgromadzonym w aplikacji danym, gdzie dziennikarze przebywali i z kim się spotykali.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 66d62a834a

treści dotyczące wojny w Ukrainie w ciągu 40 minut od ich zarejestrowania się w aplikacji, niezależnie od tego, czy wyszukują cokolwiek na platformie – podkreślają analitycy z NewsGuard. Według sieci medyczno-terapeutycznej PlushCare dziewięć na dziesięć publikowanych na TikToku filmów dotyczących depresji wprowadza użytkowników w błąd, ponieważ zawiera nieścisłe informacje, a 14% można uznać za potencjalnie szkodliwe.

Małgorzata Fraser, niezależna analityczka współpracująca z portalem CyberDefence24, wskazuje, że algorytmy TikToka uczą się w ekspresowym tempie zachowań użytkowników. Wystarczy obejrzeć dwa filmy na dany temat, aby algorytm zaczął nas karmić bardzo precyzyjnie dobranymi treściami. Co więcej, specjaliści badający media wskazują, że chińska platforma opiera się na podgrzewaniu emocji użytkowników, dlatego algorytm oprócz odpowiadających naszym poglądom materiałów zacznie również wplatać wideo stojące w skrajnej opozycji do tego, co nam się podoba. Nic tak dobrze nie nakręca ruchu na platformie jak eskalujące konflikty – więcej komentarzy to więcej wyświetleń, a większa popularność to kolejne wpisy pod materiałem. Słowem, zasięgowe perpetuum mobile.

Mogłoby się wydawać, że możemy spać spokojnie, bo politycy na całym świecie zaczęli łamać sobie głowy nad tym, co zrobić z TikTokiem. Jest to jednak złudne wrażenie. ByteDance ma już nową aplikację, którą korporacja zaczęła mocno promować na wypadek zablokowania na świecie TikToka. Lemon8 to klon chińskiej platformy. Chińczycy grają zaś ostro – „Lemoniada" po miesiącu intensywnej kampanii marketingowej jest już ósmą najpopularniejszą aplikacją w amerykańskim App Store.

Właściciele TikToka do promocji nowej platformy pozyskują kolejnych influencerów. I tu jest pies pogrzebany. Chińczycy są o dwa kroki do przodu, bo zrozumieli, jak ogrywać Zachód w jego własną grę, czyli kapitalizm. W dzisiejszych czasach świetnie wykorzystują *soft power*, podsuwając mieszkańcom Zachodu to, co trafi w ich gusta.

Znakomicie opisuje to dziennikarka technologiczna Sylwia Czubkowska w książce „Chińczycy trzymają nas mocno". Redaktorka przywołuje historię z 2015 r., kiedy prezydent Czech Miloš Zeman podczas wizyty w Pekinie stwierdził, że nie będzie nikogo pouczał co do praw człowieka, za to zachwycał się nową wersją kultowej kreskówki „Krecik", której ponowne wydanie mieli współfinansować Chińczycy. Nikogo nie zastanowiło, dlaczego tytułowy bohater od zaraz zamieszka z Pandą, a zamiast swojego charakterystycznego „Ach jo" śpiewa nagle po mandaryńsku o przyjaźni.

Tak samo Chiny będą działały w obszarze nowych technologii. Ilekroć kolejne państwa zablokują ich projekty, podetkną konsumpcjonistycznemu społeczeństwu pod nos coś nowego, na punkcie czego ludzie oszaleją, bo nie dostrzegą całości układanki, patrząc jedynie na jej najbardziej kolorowy fragment.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 66d62a834a

Marcin Ogdowski
Korespondencja z Chersonia

Realia po okupacji

Jak się żyje mieszkańcom wyzwolonej Chersońszczyzny?

Mieszkańcy Zahorianiwki potrzebują elementarnego wsparcia – żywności i chemii gospodarczej.

Olga Ihnatowa z Odessy bardzo chciałaby pójść do wojska. Z bronią w ręku walczyć za Ukrainę. Lecz trzydziestoparolatka jest matką czwórki dzieci – dwóch dziewcząt i dwóch chłopców – co w praktyce wyklucza ją z poboru. Walczy więc Olga na inne sposoby. Po pierwsze przestała używać rosyjskiego, którym posługiwała się od dziecka. – Nie wypada mówić językiem wrogów, zwłaszcza tak zajadłych i tak barbarzyńskich – tłumaczy. – Mówię i myślę niemal wyłącznie po ukraińsku i z satysfakcją obserwuję, że robi tak coraz więcej osób wokół mnie, także ci ze starszego pokolenia.

Drugim sposobem na walkę jest dla Ihnatowej – na co dzień wziętej lokalnej dziennikarki telewizyjnej – aktywność wolontariacka. Spotykamy się w jednym z odeskich magazynów żywności i chemii gospodarczej. Olga nadzoruje pracę kilku pakowaczy, a gdy trzeba, zakasuje rękawy i bierze się do przygotowywania indywidualnych pakietów. Worki trafiają do ciężarówki, która następnego dnia zawiezie je do wiosek w regionie chersońskim, jesienią minionego roku wyzwolonych przez armię ukraińską. – Ludzie stamtąd nie mają prawie nic, sam się o tym przekonasz – zapowiada Ihnatowa.

Obok nas krząta się jedna z jej córek. Uśmiecham się do dziewczynki, Olga to dostrzega. – Wolałabym, żeby odrabiała lekcje, bawiła się z siostrą, oglądała telewizję. Robiła cokolwiek, co wiąże się z dzieciństwem. Ale jest, jak jest – wzdycha. – Córka pomaga mi przygotowywać paczki dla ofiar rosyjskiej okupacji. Taki przyśpieszony kurs dorosłości.

Koniec pewnego rozdziału

Olga pracuje dla Fundacji Wieża, powołanej w ramach organizacji Flogiston Team. Przed wojną FT zajmowała się działalnością naukową i biznesową w przemyśle chemicznym, ale wraz z rosyjską napaścią pojawiły się nowe wyzwania. Powstała wówczas Wieża, skupiona na pomocy humanitarnej i rozwojowej, napędzana energią takich ochotników jak Ihnatowa.

Oczywiście sam entuzjazm nie wystarczy – żeby pomóc uchodźcom i mieszkańcom terenów, gdzie toczyły się walki, potrzebne są pieniądze. Niemałe, gdyż rozmiary destrukcji, jaką sprowadziła na Ukrainę Rosja, są porażające. Wśród donatorów, którzy zdecydowali się wesprzeć Ukraińców, jest również Fundacja Biedronki.

– Mówimy o 17-tygodniowym programie, w trakcie którego do końca czerwca rozdamy w regionie chersońskim i mikołajowskim pomoc o wartości 3 mln zł – wylicza Anna Radecka z Polskiego Centrum Pomocy Międzynarodowej (PCPM), partnera Fundacji Biedronki. – Raz w tygodniu przyjeżdża do Ukrainy transport pozwalający przygotować tysiąc 16-kilogramowych pakietów. Towary trafiają do trzech składów prowadzonych przez naszych lokalnych współpracowników z Wieży – w Odessie, Mikołajowie i Chersoniu – skąd wolontariusze rozwożą je do mniejszych miejscowości. W tych większych żywności nie brakuje. Dba o to ONZ, stara się ukraiński rząd. Ale do wielu wioseczek, odseparowanych przez zniszczone drogi czy zerwane mosty, tir z pomocą nie ma nawet jak dojechać. Brakuje prądu, sklepiki zostały zniszczone. Obwoźny handel nie rozwiązuje problemów, zwłaszcza że ludziom brakuje pieniędzy.

– Skąd pomysł, by nie skupiać się na uchodźcach, którzy wyjechali w bezpieczniejsze rejony Ukrainy, ale pomagać tym, którzy zostali na miejscu? – pytam.

– Na początku roku zorganizowaliśmy niedużą akcję „Paczka na święta" – wspomina Radecka, koordynatorka misji PCPM w Ukrainie. – Zawieźliśmy podarunki pacjentom i personelowi szpitala w Chersoniu. Przy okazji pojechaliśmy do jednej z okolicznych wsi, gdzie na własne oczy przekonaliśmy

eprasa.pl 66d62a834a

się, jak wielka jest skala elementarnych potrzeb. W potocznych wyobrażeniach wyzwolenie to koniec dramatu, tymczasem to tylko koniec pewnego rozdziału.

Nie musieli bić

Dobrze widać to w Zahorianiwce, położonej 10 km na północ od Chersonia. Właśnie tam (i do kilku innych osad) dotarłem pod koniec marca w towarzystwie wolontariuszy z PCPM i Wieży. Wieś przetrwała okupację niemal nietknięta – większe rosyjskie jednostki tylko przez nią przejechały, wiosną zeszłego roku jako zdobywcy, jesienią jako uciekinierzy.

– Przez chwilę mieszkało u nas kilku rosyjskich oficerów – opowiada Olga Bunczuk, sołtyska. – Gdy zaczęła się inwazja, część mieszkańców uciekła, zostawiła chałupy; okupanci potraktowali je jak własne.

– Prześladowali was fizycznie?

– Właściwie nie – Olga Bunczuk lekko kręci głową. – Czasem nagabywali, żeby przyjąć ich paszporty, ale ludzie kazali im iść w diabły. Na początku okupacji obsesyjnie szukali po domach atowszczików (weteranów operacji antyterrorystycznej w Donbasie z lat 2014-2022 – przyp. MO), a w sąsiedniej osadzie zabili trzech młodych mężczyzn, właściwie chłopców, cywilów. Rozstrzelali ich za współpracę z partyzantką – precyzuje kobieta.

– Bez sądu? – dopytuję.

– A gdzie tam sąd. Całą okupację traktowali nas jak gorszy gatunek. Niby chcieli z nas zrobić Rosjan, a tak naprawdę nie obchodziło ich, jak i z czego będziemy żyć. Zniszczyli sieć elektryczną, przez pięć miesięcy żyliśmy bez prądu. Rozkradli urządzenia z kurzej fermy, w której pracowało 300 osób z okolicznych wiosek. Zaminowali pola, odbierając pracę tym, którzy żyli z roli. Nie musieli bić, by uprzykrzyć nam życie – sołtyska uśmiecha się smutno.

– Pamięta pani moment wyzwolenia? – celowo zmieniam temat.

– O tak! – tym razem uśmiech kobiety jest radosny. – Miałam kontakt z synem, który służy w obronie terytorialnej. Pisał, że idą na Chersoń, że jego koledzy przejdą przez Zahorianiwkę. Noc z 10 na 11 listopada spędziłam w piwnicy. Słyszałam jakieś głosy, ruch na drodze, ale bałam się, że to Rosjanie, że mnie zabiją. Wyszłam z ukrycia 11 listopada, była godz. 14, gdy zobaczyłam pierwszych naszych chłopców.

Olga Ihnatowa gdy trzeba, zakasuje rękawy i bierze się do przygotowywania indywidualnych pakietów humanitarnych.

Życie jak loteria

W tym samym czasie kilkanaście kilometrów dalej, w centrum Chersonia, tłum mieszkańców miasta skandował hasła na cześć ukraińskich sił zbrojnych. Pośród zebranych zabrakło Wali, którą wojna zapędziła do Zahorianiwki. Wieś to jej rodzinna miejscowość, ale przed inwazją Wala mieszkała właśnie w Chersoniu, skąd uciekła po wejściu Rosjan. Dwie dorosłe córki powędrowały dalej i dziś żyją w Polsce, starsza kobieta postanowiła trzymać się bliżej domu. Bała się okupacji w mieście, wieś – gdzie wciąż mieszkają jej krewni – wydawała się lepszym wyborem.

Wyzwolenie Chersonia niczego w nastawieniu Wali nie zmieniło. Nadal boi się wracać, bo Rosjanie, schowani za szerokim korytem Dniepru, regularnie ostrzeliwują miasto z armat i rakietami. – Za co, dlaczego to robią? Co złego im zrobiliśmy? – pyta. – Nie ma dnia, żebym się nie zastanawiała, czy moje mieszkanie jeszcze stoi – przyznaje.

To samo pytanie zadają sobie urzędnicy regionalnej administracji w Chersoniu. – Życie w tym mieście trochę przypomina loterię – kwituje jedna z urzędniczek departamentu pomocy społecznej. Nie podam jej nazwiska i nie wskażę lokalizacji urzędu. Oficjalna siedziba władz regionu – podobnie jak merostwo – stoi dziś pusta. Budynki stanowią zbyt oczywisty cel dla rosyjskiej artylerii. Urzędnicy pracują w na poły konspiracyjnych warunkach – ci od gubernatora w obszernej piwnicy bez okien, zorganizowanej na wzór redakcyjnego newsroomu. Są biurka z laptopami, kilka sieciowych drukarek i dużych ekranów telewizyjnych. Jest stół konferencyjny, miejsce oznaczone jako schron, a przy wejściu siedzą mężczyźni w pełnym rynsztunku i z długą bronią.

Nie ma wizyt interesantów – sprawy załatwia się przez internet i telefonicznie. – Zmieniamy lokalizację co kilka tygodni, ale i tak nie będzie pan mógł zrobić tu zdjęć – słyszę jeszcze przed spotkaniem z osobami odpowiedzialnymi m.in. za współpracę z organizacjami humanitarnymi.

Gdy przychodzi wiosna

Inaczej do kwestii fotografii podchodzą mężczyźni siedzący na ławeczce blisko centralnego placu miasta. – A rób, jeśli chcesz… – macha ręką jeden z nich. Utrwalam więc

eprasa.pl 66d62a834a

iście surrealistyczny widok, grzmi bowiem artyleria – może nie przesadnie gęsto, a część dźwięków to ogień kontrbateryjny Ukraińców, niemniej jednak raz na kilka minut coś na miasto spada. – Przywykliśmy – deklarują zgodnie panowie.

Dzień później rosyjski pocisk zabija mężczyznę, równolatka moich przypadkowych rozmówców. Chersończyk spacerował nad Dnieprem, korzystając z uroków pięknej pogody. Prosił się o śmierć – powie ktoś. Niemal na pewno nie – odpowiem. Nękający ogień rosyjskiej artylerii ma mieszkańców sterroryzować, ukarać za entuzjazm, z jakim przyjęli wyzwolenie. Czasem jest to ostrzał na ślepo, ale bywa, że precyzyjnie kierowany przez kolaborantów, którzy zostali w Chersoniu. W drugim przypadku celem może się stać – jak pod koniec marca – punkt pomocy humanitarnej.

Na ile ta strategia się sprawdza? Z jednej strony, mamy przerażoną Walę i obrazki z ulic Chersonia, na których nie widać zbyt wielu ludzi (choć przemyka całkiem sporo aut). Z drugiej, bez trudu da się dostrzec, że ci, którzy z różnych powodów decydują się na przebywanie poza domem, rzeczywiście nie zwracają większej uwagi na kanonadę.

– Ile można siedzieć w piwnicy, kryć się, zredukować życie do czynności ściśle związanych z przetrwaniem? Tydzień, dwa, trzy? Jednym szok przechodzi szybko, drudzy zmagają się z nim dłużej, ale większość ostatecznie przywyka – w uszach wciąż wybrzmiewają mi słowa jednej z urzędniczek gubernatora. – Tym łatwiej, gdy ogień nie jest huraganowy, pociski spadają z rzadka, na obszarze niemałego przecież miasta. I gdy przychodzi wiosna, a słońce jest jak zapowiedź lepszego jutra.

Jak na zające

Kola, elektryk, nie ma wątpliwości, że owo lepsze jutro nastąpi. – Spójrz – kreśli ręką po okolicy. – Widzisz, jak tu pięknie? Człowiek się napatrzy i od razu podchodzi do życia z większym optymizmem.

Wypuszczam głośno powietrze. Tomaryne – niewielka wioska w obwodzie chersońskim – do pięknych nie należy. Prawdę mówiąc, jest brzydka, biedna i zaniedbana, jak zdecydowana większość osad we wschodniej Ukrainie. Ale istotnie, odradzająca się przyroda niesie jakiś rodzaj ukojenia. Problem w tym, że Tomaryne dzieli od Nowej Kachowki zaledwie 8 km, licząc razem ze wstęgą Dniepru. Wioska jest więc poza zasięgiem snajperów i moździerzy, ale wciąż w promieniu rażenia rosyjskich dział.

Praca z prądem do bezpiecznych nie należy, a ekipa Koli ma dodatkowo pod górkę, bo elektryków przywracających prąd w wyzwolonych wioskach Rosjanie traktują jako pełnoprawne cele.

– To było dla nas… – Kola ma na myśli eksplozję pocisku artyleryjskiego kilkadziesiąt metrów od wozu z wysięgnikiem. Ów wniosek wywodzi z faktu, że kończy się na pojedynczym wystrzale. – Chcieli nas przestraszyć.

Przestraszyli? Tego dnia ukraińscy fachowcy rozpinają kilkaset metrów kabli między świeżo postawionymi słupami. Pracują w kevlarowych hełmach i kamizelkach kuloodpornych, bacznie obserwując niebo. Tak naprawdę od artylerii bardziej boją się dronów, pod które Rosjanie podwieszają nieduże ładunki wybuchowe. – Wpadnie ci granat do kosza podnośnika i już po tobie – wyjaśnia jeden z członków ekipy.

– Polują na nas jak na zające – Kola używa bardziej obrazowych porównań. – No ale ktoś naszą robotę zrobić musi, ludzie sami sobie prądu nie dostarczą.

Wycofujący się z obwodu chersońskiego Rosjanie zastosowali strategię spalonej ziemi. Na opuszczanych terenach zniszczyli wiele elementów infrastruktury krytycznej, także sieci przesyłowe. Odbudowa ruszyła zaraz po wyzwoleniu. Kola z kolegami początkowo pracowali z własnej inicjatywy, teraz ich działania finansuje PCPM. Fundacja z Polski wspiera trzy ekipy w okręgu mikołajowskim i chersońskim, pracujące w sześciu miejscowościach.

Brygadzie Koli jak dotąd dopisuje szczęście. Zabrakło go ekipie z Mikołajowa, finansowanej przez inną organizację. W ostatnim dniu marca wjechała na minę. Do zdarzenia doszło w pobliżu niemal kompletnie zrujnowanej wioski Posad-Pokrowskie, gdzie przez jakiś czas przebiegała linia frontu. Dostawczy uaz, którym poruszali się elektrycy, nie miał szans w konfrontacji z miną przeciwpancerną; zginęło siedmiu ludzi. Okrutny chichot losu – była to najprawdopodobniej mina ukraińska, założona, by zdetonować rosyjski czołg. Zapomniana „upomniała się" o inny cel. Ile jeszcze takich „zardzewiałych śmierci" gdzieś się kryje, ile dramatów typowych dla powojnia przytrafi się Ukrainie?

Efekty działań wojennych.

Marcin Ogdowski
m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl

FOT. MARCIN OGDOWSKI

eprasa.pl 66d62a834a

Samotne i wykorzystywane

Jak Ameryka zarabia na eksploatacji nieletnich imigrantów

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA

Wiele lat temu w odpowiedzi na rewelacje, że w szwalniach w Azji pracują dzieci, Amerykanie zaczęli uważniej wybierać kupowaną garderobę. Dziś na wieść, że nasila się eksploatacja dzieci w Stanach Zjednoczonych, chcą ten stan rzeczy… zalegalizować.

Lipiec 2022

Agencja Reutera publikuje szokujące doniesienia, że w dwóch fabrykach w Alabamie produkujących części do samochodów koreańskiej marki Hyundai pracują dzieci, w tym 12- i 13-latki. Amerykańskie prawo zezwala na pracę dzieci dopiero od 14. roku życia. Ponad 50 nieletnich pracowników to imigranci z Ameryki Południowej, którzy przybyli do USA pod koniec 2021 r. Dzieci pracują na długich zmianach i obsługują maszyny w warunkach mocno naruszających kodeks pracy. Do akcji wchodzi policja i prokuratura. Hyundai zrywa kontrakty z obiema fabrykami.

Wrzesień 2022

Sieć restauracji Chipotle płaci stanowi New Jersey karę 7,7 mln dol. za łamanie przepisów o warunkach pracy osób nieletnich. Choć stanowe prawo i tak faworyzuje interes pracodawcy, zezwalając m.in., by 14-latki mogły pracować w pełnym wymiarze godzin w czasie wakacji (w większości stanów dzieci poniżej 16. roku życia nie mogą pracować więcej niż 20 godzin tygodniowo), audyty wykazały, że dzieci nagminnie przepracowywały w Chipotle o wiele więcej, pozbawiane przy tym prawa do półgodzinnej przerwy podczas zmiany i dodatkowego wynagrodzenia za nadgodziny.

Luty 2023

Firma Packers Sanitation Services (PSSI) kontraktująca pracowników do sprzątania rzeźni i pakowania żywności płaci federalnemu Departamentowi Pracy karę 1,5 mln dol. za zatrudnianie ponad setki dzieci w 13 przedsiębiorstwach rozrzuconych po ośmiu stanach (Arkansas, Kolorado, Kansas, Indianie,

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 66d62a834a

Minnesocie, Nebrasce, Tennessee i Teksasie). Dochodzenie przeprowadzone pod koniec 2022 r. ustaliło, że firma zatrudniała dzieci w wieku od 13 do 17 lat do pracy na nocnych zmianach i w niedopuszczalnych warunkach, m.in. w kontakcie z niebezpiecznymi chemikaliami i narzędziami, takimi jak piły tarczowe, piły do mostków i łuparki do głów. Trójka nieletnich odniosła poważne obrażenia, przez które znalazła się w szpitalu. W firmowych dokumentach wszystkie dzieci miały zmienione imiona oraz wiek.

Z usług PSSI korzystają największe marki spożywcze w USA, takie jak Tyson Foods, JBS Foods czy Cargill, sprzedające swoje produkty w większości supermarketów na terenie całego kraju.

Marzec 2023

Departament Pracy stanu Minnesota zamyka rzeźnię Tony Downs Food Co z miasta Madelia, nakazując ustosunkowanie się do zarzutów nielegalnego zatrudniania dzieci. Inspektorzy odkryli, że już 13-latki kierowane były do pracy na nocnej zmianie (prawo zezwala na to dopiero osobom pełnoletnim), w dodatku z niebezpiecznymi urządzeniami, przy piecach oraz w chłodniach z ciekłym azotem i dwutlenkiem węgla. W rzeźni znaleziono osiemnaścioro dzieci, tyle samo pracowników przyznało, że gdy firma ich zatrudniła, nie mieli ukończonych 18 lat. Wszyscy to migranci posługujący się przybranymi imionami i niemówiący lub mówiący bardzo słabo po angielsku.

14 marca 2023, specjalny raport think tanku Economic Policy Institute z Waszyngtonu

„Według danych Department of Labor łamanie przepisów o zatrudnianiu nieletnich było częstsze w roku 2022 o 37% w porównaniu z rokiem 2021 i o 283% w porównaniu z rokiem 2015. (…) W lutym 2023 r. departament rozpatrywał ponad 600 spraw o eksploatację dzieci. To tylko ułamek wszystkich takich przestępstw i wykroczeń, bo większość pozostaje niewykryta" („Child labor laws are under attack in states across the country", EPI).

Dzieci wpadają z deszczu pod rynnę

Pierwsze 15 lat XXI w. było dla amerykańskich bojowników o ochronę praw dziecka czasem wymarzonym. Statystyki nielegalnego zatrudniania dzieci systematycznie spadały i trend wydawał się nie do odwrócenia. Był to efekt z jednej strony potężnej kampanii na rzecz ograniczenia pracy dzieci, prowadzonej przez Clintonów w czasie ich urzędowania w Białym Domu, z drugiej zaś – wielu nowych regulacji stanowych, które modyfikowały prawo federalne (Clintonowi nie udało się go zmienić), wprowadzając do niego nowe obostrzenia i klauzule o bezpieczeństwie nieletnich pracowników. Przepisy federalne definiujące z grubsza formy i warunki zatrudniania dzieci w USA obowiązują od roku 1938 i są dziełem prezydenta Franklina Delano Roosevelta, częścią jego słynnego pakietu reform socjalnych Nowy Ład. Już one zakazują wystawiania na szwank zdrowia dzieci oraz zatrudniania ich do pracy z maszynami silnikowymi na farmach, w kopalniach i w rzeźniach.

Rok 2015 położył kres tej dobrej passie. Liczba nielegalnie pracujących dzieci znów zaczęła rosnąć. Nieprzypadkowo. Rok wcześniej Ameryka doświadczyła historycznego kryzysu migracyjnego, a służby graniczne zatrzymały wówczas ponad 68 tys. dzieci w wieku poniżej 16 lat, usiłujących samodzielnie przekroczyć granicę. Był to 80-procentowy wzrost w porównaniu z rokiem poprzednim. Kolumny migrantów tworzyli w większości uciekinierzy z tzw. Północnego Trójkąta Ameryki Centralnej (Gwatemali, Hondurasu i Salwadoru), gdzie zaczęły się nasilać przemoc i wojny gangów. Od tego momentu fale nieletnich migrantów bez opieki stały się chlebem powszednim dla strażników na południowej granicy USA, a jednocześnie coraz większym wyzwaniem dla ośrodków dla azylantów i opieki socjalnej. Amerykańskie prawo nakazuje bowiem nie tylko przyjęcie samotnych dzieci w charakterze azylantów, ale także dostarczenie ich do krewnych lub sponsorów w USA, po sprawdzeniu, jakie będą tam miały warunki. Później pałeczkę przejmują pracownicy socjalni, którzy czuwają nad tym, by dzieci uczęszczały do szkoły. Obowiązek szkolny trwa w USA do 16. roku życia.

Po 2015 r. praca nieletnich migrantów spowodowała wzrost wskaźników eksploatacji dzieci, ale nie był on ogromny, ok. 1% w skali roku do 2020 r. Po pandemii jednak wszystko się zmieniło. W drugiej połowie 2021 r. kryzys migracyjny dzieci samotnie przekraczających granicę wybuchł z nową siłą i do końca roku USA przyjęły ich 122 tys. W roku 2022 padł nowy rekord – liczba takich migrantów podskoczyła do 130 tys. Do serwisów informacyjnych powróciły obrazki autobusów uwożących nieletnich migrantów w głąb kraju oraz skargi dyrektorów szkół, zwłaszcza ze stanów przygranicznych, że nie radzą sobie z tyloma nowymi uczniami, w dodatku nieposługującymi się angielskim.

Nielegalna praca dzieci jest możliwa dlatego, że ktoś im ją daje.

Mimo wszystko przesłanie było pozytywne. Stany Zjednoczone roztaczały nad nieletnimi migrantami parasol ochronny i otwierały im drzwi do nowego życia.

Jak nie pomagać dzieciom zgodnie z ich wolą

Jak dokładnie to wygląda, większość Amerykanów dowiedziała się dopiero pod koniec lutego br., kiedy dziennik „New York Times" opublikował wstrząsający reportaż „Alone and Exploited, Migrant Children Work Brutal Jobs Across the U.S. (Samotne i wykorzystywane – nieletni migranci pracują w brutalnych warunkach rozrzuceni po całej Ameryce). Wyszło na jaw, że parasol ochronny nie tylko ma dziury, ale niekiedy w ogóle nad dzieckiem się nie otwiera. – W miarę jak

eprasa.pl 66d62a834a

przybywało dzieci, administracja Bidena wzmogła naciski na służby graniczne, by jak najszybciej wypuszczały dzieci ze schronisk i przekazywały sponsorom. Odpowiedzialni za to pracownicy przyznają, że procedury załatwiane są po łebkach, byle szybciej – wskazywała Hannah Dreier, autorka reportażu. – Chociaż HHS (Department of Human and Health Services, Departament Zdrowia i Usług Społecznych – przyp. red.) kontaktuje się z każdym dzieckiem, dzwoniąc do niego miesiąc po odesłaniu do sponsora, dane pokazują, że w ostatnich dwóch latach agencja straciła kontakt z ponad 85 tys. dzieci. Na dziś nie ma żadnego kontaktu z co trzecim dzieckiem, nad którym winna sprawować kuratelę.

Oliwy do ognia dolewają opowieści nauczycieli ze szkół, w których nieletni migranci powinni się uczyć. Jak się okazuje, szkoły doskonale wiedzą, że wiele z tych dzieci pracuje ponad siły, w tym nocami. Taki właśnie był przypadek 15-latki z Union High School w mieście Grand Rapids w stanie Michigan, o której opowiedział w reportażu Rick Angstman, nauczyciel historii. Migrantka z Gwatemali najpierw na lekcjach zasypiała, potem z przemęczenia zaczęła mdleć. Szkoła dwa razy wzywała do niej karetkę, ale nie mogła powstrzymać dziewczyny przed powrotem do pracy.

Realia przecież są takie, że dla wielu migrantów praca zarobkowa jest ważniejsza niż edukacja, bo w rodzinnych krajach zostawili krewnych, którzy oczekują wsparcia. Z drugiej strony naiwnością jest wierzyć, że wszystkie dzieci uciekają do USA tylko po to, by znaleźć schronienie przed przemocą i wojną domową. Ogromna część, by nie rzec większość nastolatków powyżej 12. roku życia od początku jest nastawiona przede wszystkim na zarobkowanie i nie szuka pomocy, nawet jeśli w miejscu pracy zaczyna im się dziać krzywda. Sytuacja tych dzieci jest więc jednocześnie skomplikowana i delikatna.

Gwatemalska uczennica Angstmana z uporem twierdziła, że nie może odejść z pracy. W końcu zrezygnowała ze szkoły i nikt nie wiedział, co dalej się z nią działo. – Po prostu rozpłynęła się we mgle – wyjaśnił Rick Angstman. – Oto nowe oblicze pracy dzieci w USA. Bierzemy sobie dzieciaki z innych krajów i traktujemy niemal jak niewolników.

W erze globalizmu wyzysk młodocianych stał się wyjątkowo prosty do zaaranżowania i realizacji.

Jak zapychać dziećmi wakaty

Nielegalna praca dzieci jest możliwa dlatego, że ktoś im ją daje. Ktoś wykorzystuje fakt, że za południową granicą USA toczą się wojny zmuszające dzieci do migracji zarobkowej, i na tej tragedii się bogaci. Sytuację pogarsza popandemiczny stan amerykańskiej gospodarki, która, jak wiele innych na świecie, boryka się w tej chwili z brakiem rąk do pracy w sektorach najgorzej płatnych: w fabrykach, w budownictwie, w usługach. Nie pomaga to, że w erze ekonomicznego globalizmu eksploatacja dzieci stała się wyjątkowo prosta do zaaranżowania i realizacji.

Zatrudnianie dzieci mało kosztuje, jest krótkoterminowe, nie trzeba oferować ubezpieczenia ani kont emerytalnych.

– Kierownictwo Packers Sanitation Services wiedziało, że zatrudnia osoby nieletnie, ale wizja kary za łamanie prawa nie była żadnym motywem, by zaprzestać tej praktyki. Firmy takie jak ta, z rodzaju wieloetapowego łańcucha dostaw, z formalnego punktu widzenia nie są tu pracodawcami. W tak zapętlonym systemie łatwo się wyprzeć odpowiedzialności i przesuwać ją na kontrahentów – wyjaśnia Michael Lazzeri z Departamentu Pracy, szef Izby ds. Zarobków.

Niepokojących wieści na temat wyzysku dzieci w USA jest niestety więcej. Amerykański kapitalizm w wydaniu „wszystko dobre, co dobre dla ekonomii" właśnie rozpoczął walkę o obalenie obowiązującego od prawie stu lat kodeksu pracy dla nieletnich. Prym wiodą stany zawiadywane przez republikanów, ale zainteresowanie tą kwestią wyrażają też niektóre stany z demokratami u steru. Jak donosi w raporcie Economic Policy Institute, w ostatnich dwóch latach ustawy luzujące przepisy w sprawie charakteru i warunków pracy nieletnich przegłosowało bądź zaczęło nad nimi debatować co najmniej 10 stanów. W 16 stanach przepisy regulujące pracę dzieci już są mniej restrykcyjne niż w ustawodawstwie federalnym.

Najbardziej kontrowersyjna jest na razie ustawa z Arkansas podpisana przez republikańską gubernatorkę Sarah Sanders 12 marca br. Znosi bowiem obowiązek weryfikacji zarówno wieku dziecka, jak też zakresu obowiązków i warunków pracy w przypadku dzieci młodszych niż 16 lat. Dotąd rodzice 14- i 15-latków dopiero wtedy mogli wysłać je do pracy, gdy dostali na to zgodę stanu po przedstawieniu oświadczenia od przyszłego pracodawcy dziecka. Autorzy ustawy dowodzą, że jest ona ukłonem nie tyle w stronę biznesu, ile rodzin z palącymi się do pracy nastolatkami. Daje im większą wolność w zakresie wyboru miejsca pracy i uwalnia od administracyjnego brzemienia, kosztującego ich czas i nerwy związane z oczekiwaniem na zgodę biurokratów.

Obrońcy praw dziecka, zwłaszcza w świetle ostatnich rewelacji, są odmiennego zdania. – To ustawa oficjalnie otwierająca drzwi przed stanem bezprawia. Nowe, wysoce niepokojące przesunięcie granicy w boju o likwidację ochrony najsłabszych członków społeczeństwa, dokonywane pod sztandarem „wolności" – skomentował decyzję Arizony Reid Maki, szef międzynarodowej organizacji Child Labor Coalition, walczącej z wyzyskiem dzieci

eprasa.pl 66d62a834a

na świecie. I on, i reszta obrońców praw dziecka uznali jednocześnie za żart argument o odpowiedzialności jednostkowej przedsiębiorców zapisanej w ustawie. Jej autorzy podkreślili, że administracja stanowa nie potrzebuje pełnić funkcji stróża pracodawców, wystarczy sam fakt istnienia federalnych i stanowych regulacji, by pracodawcy stosowali się do nich z własnej woli. Jeżeli jeszcze nie zrobiło się tragikomicznie, to dodajmy, że gubernator Sanders podpisała ustawę ledwie kilka tygodni po tym, jak na jej biurku spoczęło doniesienie, że dziesięcioro dzieci zatrudnionych przez PSSI pracowało w rzeźniach na terenie jej stanu.

Z innych ustaw warto wspomnieć nowe prawo w Ohio, które zezwala 14- i 15-latkom pracować do godz. 21 również w roku szkolnym (dotąd było to możliwe tylko w wakacje), oraz przymiarki stanu Iowa, by formalnie dopuścić 14- i 15-latki do pracy w rzeźniach. New Hampshire obniżyło wiek kelnerów, którym wolno podawać gościom alkohol, z 15 lat do 14, New Jersey zaś wydłużyło dzieciom poniżej 16. roku życia czas pracy bez przerwy. Jednocześnie 16- i 17-latki zyskały tam „prawo" do legalnego przepracowywania w tygodniu 50 godzin. W Nebrasce stanowi posłowie przyjęli projekt ustawy, która zezwoli płacić 14-, 17-latkom inną niż obowiązująca stawkę minimalną. Nie 15 dol., lecz tylko 9 dol. za godzinę pracy.

Wróciliśmy do czasów Dickensa

Trzy dni po publikacji „New York Timesa" Biały Dom ogłosił plany utworzenia specjalnej grupy roboczej, która zajmie się namierzaniem i tępieniem przejawów wyzysku nieletnich migrantów przez amerykańskich pracodawców. Równolegle Departament Pracy wystosował oświadczenie, że rozpoczyna śledztwo tam, gdzie statystyki wskazują możliwość wyzyskiwania dzieci, i zamierza pociągnąć do odpowiedzialności nie tylko pośredników i dostawców, ale same wielkie firmy korzystające na nielegalnej pracy nieletnich.

Czy to wystarczy? Gordon Lafer, ekspert we wspomnianym Economic Policy Institute i były doradca Kongresu ds. pracy i płacy, już dzisiaj wie, że nie. By naprawdę zniechęcić firmy do eksploatowania pracy dzieci, należałoby zmienić wysokość kar. W tej chwili są one tak niskie, że aż śmieszne: 6-15 tys. dol. za dziecko. – Dla wielu firm, zwłaszcza wielkich i bogatych, to kwoty, których nawet nie odczują. Wliczą je sobie po prostu w koszty prowadzenia biznesu – mówi Lafer.

Dla wielu migrantów praca zarobkowa jest ważniejsza niż edukacja, bo w rodzinnych krajach zostawili krewnych, którzy oczekują wsparcia.

Rzecz druga to chronicznie niedoinwestowany Departament Pracy, w którym od dawna brakuje inspektorów, a po pandemii te braki zrobiły się jeszcze dotkliwsze. Przedsiębiorcy doskonale to wiedzą i nie ma co się łudzić, niektórzy nie odmówią sobie skorzystania z okazji, jaką jest samotny, porzucony przez system, niemówiący po angielsku nastolatek poszukujący pracy.

– Zatrudnianie dzieci mało kosztuje, bo zwykle jest krótkoterminowe, nie trzeba im oferować ubezpieczenia ani kont emerytalnych, a przede wszystkim o wiele łatwiej zastraszyć je i kontrolować niż dorosłych. Dlatego szanse na to, że pracodawcy będą przestrzegać prawa, oceniam na bliskie zeru – konkluduje Lafer.

Po publikacji „New York Timesa" głos zabrali obrońcy dzieci również w Kongresie. – Zdawało mi się, że miejsce opowieści o dzieciach nieuczęszczających do szkół, mdlejących z przepracowania, a nawet tracących kończyny na skutek pracy przy maszynach jest w książkach Karola Dickensa i Uptona Sinclaira, a nie w codziennym życiu w roku 2023 w Stanach Zjednoczonych! – alarmowała Hillary Scholten, demokratka z Michigan.

Nie wszyscy zareagowali na jej słowa brawami. Niektórzy odwrócili wzrok lub wbili go w ekrany telefonów. Czy rzeczywiście nadchodzą czasy, że metka made in USA będzie nas parzyć równie mocno jak ta przyszyta dziecięcą ręką w szwalni w Bangladeszu? Nic nie jest wykluczone.

Eliza Sarnacka-Mahoney

Przekazując 1,5% od podatku
na Fundację „Kuźnicy"
KRS 0000300613
wspomagasz ZDANIE,
„Kuźnicę" i całą polską lewicę

eprasa.pl 66d62a834a

Nie dla wszystkich Paryż płonie

Reforma emerytalna stała się symbolem pogardy dla społeczeństwa

Marie Magda Ruta
Korespondencja z Francji

Protesty we Francji trwają od 16 marca, kiedy to rząd premier Élisabeth Borne przeforsował reformę podnoszącą wiek emerytalny z 62 do 64 lat. Zrobił to bez głosowania w parlamencie, na mocy art. 49.3 konstytucji francuskiej, który na takie zatwierdzenie zmian w ustawie pozwala. Od tego czasu po każdym wystąpieniu rządu, po wywiadzie udzielonym przez prezydenta, po głosowaniu w parlamencie lub jego braku zamieszki gwałtownie przybierają na sile. Ale strajki zaczęły się już w styczniu. Najpierw protestowano przeciw planom reformy, w połowie marca zaś – przeciwko jej wprowadzeniu, postrzeganemu jako zamach na demokrację ze strony władzy wykonawczej, i przeciwko władzy wykonawczej w ogóle.

Obecnie Francja oczekuje na decyzję Rady Konstytucyjnej, która 14 kwietnia ogłosi, czy zmiany wprowadzone w systemie emerytalnym są zgodne z konstytucją.

•

Przez tydzień rozmawiałam z kilkudziesięcioma osobami, Francuzami, ale też przedstawicielami innych narodowości mieszkającymi tu od kilkunastu lat, ludźmi w różnym wieku: od 20. do 70. roku życia, z pracującymi, emerytami i bezrobotnymi. Z Paryża, Orleanu, Tours, Chartres, Aix-en-Provence, Strasburga i miasteczka w Normandii.

Większość społeczeństwa nie zgadza się z reformą emerytalną rządu (64% według IFOP, międzynarodowej firmy zajmującej się badaniem opinii i rynku). Już 68%, jak podała prywatna telewizja informacyjna BFM TV, chce obalenia obecnego rządu i prezydenta. W ponad 300 miejscowościach, przy wsparciu związków zawodowych, od kilku tygodni ludzie wychodzą na ulice. Pod tym wzburzeniem kryje się wiele innych bolączek, dotyczących służby zdrowia, administracji i organów socjalnych, biurokracji i systemu bankowego, transportu itd.

Frustracja sięga zenitu, zdarza się, że demonstranci wybijają witryny sklepów, niszczą przystanki, rzucają kamieniami. W Bordeaux podpalili wejście do ratusza, w innych miastach przewracają i podpalają kosze na śmieci, hałdy worków z odpadami, samochody. Paryż, Nantes, Bordeaux, Marsylia, Lyon, Lille, Rennes i inne miasta są zdemolowane.

– Policja podczas tych strajków zamiast zapewniać bezpieczeństwo, powoduje zagrożenie – mówi Guillaume, 26-letni absolwent socjologii, kelner w restauracji niedaleko paryskiego placu Bastylii, wokół którego skupia się większość demonstracji.

•

Dzień po odrzuceniu przez parlament wniosków o wotum nieufności dla rządu idę wieczorem ulicą Orleanu, stutysięcznego miasta uniwersyteckiego w centralnej Francji. Już dawno po strajku, który odbył się rano, ale mijam grupkę na oko 17-latków, którzy uczą się jakiegoś tekstu: – *On va décapiter Macron* (Zetniemy głowę Macronowi) – śpiewają. – No, powtórz, powtórz wyraźniej: Macron.

Wielce prawdopodobne, że ta młodzież, również demonstrująca przed liceami, w tym przed dawnym liceum prezydenta, nie wie za bardzo, co wyśpiewuje, ale powtarza groźby za dorosłymi. W Nantes protestujący spalili kukłę prezydenta republiki.

Rano na spacerze mój pies szczeka na przypadkowego przechodnia, a ten śmieje się i pyta: – To na Macrona tak się denerwuje?

•

– Francuzi zachowują się tak, jakby Macron był źródłem wszystkich ich problemów – krzywi się 38-letni Olivier, pracownik służby cywilnej mieszkający w Aix-en-Provence. – Żeby była jasność, ja też nie będę miał specjalnej ulgi i odejdę na emeryturę w 67. roku życia, czyli później niż większość, bo jestem urzędnikiem na kontrakcie, a nie państwowym – uzupełnia. – Jestem oburzony brutalnością policji na manifestacjach. Z kolei strajkujący, w większości ludzie w wieku produkcyjnym, nie chcą zrozumieć, że ta reforma jest konieczna dla nich samych, by system był wydolny. Macron i tak proponuje wersję dużo korzystniejszą dla zwykłych obywateli niż ta w Niemczech (niemiecka emerytura stanowi 38% zarobków, francuska aż 68%, a średnia europejska to 49%). Obecny francuski system emerytalny jest bardzo hojny.

> Strajkujący, w większości ludzie w wieku produkcyjnym, nie chcą zrozumieć, że ta reforma jest konieczna, by system był wydolny.

I zarazem nieludzko zbiurokratyzowany. Julius, 67-letni profesor uniwersytetu w Tours, od 18 lat we Francji, Brytyjczyk z pochodzenia: – Czy chciałbym odejść szybciej na emeryturę? Ja chciałbym odejść na nią później! Chcę pracować. Ale mi nie pozwalają. Taki to kraj.

A co sądzi 45-letni ekspedient Nadim, Francuz pochodzenia marokańskiego, z Awinionu? – Pracuję

eprasa.pl 66d62a834a

„Nie jestem więźniem waszego systemu", mówił Raoul protestujący w Paryżu 23 marca.

od godz. 8 do 20 codziennie, łącznie z niedzielami. A Francuzi nie przepadają za pracą, robią ciągle przerwy w środku dnia na kawę i obiad, mają wakacje trwające po tydzień-dwa. Za to chętnie dużo mówią i protestują – dziwi się, uwijając przy kolejnych klientach.

Innego zdania jest 44-letnia piekarka Audrey, która sprzedaje mi w Orleanie bagietkę: – Odchodzenie na emeryturę powinno być dla różnych zawodów różne. Wstaję codziennie o godz. 4 rano, mój mąż, by piec chleb – o północy! Nie wyobrażamy sobie tak wstawać, mając po 64 lata. Nasz 14-letni syn za rok zaczyna szkolenie na piekarza. Rozpocznie życie zawodowe wcześniej, więc powinien je wcześniej zakończyć, prawda? Drugi syn, 19-latek, właśnie poszedł na medycynę. Będzie się uczyć przez dziewięć lat, więc życie zawodowe zacznie później, później też powinien je skończyć. System emerytalny powinien zostać elastyczny.

Tyle że zmienia się demografia współczesnych społeczeństw. Ludzi przybywa, zarazem starzejemy się jako społeczeństwo i jednostkowo żyjemy dłużej – a ta prawda krzyżuje się z kontekstem historycznym: epidemią, wojną, kryzysem ekonomicznym, imigracyjnym. Dzisiejszy wiek 64 lata jest tym samym, co 62 lata w 2010 r., za prezydenta Nicolasa Sarkozy'ego. A te 62 lata Sarkozy'ego tym samym, co 60 lat za prezydenta François Mitterranda w 1983 r. (tak ewoluowały limity wieku emerytalnego w ostatnim 40-leciu).

– Strajkowałam, dopóki chodziło o tę konkretną reformę emerytalną, nie zgadzałam się z nią – komentuje emerytowana pielęgniarka Joanne, lat 66. – Ale teraz już nie strajkuję, gdy chodzi o rzekome niedemokratyczne użycie przez premier Borne i rząd art. 49.3 konstytucji i działanie przeciwko woli ludzi. Przecież Borne i Macron podjęli decyzję właśnie zgodnie z ich wolą. Artykuł ten jest w konstytucji. Użycie go jest w pełni uprawnione. To właśnie też jest demokracja! Czekam na decyzję Rady Konstytucyjnej w tej sprawie.

•

Dwa ugrupowania: prawicowe Zjednoczenie Narodowe Marine Le Pen i LIOT – szerokie zrzeszenie centrowo-lewicowych parlamentarzystów Francji kontynentalnej i terytoriów zamorskich, złożyły wniosek o wotum nieufności wobec rządu 48 godzin po wystąpieniu premier Borne 16 marca, gdy ta, w obliczu braku większości parlamentarnej pozwalającej na przegłosowanie zmiany wieku emerytalnego, sięgnęła – jak powiedziała – na własną odpowiedzialność rządu po art. 49.3. Choć „49.3" wypisywane jest obecnie na murach, pełnej treści tego artykułu, o ironio, wielu zapytanych nie zna. A brzmi on tak: „Premier może, po rozpatrzeniu przez Radę Ministrów, przejąć odpowiedzialność Rządu przed Zgromadzeniem Narodowym w sprawie głosowania nad ustawą o finansach lub o finansowaniu ubezpieczeń społecznych. (...) Prezes Rady Ministrów może dodatkowo skorzystać z tego trybu dla innego projektu ustawy lub projektu ustawy na sesję". Te wnioski

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 66d62a834a

o wotum nieufności zostały jednak – również demokratycznie – odrzucone przez parlament w głosowaniu 20 marca. By rząd Borne upadł, a wraz z nim kontrowersyjna reforma Macrona – zabrakło dziewięciu głosów poselskich.

– Wcale nie płonie Paryż i jego ulice, naoglądała się pani telewizji – mówi 36-letni Thibault, aktor i nauczyciel ze stolicy. – Owszem, siedzimy w domu po kilka dni, bo strajkujący zablokowali komunikację miejską, ale te strajki to jedyna broń, jaką mają najbardziej poszkodowane grupy zawodowe. Ci, którzy np. zostają śmieciarzami, poświęcają swoje życie. I tylko dlatego decydują się na bycie śmieciarzami, bo wiedzą, że szybko odejdą na emeryturę – a po obecnych przemianach jakie życie ich czeka? Tak, system nie podoła, ale reforma jedynie dlatego jest konieczna, że Macron zarazem zdjął opodatkowanie z bogatych. A dla mnie to logiczne, że ci, którzy zarabiają dużo pieniędzy, kradną. To oni powinni nam płacić na emerytury. A jeśli bogaci uciekną za granicę, by uniknąć podatków, to tym lepiej dla nas; biedni stworzą sprawiedliwszy kraj.

Na pytanie, czy to w porządku, że inne kraje Europy wprowadziły wyższy niż Republika Francuska wiek emerytalny, Thibault odpowiada dumnie: – Być może Francuzi są mniej ulegli niż inne narody. Nas zbudowała rewolucja 1789 r. Francja znaczy wolność.

– Wystarczyłoby podnieść składki wielkim firmom, które mają miliardy rocznych dochodów – zgadza się 42-letni prawnik Bernard z Orleanu. – To prawda, że Francji potrzebna jest równowaga. Francuzi powinni móc decydować. To też jest zapisane w konstytucji: „Władza ludu, poprzez lud i dla ludu" (nie jest – przyp. aut.). Macron jednak to nie rozkapryszony król, który chce decydować, nie słuchając ludu, związków i parlamentu. Jest kamerdynerem Europy, wszyscy jesteśmy Europą, musimy spełniać odgórne dyrektywy europejskie. Te zaś sterowane są przez lobby i koniunkturę ekonomiczną i finansową.

Nie pierwszy raz w prywatnych rozmowach kawiarnianych i na ulicy słyszę albo czytam na transparentach, że Macron jest dyktatorem albo Neronem Paryża. – Owszem, jestem za monarchią, ale Macron nie był wybierany jako monarcha. Był wybierany jako demokratyczny prezydent – podkreśla Pierre z Orleanu, dawniej inżynier, od pół roku emeryt. Poseł Charles de Courson w wywiadzie dla magazynu „Le Point" 17 marca, czyli dzień po zatwierdzeniu reformy przez premier Borne, powiedział: „Król Macron jest nagi", co miałoby świadczyć nie tylko o rzekomej autorytarności prezydenta, ale i o błędach, w których pogrąża „królestwo".

Czy chciałbym odejść szybciej na emeryturę? Ja chciałbym odejść na nią później! Chcę pracować. Ale mi nie pozwalają. Taki to kraj.

– Prezydent nie jest ideologiem – reaguje na to 43-letni filmowiec René. – Francuzi się mylą. Macron nie broni idei, tylko konkretnego projektu naprawczego. Ta reforma, tak naprawdę fundamentalna, była w przeszłości podejmowana przez różne rządy, zarówno lewicowe, jak i prawicowe, i wszystkie spotkały się w tej sprawie z potępieniem społecznym, więc się wycofały. (W rzeczywistości za Sarkozy'ego potępiono zmiany w ustawie emerytalnej, ale już po ich uchwaleniu – przyp. aut.). Macron jako jedyny ma odwagę ją przeprowadzić. Ale chociaż nie zgadzam się ze strajkującymi, bo prawo nie jest po ich stronie, solidaryzuję się z ich rozpaczą, szczególnie już po przegłosowaniu reformy. Rozumiem ich strach o przyszłość ekonomiczną. Ale ja radzę sobie całe życie zupełnie sam. Nie liczę na wsparcie państwa i chcę pracować dużo dłużej, niż stanowi limit. Chcę pracować do końca życia. I może gdyby ci strajkujący doszli do podobnej praktyki, byłoby im łatwiej.

– Chociaż jestem socjalistką, nie biorę udziału w strajkach – zastrzega mieszkająca w Paryżu 37-letnia aktorka i opiekunka dziecięca pochodzenia serbskiego, korzystająca też często z zasiłków socjalnych. – Mam znajomych, którzy strajkują, uwielbiają walczyć z państwem o cokolwiek. A ja jestem bardziej poruszona górami toreb ze śmieciami na ulicach. Śmieci, brud, szczury, potencjalne choroby. Ale tu są strajki co kilka-kilkanaście miesięcy. Nie tylko w sprawie tej reformy! Boję się, że uduszę się gazem łzawiącym, gdy przechodzę ulicami. To moja Francja na co dzień.

50-letnia pielęgniarka Nathalie pracująca w Paryżu mówi smutno: – Nie można wrócić z pracy do domu, blokują miasto, poza tym Czarne Bloki (Black Blocks, bojówki lewicowe) psują cały przekaz manifestujących. Podpalają kosze, robią bałagan i potem mówi się, że to manifestujący go robią. Sama brałam udział w protestach pielęgniarek, ale też zawsze ktoś obok robił burdel, przez co nasze żądania nie były do końca rozpoznane. A teraz i tak brakuje personelu w szpitalu, więc nie wypuszczą mnie z pracy.

– Gniew rośnie. Źle to się skończy. Kilkaset aresztowań i brutalność policji. Kolejne dni i kolejne strajki, w różnych miastach. Oburzenie Francuzów nie gaśnie. Najbardziej poszkodowani są zwykli pracownicy fizyczni. Przy emeryturze od 64. roku życia będą wycieńczeni pracą. Strajki sprawiają, że stoimy po kilka godzin w kolejce na stacji benzynowej. Na autostradzie mijamy na poboczach płonące ciężarówki – opowiada emerytowana 71-letnia nauczycielka i dyrektorka szkoły Marianne, dzieląca życie między Normandię a dolinę Loary. – Już nie strajkuję czynnie, zdrowie mi na to nie pozwala, ale pośrednio tak – kupuję bezpośrednio od producentów.

– Nasz prezydent to taki Robin Hood na odwrót – dorzuca 20-letnia studentka farmacji Caroline ze Strasburga. Agnès, 59-letnia profesor Sorbony w Paryżu: – Nie jestem ekonomistką, nie wiem, czy ta reforma jest naprawdę konieczna, ale stała się symbolem milknącego dialogu i pogardy dla społeczeństwa.

Marie Magda Ruta

eprasa.pl 66d62a834a

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Szymszon i Gusta

Nic bym nie wiedział, gdyby nie ta książka. Pierwsza od pracy Majera Bałabana historia krakowskich Żydów, „Nie tylko Kroke", jest dziełem pracowników Instytutu Judaistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zgromadzone tu fakty nieraz są dla laika rewelacją. Tu jednak chcę mówić tylko o Żydowskiej Organizacji Bojowej.

Okazuje się bowiem (wszystko podaję za Edytą Gawron, autorką rozdziału o Zagładzie), że Żydowska Organizacja Bojowa, w powszechnym odbiorze kojarzona głównie z Warszawą, zapisała wielką kartę również w Krakowie. Działała krótko, w latach 1942-1943, lecz zdążyła dokonać serii zamachów, łącznie z tym najgłośniejszym, z 22 grudnia 1942 r. – na kawiarnię Cyganeria przy ulicy Szpitalnej. Ale najbardziej poruszająca jest w książce właśnie opowieść o Szymszonie i Guście Drängerach. Widzimy ich na zamieszczonej fotografii. Wysoki, ciemnowłosy mężczyzna o poważnym, spokojnym wejrzeniu trzyma delikatnie dłoń na ramieniu kobiety w białym kołnierzyku, na twarzy której widnieje przejmujący smutek. Nie wiemy, kto, gdzie i kiedy zrobił to zdjęcie, poznajemy jednak dzieje tych ludzi.

10 stycznia 1943 r. gestapo aresztowało Szymszona, osadziło go w więzieniu przy Montelupich i poddało torturom. Po kilku dniach, niespodziewanie, zgłosiła się na gestapo Gusta. Okazało się, że ci kochający się ludzie przyrzekli sobie być do końca razem. To oczywiście było niemożliwe – Gustę osadzono w więzieniu kobiecym przy pobliskiej ulicy Helclów i też torturowano. Na skrawkach papieru toaletowego prowadziła ona zapiski (ukażą się po wojnie jako „Pamiętnik Justyny"). Celę dzieliła z 15-letnią siostrą męża, Szchorą Dränger. Gdy dziewczynkę wyprowadzano na egzekucję, ta szepnęła do bratowej: „Nie bój się, nie będę płakać".

Tymczasem rankiem 29 kwietnia ciężarówka zabrała kilku żydowskich więźniów z zakładu na Montelupich. Szymszon spróbował ucieczki, ale został pobity i wciśnięty pod ławkę. Jednak na ulicy Wielickiej podjął kolejną próbę: wyrwał broń konwojentowi, zabił go i wyskoczył z ciężarówki, a w ślad za nim wyskoczyli inni. Rozpętała się strzelanina, zginęli niemal wszyscy, ale Szymszon ocalał. Kilka godzin później spod bramy więzienia przy Helclów zaczęło uciekać 20 Żydówek. Tu również doszło do strzelaniny, większość więźniarek poległa, ocalała tylko Gusta z koleżanką. „Do dziś nie wiadomo – pisze Edyta Gawron – czy decyzja o ucieczce obu grup była wcześniej zaplanowana i uzgodniona, czy też był to jedynie niewyobrażalny zbieg okoliczności". Po kilku dniach Drängerowie odnaleźli się w niedalekiej od Krakowa Bochni. I spędzili tu pół roku – ostatnie sześć miesięcy życia. Bo pod koniec października obowiązek walki wezwał ich do Krakowa, a tu już 8 listopada Szymszon znów został aresztowany. Tym razem sam podał adres żony i w połowie listopada Gustę przyprowadzono do więzienia. Wkrótce oboje zostali rozstrzelani.

Urodziłem się osiem lat po tych wydarzeniach. Ulice Helclów i Montelupich znajdowały się kilkaset metrów od mojego domu. Jeszcze bliżej, za rogiem, zaczynała się ulica Żuławskiego, gdzie pod numerem 3, w piwnicy, zginęli na Wigilię 1942 r. dowódcy krakowskiej ŻOB: Adolf Liebeskind i Juda Tennenbaum. Nie wiem czemu – ani w dzieciństwie, ani później – nikt mi tego nie powiedział. I nie pojmuję, dlaczego karta krakowskiej ŻOB nie istnieje w społecznej świadomości. A przecież to byliśmy my!

Żydowska Organizacja Bojowa, w powszechnym odbiorze kojarzona głównie z Warszawą, zapisała wielką kartę również w Krakowie.

Bo nawet gdyby ci męczennicy mówili w jidysz, nie przestawaliby być cząstką polskiego społeczeństwa. A oni byli polskojęzyczni. Gusta pisała pamiętnik po polsku, żołnierze ŻOB rozwieszali na mieście biało-czerwone flagi.

Piszę te słowa niedługo po 80. rocznicy akcji pod Arsenałem, gdy warszawskie Szare Szeregi uwolniły zbrojnie Jana Bytnara „Rudego", mojego wuja. Czy po niezapomnianych „Kamieniach na szaniec" Aleksandra Kamińskiego nie nastał czas na książkę o Szymszonie i Guście? „Braterstwo i służba" uzyskałyby przecież dopełnienie w tej odkrywanej dziś historii o wierności, miłości i śmierci… A dla mnie byłoby to też jakoś „rodzinne". Bo choć z dwojgiem krakowsko-żydowskich bohaterów nic mnie nie łączy, choć nie wiem, gdzie zostali ujęci i gdzie straceni, to przecież chodzę w moim mieście także po śladach ŻOB. I pamiętam z dzieciństwa niskiego, starego Żyda, każdego dnia zmierzającego samotnie do swojego sklepiku na ulicy Żuławskiego, parę kamienic od domu z numerem 3. Dziś wiem: on przeżył Zagładę. Wtedy na jego pospolitej, brzydkiej twarzy widziałem tylko zawsze ten sam, rozdzierający smutek. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 66d62a834a

Skradziona tożsamość

Dekolonizacja europejskich muzeów

Daniel Brusiło

Kolejne europejskie państwa decydują się na repatriację swoich muzealnych eksponatów i przekazują je prawowitym właścicielom. Do podbitych przed laty krajów wracają bezcenne dzieła sztuki i kultu religijnego, zrabowane przez reżimy kolonialne Francji, Belgii, Hiszpanii, Niemiec czy Wielkiej Brytanii. To próba rozliczenia się z trudną historią czy polityczna fatamorgana?

Najbardziej niesławny diament świata

8 września 2022 r., po ponad 70 latach zasiadania na tronie, zmarła brytyjska królowa Elżbieta II. Na następcę wyznaczony został jej najstarszy syn – Karol, którego oficjalna koronacja przypada na 6 maja. Wedle woli nowego króla królowa małżonka Kamila spośród wszystkich 40 tiar miałaby nałożyć na głowę koronę należącą do jego zmarłej matki. To dzieło sztuki jubilerskiej od lat elektryzuje opinię publiczną na Wyspach ze względu na wkomponowany w nie największy z 2,8 tys. brylantów – pochodzący z Indii diament Koh-i-Noor.

Jeden z największych kamieni szlachetnych znanych ludzkości znalazł się w rękach brytyjskiej rodziny królewskiej w 1849 r. – stanowił dar dziesięcioletniego maharadży Duleepa Singha, ostatniego imperatora indyjskiego mocarstwa sikhów, który „przekazał" go królowej Wiktorii po jej koronacji na cesarzową Indii. Wspaniałomyślny gest był w rzeczywistości jednym z warunków kapitulacji po przegranej wojnie, w wyniku której włączono Pendżab do brytyjskiego imperium kolonialnego, przez co diament częściej postrzegany jest jako zdobycz wojenna niż prezent.

William Dalrymple, brytyjski historyk i autor książki o diamencie Koh-i-Noor, przyrównał koronacyjne plany króla do dyplomatycznego granatu, rzuconego w sam środek skomplikowanego systemu relacji między Anglią a niepodległymi Indiami, dla których kolonializm pozostaje niezabliźnioną raną. Stawką w tej grze politycznej są przyszłe umowy handlowe, na których zależy londyńskiemu rządowi, oraz niepewna sytuacja tysięcy Hindusów żyjących na Wyspach, którym skończyły się wizy pobytowe.

Przyszła królowa wybrała ostatecznie powstałą w 1911 r. koronę królowej Marii, lecz kwestia zwrotu bezcennego kamienia wciąż nie została rozwiązana. Temat oddania diamentu prawowitym właścicielom wpisuje się w coraz bardziej widoczny trend repatriacji dzieł sztuki zagrabionych w czasie ekspansji kolonialnej europejskich mocarstw. Glasgow Life Museum jest pierwszą tego typu instytucją na Wyspach, która zdecydowała się przekazać siedem artefaktów indyjskiemu muzeum skradzionych dzieł sztuki, stworzonemu w twierdzy Purana Quila w New Delhi. Ma ono w zbiorach już ponad 4 tys. odzyskanych przedmiotów. Oprócz hinduskich skarbów szkockie muzeum zwróci 19 eksponatów, wytworów kultury Beninu, jej nigeryjskim spadkobiercom.

> Przetrzymywane skarby wciąż stanowią kartę przetargową w mocarstwowej polityce.

Brązy z Beninu

W 1897 r. Brytyjczycy wysłali wojska, by stłumić powstanie w kontrolowanym przez siebie Protektoracie Wybrzeża Nigru. Ekspedycja karna zakończyła się masową grabieżą dzieł sztuki królestwa Beninu, których późniejsza sprzedaż instytucjom muzealnym i prywatnym właścicielom miała zwrócić koszt zorganizowania wyprawy. W ręce kolekcjonerów afrykańskiej sztuki z całego świata trafiło wówczas 3-5 tys. obiektów.

120 lat po obrabowaniu królewskiego pałacu w Beninie Afrykańczycy znów będą mieli możliwość oglądania dzieł swojej kultury u siebie. W wyniku działań nigeryjskich artystów oraz Ministerstwa Informacji i Kultury na zwrot części swoich eksponatów zdecydowały się placówki z Wielkiej Brytanii czy Niemiec. Obecnie w berlińskim Muzeum Etnologicznym znajduje się ponad 500 obiektów z Beninu – według umowy z 2022 r. kolekcja w całości zostanie zwrócona prawowitym nigeryjskim właścicielom.

Prym w repatriacji afrykańskiego dziedzictwa kulturowego wiedzie Francja, której prezydent Emmanuel Macron jako pierwsza głowa europejskiego państwa oficjalnie odniósł się do kwestii zwrotu zrabowanych w czasach kolonializmu dzieł sztuki. W czasie wizyty w Burkina Faso w 2017 r. mówił o „zbrodni przeciwko ludzkości", jaką była francuska kolonizacja Afryki, oraz o potrzebie rozliczenia się ze skomplikowaną historią. Na jego zlecenie w roku 2018 francuska historyczka Bénédicte Savoy i senegalski badacz Felwine Sarr przygotowali raport, według którego nawet 90% kulturowego dziedzictwa Afryki Subsaharyjskiej znajduje się obecnie poza jej granicami.

Moje dziedzictwo nie jest na sprzedaż

O zwrot dóbr kultury walczą także kraje Ameryki Łacińskiej. Przeszło

eprasa.pl 66d62a834a

W grudniu ubiegłego roku Niemcy zwrócili Nigerii 20 zagrabionych artefaktów.

dziesięć lat temu, po zażartej batalii sądowej, do Peru wróciła słynna kolekcja skarbów odnalezionych przez odkrywcę Machu Picchu Hirama Binghama, który w latach 20. XX w. wywiózł z prowadzonych przez siebie wykopalisk dziesiątki tysięcy inkaskich artefaktów do placówek w Stanach Zjednoczonych. Pomimo umów z peruwiańskim rządem, mówiących o wypożyczeniu zdobytych obiektów, Uniwersytet Yale konsekwentnie odmawiał ich zwrotu. Dopiero głośna kampania medialna, wielotysięczne manifestacje w stołecznej Limie, a nawet prośby o wstawiennictwo u papieża doprowadziły do rozmów pomiędzy prezydentami Alanem Garcią i Barackiem Obamą, które zakończyły się powrotem kolekcji do ojczyzny w 2011 r.

Na odmienną strategię dotyczącą zwrotu zagrabionych skarbów przeszłości zdecydował się Meksyk. Zamiast wysyłać prawników do zagranicznych muzeów i toczyć sądowe spory, Ministerstwo Kultury w 2018 r. rozpoczęło oddolną kampanię w mediach społecznościowych pod hasłem „Moje dziedzictwo nie jest na sprzedaż" (#MiPatrimonioNoSeVende). Jest ona skierowana nie tylko do instytucji państwowych, ale przede wszystkim do prywatnych kolekcjonerów z całego świata, w rękach których znajdują się tysiące eksponatów meksykańskiej sztuki prekolumbijskiej.

Jak podkreśla Alejandra Frausto Guerrero, meksykańska prawniczka i sekretarz kultury, „według meksykańskiego prawa każdy fragment kulturowego dziedzictwa, który na stałe znajduje się poza krajem i nie jest wypożyczony jako część wystawy, znajduje się tam nielegalnie". Społeczni aktywiści, historycy i eksperci stale wertują więc oferty katalogów domów aukcyjnych na świecie, podważając autentyczność sprzedawanych eksponatów, lecz nie stwierdzając dokładnie, który element kolekcji jest podróbką. Podejrzenie oszustwa uderza w wiarygodność i prestiż instytucji handlujących sztuką, co skutkuje zatrzymaniem aukcji. W ciągu ostatnich trzech lat interwencje doprowadziły do wstrzymania sprzedaży w Nowym Jorku, Rzymie, Paryżu i Monachium. Działania te mają na celu zwrócenie uwagi świata na nieetyczną formę handlu zagrabioną sztuką.

Od początku kadencji prezydenta Lópeza Obradora w 2018 r. do Meksyku wróciło ponad 9 tys. artefaktów. Pomogła w tym również specjalna formacja Gwardii Narodowej, wzorowana na włoskim Carabinieri Art Squad (Comando Carabinieri Tutela Patrimonio Culturale), której zadaniem jest walka z przemytem sztuki i odzyskiwanie dóbr kultury znajdujących się poza granicami kraju. Dzięki zdecydowanym działaniom rządu i społecznemu zaangażowaniu w 2022 r. udało się pozyskać 3333 artefakty, w tym 2522 przedmioty będące w posiadaniu kolekcjonera z Barcelony czy dwie mające przeszło 2 tys. lat figurki, odnalezione przypadkiem w sztokholmskim magazynie producenta wódki Absolut, użyte w 1979 r. w kampanii reklamowej likieru Kahlua.

Dekolonizacja umysłów

Aby zrozumieć istotę walki o odzyskanie skradzionych dóbr przez podbite przed laty państwa, należy się pochylić nad niezwykle ważnym aspektem kolonizacji, jakim jest „kolonizacja umysłów". Ten europocentryczny pogląd zakładał wyższość zachodnich państw nad narodami globalnego Południa i tłumaczył potrzebę podporządkowania ich europejskim mocarstwom, niosącym „kaganek cywilizacji" barbarzyńskim ludom Azji, Afryki i obu Ameryk. Miały temu służyć nie tylko przymusowe przesiedlenia ludności, grabież i powszechnie stosowana przez kolonizatorów przemoc, lecz także cały proces wykorzeniania danej społeczności, odbierania jej tożsamości, zastępowanej „wyższą", bardziej rozwiniętą kulturą europejską. Jednym z elementów tej polityki było niszczenie dorobku cywilizacyjnego podbitych ludów,

Afrykańskie czy prekolumbijskie dzieła sztuki w europejskich muzeach są w wielu przypadkach dawnymi obiektami kultu religijnego.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 66d62a834a

rabowane z pałaców czy świątyń przedmioty sprzedawane były następnie przez kolonialnych żołnierzy kupcom i kolekcjonerom w stolicach zachodnich metropolii.

Afrykańskie czy prekolumbijskie dzieła sztuki, które możemy podziwiać w kolekcjach europejskich muzeów, są w wielu przypadkach dawnymi obiektami kultu religijnego, tworzącymi tożsamość narodów, którym je zagrabiono. Wystawianie ich w szklanych gablotach pozbawia je kontekstu ich powstania i funkcji. Powiela to pokolonialne kalki relacji władzy Zachodu nad skolonizowanymi krajami.

Częstym argumentem przeciwników repatriacji obiektów muzealnych jest fakt, że bez europejskich czy amerykańskich odkrywców, muzealników i naukowców większość dzieł zostałaby bezpowrotnie zniszczona. W dzisiejszych czasach ten paternalistyczny pogląd traci na wartości, gdyż dawne kraje kolonialne mają rozbudowane instytucje służące konserwacji i opiece nad wytworami przodków. Należy zwrócić też uwagę na różnicę w podejściu poszczególnych kręgów cywilizacyjnych do tej kwestii. Polska w czasie II wojny światowej utraciła ok. 516 tys. dzieł sztuki, lecz dyskurs dotyczący powrotu zaginionych artefaktów jest powszechnie aprobowany i popierany przez zachodnich muzealników i polityków. Dlaczego więc Polacy mogą podziwiać odzyskaną w 2011 r. „Pomarańczarkę" Gierymskiego w stołecznym Muzeum Narodowym, natomiast Egipcjanin, chcący ujrzeć na własne oczy słynne popiersie Nefertiti, musi w tym celu udać się do Berlina?

Walka o prawo do tożsamości

Temat zwrotu skradzionych dzieł sztuki jest w rzeczywistości tylko metaforą, pod którą kryje się próba wymuszenia na państwach Zachodu wzięcia odpowiedzialności za zbrodnie popełnione w czasach kolonializmu. Nie chodzi tu o artefakty same w sobie, lecz o bezcenną wartość, którą reprezentują dla prawnuków ich twórców – o prawo do własnej tożsamości, która została brutalnie odebrana ich przodkom przez kolonialne reżimy. Od czasu protestów z 2020 r., dotyczących społecznej sprawiedliwości i równości, dyskurs rozliczenia się Zachodu z kolonialną przeszłością niespodziewanie przyśpiesza, obejmując swoim zasięgiem także zakurzone magazyny i zatłoczone sale wystawowe europejskich muzeów.

Benińskie brązy czy meksykańskie posążki są jedynie wierzchołkiem góry lodowej pokolonialnych skarbów przechowywanych w zachodnich stolicach. O zwrot prawdziwych pereł swojego dziedzictwa kulturowego walczą również Grecy, chcący odzyskać znajdujące się w British Museum marmurowe rzeźby z Partenonu, mieszkańcy Wyspy Wielkanocnej – prawowici właściciele moai, ogromnego posągu stojącego od 150 lat w tej samej londyńskiej placówce, czy Kolumbijczycy starający się wymusić na Hiszpanii zwrot złotego skarbu ludu Quimbaya.

Niestety, bez odpowiedniej edukacji społeczeństwa i rozliczenia się europejskich rządów z kolonialną przeszłością kwestia zwrotu skradzionych dzieł sztuki pozostanie zależna od dobrej woli polityków. Przetrzymywane dobra wciąż stanowią kartę przetargową w mocarstwowej polityce, jak mogło to mieć miejsce w przypadku deklaracji Macrona i prób ratowania wizerunku Francji w jej byłych afrykańskich koloniach. Wiele jednak wskazuje, że w mentalności zachodnich, zglobalizowanych społeczeństw faktycznie zachodzą zmiany, że chcą one zerwać z kolonialnym piętnem i rozliczyć się z trudną przeszłością. Na tę transformację czekają mieszkańcy Egiptu, Ghany, Etiopii, wysp Pacyfiku czy krajów Ameryki Łacińskiej, którzy od lat bezskutecznie próbują odzyskać skarby swojej kultury.

Daniel Brusiło

KSIĄŻKI

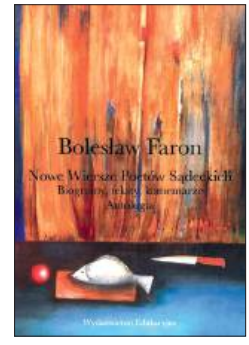

Bolesław Faron
Nowe wiersze poetów sądeckich
Biogramy, teksty, komentarze. Antologia
Wydawnictwo Edukacyjne, Kraków 2023

Antologia obejmuje teksty publikowane od kwietnia 2019 r. do grudnia 2021 r. w miesięczniku „Sądeczanin". Zawiera 31 sylwetek i życiorysów, krótkie opisy dorobku poetyckiego oraz wiersze poetów związanych z Sądecczyzną. Jak pisze autor antologii, zamieszczone w niej wiersze zrodziły się z potrzeby serca i stanowią świadectwo socjologiczne i psychologiczne, zarazem potwierdzają aktywność kulturową ludzi tutaj urodzonych lub związanych z tym regionem. I choć nie wszystkie utwory są najwyższej próby artystycznej, to z pewnością wyrażają głębokie emocje.

Agata Napiórkowska
Ha-Ga. Obrazki z życia
Marginesy, Warszawa 2023

Pod pseudonimem Ha-Ga kryje się Hanna Gosławska-Lipińska, wieloletnia rysowniczka satyryczna „Szpilek". Żadna inna artystka nie miała tak długiego i regularnego cyklu w żadnym czasopiśmie. Przez 40 lat co tydzień pojawiały się rysunki charakterystycznych ludzików z wyłupiastymi oczami. W podpisie zazwyczaj podsłuchana rozmowa lub satyra na aktualną sytuację obyczajową czy towarzyską. Choć Ha-Ga tworzyła w latach 50. i 60. XX w., jej dowcipy są ponadczasowe, zachwycają aktualnością.

eprasa.pl 66d62a834a

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Język wojenny już mamy

Także na łamach PRZEGLĄDU pisałem już wielokrotnie o tym, że nie mamy prawie wcale języka, który mówi o pokoju, oswaja nas z pomysłami na to, jak doprowadzić do pokojowego współistnienia krajów, państw, narodów. Ten język i ta retoryka zostały wyrzucone do kosza po 1989 r. jako zużyte, zbędne, skompromitowane (cokolwiek by to miało znaczyć). Wraz z nastaniem powszechnej szczęśliwości pod auspicjami „końca historii", zwycięstwa liberalnej demokracji i tzw. wolnego rynku również pokój, jako reguła relacji między państwami, zniknął z naszych mediów, a w końcu i z języka.

Kiedy zorientowaliśmy się, że historia jednak gna w najlepsze dalej, i to – jak przywykła – napędzana wojenno-militarystycznym bacikiem, umknęło nam, że w tym samym czasie doskonale rozgościła się globalnie opowieść wojenna, zbrojeniowa, konfliktowa. Wszystko to wzmogło się niepomiernie po atakach na WTC w Nowym Jorku w 2001 r. Wojna z terroryzmem stała się globalnym domownikiem. I uzasadnieniem wszystkiego, czego jeszcze chwilę wcześniej byśmy nie zaakceptowali i nie dopuścili nawet do wyobrażeń. Łamanie praw człowieka i śmierć setek tysięcy cywilów w Iraku spowszedniały, enigmatyczny lub po prostu fałszywy cel uświęcił wszystkie środki.

Gdzie wszyscy myślą to samo, tam dla myślących nie ma miejsca.

Znamienne jest to, że 20 lat później o tej wojnie już się nie pamięta. Całe pokolenie wyrosłe w jej cieniu nie wie o niej nic, nie ma pojęcia o polskiej roli w tej „naszej, słusznej, sprawiedliwej wojnie". Uciekliśmy całkiem poza horyzont powojennego (II wojna światowa) wezwania: „Nigdy więcej wojny". Hasła zrodzonego z przerażenia, niezgody, strachu przed wojną totalną. Pandemia w globalnym wymiarze oswoiła nas ze stanem wyjątkowym, płynnie przechodzącym w stan stały, w którym powrót do dawnych swobód staje się niemożliwy. Wojna w Ukrainie dołożyła swoje. Trwa już ponad rok, końca nie widać. Przykładów jakiegokolwiek działania zmierzającego ku pokojowemu rozwiązaniu nie widać, nie słychać, nie czuć. Państwa zbroją się na potęgę. NATO właśnie poszerzyło się o Finlandię. W Polsce słychać tylko narzekania, że nasze zaangażowanie polityczne w dołączenie do tego paktu Szwecji jest za mało wyraziste albo że jest po prostu straconą szansą.

Ta machina, odczuwalna w języku, emocji i napięciu, rozpędza się z nieubłaganą logiką. Polska lubi być prymusem w takich klimatach. Nie ma pieniędzy na leczenie zdrowia psychicznego dzieci i młodzieży? Na kolejne zakupy broni jest ich coraz więcej. Polska będzie broniona tak, żeby dzieci po wygranej wojnie (to oksymoron) mogły bez przeszkód popełniać kolejne samobójstwa. W tej retoryce wojennej nie ma opamiętania, nie wiadomo nawet, kto miałby powiedzieć stop. Prowojenny język dominuje w zdecydowanej formie w dwóch światach nawzajem się napędzających: polityków i mediów.

Inny język musiał wybrzmiewać w głowach kilkunastu tysięcy polskich żołnierzy, którzy w 2022 r. odeszli z wojska. Minister Mariusz Błaszczak skomentował to zjawisko następująco, pohukując na Twitterze: „Wojsko Polskie rośnie w siłę! Mamy coraz więcej żołnierzy, którzy dysponują najnowocześniejszym sprzętem. Odtwarzamy jednostki i tworzymy nowe!".

Tak zwana wojna w obronie papieża doskonale podgrzewa tę histerię, prowadzona jest zresztą w czysto wojennej retoryce. Krzywda dzieci jest nieistotna, ważna jest bezwarunkowa obrona największego z Polaków. Oblanie farbą jego pomnika w Łodzi to prawie ludobójstwo na narodzie polskim. Zwieranie szeregów trwa w najlepsze. Przy jednoczesnym zabezpieczaniu tyłów na wypadek przegranych wyborów. Ale czy przegrana PiS jesienią (wcale nie oczywista i konieczna) zmieniłaby tę logikę? Nie jestem przekonany. Cała klasa polityczna bierze udział w jednym spektaklu i w rzeczy samej mówi jednym głosem. A gdzie wszyscy myślą to samo, tam dla myślących nie ma miejsca.

Jednym z nielicznych głosów człowieka myślącego była niedawna wypowiedź prof. Grzegorza Kołodki dla „Rzeczpospolitej": „Wojna trwa i ma trwać. Aż do zwycięstwa. Problem w tym, że obie strony z uporem stoją na stanowiskach nawzajem się wykluczających. Mogą okazać skłonność do negocjacji, ale wyłącznie na swoich warunkach, zgoła nie do przyjęcia dla drugiej strony; żadnej gotowości do kompromisu, bez którego przecież się nie obejdzie. Wszak prędzej czy później musi dojść do pokojowych rozmów, bo losy tej absurdalnej wojny nie rozstrzygną się ani na zamrożonym froncie w okopach Bachmutu, ani na innych frontowych liniach kreślonych przez strategów i polityków w Kijowie i w Moskwie. I w niektórych innych stolicach też". Bardzo osobny głos. Ale im więcej w nim racji, tym słabiej będzie słyszalny. Ja go słyszę bardzo dobrze i odbieram jako poważną przestrogę. I wciąż mam nadzieję, że nie na próżno wypowiadaną. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 66d62a834a

Mateusz Mazzini

Nowa przeszłość

Książki są również świadectwem swoich czasów i dlatego nie powinny podlegać „aktualizacji”

Ostatnim przykładem awantury o rolę języka i domniemane krzywdy, które może wyrządzić używanie go w sposób w obecnym rozumieniu ofensywny, jest spór o nowe wydania książek walijskiego pisarza Roalda Dahla, jednego z najpoczytniejszych autorów powieści dla dzieci. Przedstawiać go nie trzeba, nie tylko ze względu na literackie kreacje, takie jak Matylda, błyskotliwa dziewczynka sprzeciwiająca się tyranii i głupocie dorosłych wokół niej, czy Willy Wonka, szalony wytwórca czekolady. To już absolutny kanon popkultury, nie tylko dla najmłodszych widzów. „Matylda” od ponad dwóch dekad wystawiana jest jako musical na londyńskim West Endzie, a na podstawie „Charliego i fabryki czekolady” Tim Burton nakręcił hollywoodzki hit z Johnnym Deppem w roli głównej.

Wymierające plemię

O Dahlu głośno było jednak nie tylko ze względu na popularność czy sukcesy, ale też z uwagi na trudną osobowość, antysemityzm, a także dość gorzkie uczucia wobec rzeczywistości, którym upust dawał w książkach. Każdy, kto je czytał, doskonale wie, że nie są to utwory cukierkowe. Sporo w nich krytyki współczesnego świata, chociaż bardzo często zawoalowanej. Dahl, były pilot brytyjskich sił powietrznych, pochodzący z relatywnie zamożnej rodziny norweskich imigrantów, brzmiał jak ktoś, kto dorosłością zwyczajnie się rozczarował. Dlatego w swojej twórczości był głównie adwokatem dziecięcego prawa do podejmowania własnych decyzji i wyborów, również tych złych. Ważne było, żeby dzieci jak najszybciej nabrały sprawczości w życiu.

Nie da się ukryć, że sporo jest u Dahla sformułowań, które w dzisiaj pisanych książkach dla dzieci najpewniej by się nie znalazły, zresztą słusznie. Język, podobnie jak każdy element świata społecznego, ewoluuje, dopasowując się do ogólnego konsensusu norm i wartości, a w obowiązującym teraz konsensusie raczej nie mieści się, by np. nazywać kogoś „ogromnie grubym”. Już samo słowo gruby jest w zasadzie poza nawiasem – choć trwają jeszcze spory, preferowana jest nomenklatura medyczna. Mówimy więc o otyłości, a nie o byciu grubym, mimo że większość z nas nie ma nic wspólnego z profesją lekarską. Medykalizacja czy wręcz formalizacja języka to jednak temat na osobny tekst, chociaż oczywiście ma bardzo wiele wspólnego z tym, jak wrażliwi staliśmy się na kwestie językowe. Co szczególne, zwracając na nie uwagę, całkowicie pomijamy ich kontekst.

Dahl wrócił do życia w debacie publicznej, bo wydawnictwo Penguin Random House, mające prawa do jego książek, kilka tygodni temu zapowiedziało, że nowe wydania bestsellerowych powieści będą zawierać mniej „ofensywnego” języka. A więc nie będzie w tych książkach nie tylko żadnych „ogromnie grubych”, ale też „brzydkich”, a w niektórych miejscach „czarnych” bohaterów. Złośliwi i sceptycy natychmiast zaczęli się tu doszukiwać spiskowej teorii dziejów, ponieważ formalnie spuścizną intelektualną po zmarłym w 1990 r. pisarzu rozporządza The Roald Dahl Story Company, której właścicielem od 2021 r. jest Netflix. Głównym rynkiem dla tej platformy streamingowej są Stany Zjednoczone, gdzie debata wokół inkluzywnego języka jest najszersza i przybiera najostrzejszą formę, wszystko zatem składa się w zgrabną całość. Amerykanie boją się swojej progresywnej lewicy, która nieraz już straszyła internetowym bojkotem, dlatego cenzurują starego Brytyjczyka, w obawie przed awanturą

RYS. MAŁGORZATA TABAKA

eprasa.pl 66d62a834a

w mediach społecznościowych. Na pierwszy rzut oka bardzo proste.

Prawda jest jednak nieco bardziej skomplikowana. I tak samo jak w przypadku języka używanego przez Roalda Dahla należy ją wpisać w kontekst. Podobne zabiegi z książkami robi się od lat, „uaktualnieniu" poddane zostały m.in. książki Agathy Christie czy Iana Fleminga, autora serii o Jamesie Bondzie. Mniej inwazyjną formą ingerencji w tekst jest opatrzenie go przedmową lub przypisami, co trudno uznać za wymysł nowy bądź „zachodni". Funkcjonuje i doskonale sprawdza się również w Polsce, nie tylko w kontekście fikcji.

Wydana w ubiegłym roku przez magazyn „Kontynenty" „Latynoafryka" – antologia tekstów depeszowych Ryszarda Kapuścińskiego pisanych z Afryki i Ameryki Łacińskiej w czasach, gdy był tam korespondentem Polskiej Agencji Prasowej, poprzedzona jest obszernym wstępem, tłumaczącym istnienie w tekstach słów wtedy powszechnych, a dziś już kontrowersyjnych, takich jak Indianin, Murzyn czy plemię. Wydawcy zastosowali zasadę momentu historycznego, w naukach humanistycznych nazywaną też prezentywizmem. Z grubsza chodzi o rozumienie materiału zgodnie z ramami kulturowymi i społecznymi właściwymi okresowi, w którym powstał. Dlatego Indianie i Murzyni w depeszach Kapuścińskiego zostali.

Czy dżdżownica może być pomarszczona

Z Dahlem jednak chodzi o coś innego, bo odbiorcami jego książek są głównie dzieci. I, jak szybko się okazało, to właśnie ich wrażliwość – lub domniemany brak – stała się czynnikiem znacznie bardziej polaryzującym niż teksty adresowane do dorosłych. Całą awanturę podsumujmy w kilku zdaniach, bo dla opisywanego tu zjawiska jest ona wtórnym, mało ciekawym tłem. Penguin Random House, a dokładnie należąca do niego oficyna wydawnicza Puffin, zaproponował w styczniu, że kolejne wydania książek pisarza zostaną napisane od nowa, bez „ofensywnego" języka. Wzbudziło to spory sprzeciw środowiska literackiego – w obronie oryginalnych tekstów wypowiedział się m.in. Salman Rushdie, a więc ktoś, kto o sile słów wie akurat sporo z własnego doświadczenia. Nawet premier Wielkiej Brytanii Rishi Sunak zajął stanowisko w tej sprawie. Ustami swojego rzecznika zakomunikował, że jego zdaniem „ważne jest, by dzieła literatury były zachowywane dla następnych pokoleń, a nie retuszowane".

Histeria o jakże przewidywalnym przebiegu trwała kilkanaście dni, aż wydawca znalazł salomonowe (wydawałoby się) rozwiązanie. Książki Dahla publikować będzie od teraz dwutorowo. Niektóre egzemplarze będą zawierały język poprawiony, gładki, w których nawet dżdżownica nie ma już „pomarszczonej" skóry, ale właśnie gładką. W innych zachowano oryginalną pisownię, lecz dodano absurdalnie brzmiący przypis – oto egzemplarze pierwotne uznano za odpowiednie „dla tych dzieci, które mogą samodzielnie konsumować treści pisane po raz pierwszy".

Na dłuższą metę problemu to wcale nie rozwiązuje, głównie dlatego, że w tym sporze nie chodzi o Dahla, ale o to, czym jest język i kto ma nad nim władzę. W kwestii pisarstwa przeznaczonego dla dzieci jest to o tyle ważne, że książki bywają w ich rozwoju instrumentem formacyjnym. Również za pomocą książkowych historii dzieci poznają świat, ważne więc, by miały świadomość, że nie jest on czarno-biały. Nie powinny rozwijać w sobie przekonania, że rzeczywistość da się zamknąć w prostych kategoriach, tak samo jak ludzkie zachowania. To model uproszczony, który dziecko wyłącznie skrzywdzi, i apel ten dotyczy nie tylko wydawców Dahla, lecz w ogóle wszystkich autorów, a nawet po prostu ludzi, którzy z dziećmi mają w jakikolwiek sposób do czynienia.

Tak samo ważne jest, by pokazywać im świat we właściwej dla niego dynamice. Jako cywilizacja czynimy systematyczne postępy, również pod względem normatywnym. Czasem bywają one minimalne, a czasem gwałtowne, i chociażby w tym celu – pamiętania, jak rzeczywistość wyglądała jeszcze kilka dekad temu – warto sięgać po teksty pisane językiem właściwym tamtym epokom. Już ponad sto lat temu wartość tego zjawiska dostrzegał jeden z ojców współczesnej socjologii, Émile Durkheim. Pisał, że cenne doświadczenia dla społeczeństwa potrafią płynąć nawet z aktów uznawanych przez większość za dewiacje lub czyny kryminalne – bo albo wskazują one, że normy się zmieniają, albo po prostu przypominają nam, co jest dobre, a co złe. Ale taką funkcję pełnić mogą jedynie, gdy nie będziemy ich na siłę wygumkowywać z przeszłości. Wielu już zresztą próbowało i wbrew pozorom nie jest to wyłącznie domena rządów komunistycznych bądź totalitarnych.

Współczesna prawica też ma sporo na sumieniu w zakresie rewizjonizmu historycznego, ale w tej dyskusji nie chodzi o to, by wytykać palcem oponentów politycznych. Raczej o to, żeby nie zaprzeczać podstawowym faktom społecznym. A jednym z nich są przemiany naszej tożsamości językowej. Nic w społeczeństwie, a tym bardziej język, nie jest, jak pisał Zygmunt Bauman, „odporne na kulturę". To jednak niesie konieczność zmiany, a ta jest sprzeczna z twierdzeniem, że od początku wyrażaliśmy się w sposób idealny.

Uaktualnieniu poddane zostały m.in. książki Agathy Christie czy Iana Fleminga, autora serii o Jamesie Bondzie.

Wygładzony język nie uleczy nikogo, kto ma realne problemy. Oszczędzi jedynie uczucia tych, którzy sami go używają.

eprasa.pl 66d62a834a

Biedni skazani

Jeszcze innym aspektem tej dyskusji jest w ogóle sam odbiór języka. W tym zakresie znów Amerykanie mają najszerszą gamę doświadczeń, warto więc rzucić okiem za ocean, by zrozumieć, o co toczy się gra. Trafnie i wyraziście podsumował to w niedawnym eseju reporter „The Atlantic" George Packer, analizując pączkujące w całych Stanach Zjednoczonych podręczniki i wskazówki używania języka inkluzywnego. I jeśli ktoś z naszych czytelników myśli, że chodzi tutaj o rzeczy podobne do awantury wokół Dahla, a więc ludzi „grubych" i „brzydkich", bardzo się zdziwi. Są bowiem w USA instytucje, które otwarcie odradzają używania sformułowań takich jak „Amerykanin" wobec osób mieszkających w tym kraju, bo „nie każdy jest tu obywatelem". Nie należy też mówić o „ślepych", zwłaszcza metaforycznie, jak więc zauważa Packer, władza nie może być już ślepa np. na problemy osób czy społeczności zmarginalizowanych. To określenie także powinno być już na śmietniku, bo zabiera sprawczość, godność i podmiotowość. Tak samo słowo biedny.

Absolutną perłą w koronie inkluzywnego języka pozostaje jednak społeczny zakaz używania słowa skazany, mimo że jest to fakt prawny. Zamiast tego niektóre instytucje proponują *justice-involved person*, czyli w wolnym tłumaczeniu osobę mającą doświadczenie z wymiarem sprawiedliwości. Trudno o większe pustosłowie i eufemizację języka w jednym.

Packer ma rację, konkludując, że zmiana języka nie zawsze prowadzi do zmiany rzeczywistości. Dzieje się tak zwłaszcza wtedy, gdy zmiany tej chcą osoby, których ów język nie dotyczy i które nowomowę próbują odgórnie narzucić, chociaż nie ma ona nic wspólnego z esencją problemów przez nią opisywanych. Czy ludzie ubodzy poprawią swój status majątkowy, jeśli zaczniemy ich definiować jako „osoby z ograniczonymi zasobami finansowymi"? Co najmniej wątpliwe. Więcej dobrego zrobiłaby dla nich realna zmiana doktryny ekonomicznej czy modelu redystrybucji dóbr i majątku. To jednak znacznie trudniejsze. Łatwiej tworzyć nieskończenie długie listy eufemizmów i zastępować „słusznymi" sformułowaniami stare teksty. Wygładzony język nie uleczy nikogo, kto ma realne problemy. Oszczędzi jedynie uczucia tych, którzy sami go używają.

Słowa, którymi opisujemy rzeczywistość, mają znaczenie. Nie mogą być jednak substytutem realnej walki o czynienie świata lepszym. Rasizm nie zniknie, bo przestaniemy w polskich szkołach dawać dzieciom do czytania „W pustyni i w puszczy". Czytając tę i podobne książki, będą miały większą szansę zrozumieć, skąd to zjawisko się bierze i dlaczego jest szkodliwe. Podobnie jest z książkami Dahla, które mogłyby stanowić fenomenalny punkt wyjścia do dyskusji o kanonach piękna, też przecież zmieniających się przez wieki. Mogłyby, gdyby na siłę nie próbowano ich zmieniać. Powtórzmy to jeszcze raz: aktualizacja kultury nie jest niczym nowym i nie musi być z gruntu zła, w końcu poprawiano nawet dzieła Michała Anioła. Ale ten proces nie może się odbywać kosztem kasowania historycznych kontekstów, a to właśnie się dzieje w przypadku wygładzania języka popularnych powieści.

Aktualizacja kultury nie jest niczym nowym i nie musi być z gruntu zła, w końcu poprawiano nawet dzieła Michała Anioła.

Literatura, podobnie jak historia czy nawet dziennikarstwo, może i powinna wprawiać nas w dyskomfort. Dzieci w stopniu mniejszym niż dorosłych, ale wykluczać ich z tego procesu nie należy, w końcu prędzej czy później same dorosną i doświadczą go na własnej skórze. Bycie wrażliwym na krzywdę, również językową, jest oczywiście ważne, ale z definicji jest odczuciem indywidualnym. Nikt nie ma prawa narzucać go reszcie społeczeństwa, tak jak to robią korektorzy Dahla i innych książek. Poczucie urażenia nie daje legitymizacji do zmiany. Bo, jak mawia znany brytyjski komik Ricky Gervais, to, że czujesz się obrażony, nie znaczy jeszcze, że masz rację.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

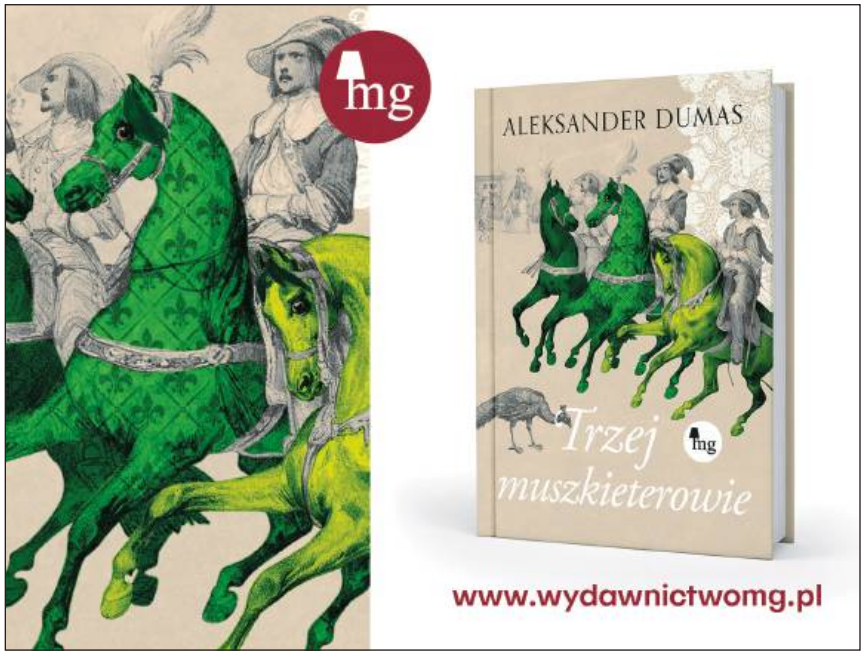

eprasa.pl 66d62a834a

Oko w oko

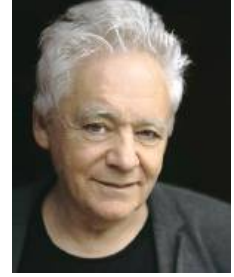

Tomasz Jastrun

Rozsupływanie duszy

Izraelczycy nie odpuszczają premierowi Netanjahu, który próbuje przeczekać burzę, ich upór jest dla nas dobrym przykładem. Ale mają jakoś łatwiej, brutalne zmiany premier Izraela wprowadził gwałtownie, wtedy nietrudno się zbuntować, u nas to rozlazły proces. Są przy tym uderzające podobieństwa. I można stracić dech z wrażenia, że izraelskie władze miały się konsultować z polskimi i szukać dobrej rady w pacyfikacji sądownictwa, co w swojej naiwności zdradził nasz wiceminister spraw zagranicznych. Nie ma jednak co zazdrościć Izraelowi. Jest w strasznej sytuacji. Ktoś, kto nie odwiedza tego kraju, może nie wiedzieć, jakim dramatem stała się populacja ortodoksów, licząca teraz 1,3 mln. W jej ramy wchodzą dziesiątki różnych ugrupowań religijnych, które narodziły się kiedyś na wschodzie Europy, też w Polsce. Jest w nich fanatyzm religijny, nie z tej ziemi obrządki i obowiązki, zdumiewają szaty i fryzury. Gdy powstawał Izrael, ta grupa była stosunkowo niewielka, a ojciec narodu Ben Gurion, sam mało religijny, dał im szczególne przywieje, przecież jakimś cudem przez stulecia wygnania ocalili swoją odrębność. Ortodoksi nie pracują, nie mają czasu, modlą się i studiują księgi, utrzymuje ich państwo. Nie służą w armii. Armia zaś to w Izraelu świętość, służba jest wielkim zaszczytem, trwa właściwie całe życie. Moi liberalni znajomi z Izraela piszą: „Nie dość, że religijni ortodoksi są radykalni i fanatycznie antyarabscy, więc narażają nas na wojnę, to nie służą w wojsku, służą za nich nasze dzieci". Na dodatek Iran, który ma już pewnie broń jądrową, uważa, że Izrael powinno się wymazać z mapy świata. Jest też milion Palestyńczyków jako obywateli Izraela, są tereny okupowane i są prawicowi ekstremiści. Nie ma więc czego zazdrościć Izraelowi, nadal jedynej demokracji na Bliskim Wschodzie, oazie Europy w tej części świata.

•

Już jakiś czas temu na spotkaniu w Opolu Donald Tusk mówił o tym, co przed laty było stałym motywem moich felietonów, a uparcie jest przeoczane przez naszych polityków. W Polsce panuje chaos przestrzenny i brzydota, kraj jest estetycznie zdewastowany. To chyba pierwsza taka wypowiedź polskiego polityka, jaką słyszałem. Żyjemy w brzydkim, zniszczonym krajobrazie, a to ma wpływ na nasze życie psychiczne i społeczne. W Polsce były rwane wszystkie tradycje, chyba oprócz tradycji niechlujstwa. Piękno jest ważną częścią demokracji, brzydota jest bliska dyktaturze. Dlatego pisowcy w ogóle nie widzą problemu. Kaczyński równie dobrze czułby się na śmietniku, jak i w estetycznym pomieszczeniu. Nie wiem, ile tu widzi i czuje Rafał Trzaskowski, na pewno za mało o tym mówi.

•

Znajoma, która mieszka we Francji, pisze, że jest tam tak beznadziejna służba zdrowia, że wraca do Polski się leczyć. Krzyś z Kanady też się skarży. Za długo żyjemy, za wiele chorujemy, za wiele kosztują nowe metody leczenia. Jeszcze migawki ze szpitala, który już oddala się ode mnie. Salowa mówi, że dopiero co wróciła z Dominikany. Polska jednak się zmieniła, świat w zasięgu ręki. Po dwóch tygodniach od operacji wyjęcie szwów, bardzo lubię wyjmowanie szwów, jakby odsznurowywano mi duszę. I coraz lepiej chodzę, poczucie, że się młodnieje.

•

W Ukrainie ukaże się wybór wierszy mojego ojca, trwa praca nad przekładem. Polska wsparła książkę finansowo. Jakimś cudem nie zaszkodziłem ojcu. Trwa okrutna wojna w Ukrainie, ale nadal możliwe są takie przedsięwzięcia kulturalne.

•

Dwie śmierci, które mnie uderzyły pięścią w głowę. Odszedł Adam Sandauer, znaliśmy się od kołyski, całe dzieciństwo, młodość, no i potem. Adam zdziwaczał, musiał istnieć, za wszelką cenę istnieć, stąd jego romanse ze skrajnymi ruchami, w końcu z PiS. Nie mogłem i nadal nie mogę mu tego wybaczyć, ale wielki żal, że go nie ma. Spotkaliśmy się ostatnio na pogrzebie matki znajomego, powiedział do mnie: „Teraz nasza kolej".

I nie ma już Pawła Śpiewaka, jego też znałem od dziecka. Inteligentny, błyskotliwy, lubiłem go słuchać, zawsze to było inspirujące. Razem przez lata redagowaliśmy „Res Publikę", jakie było to niezwykłe pismo, widać po latach. Pamiętam z dzieciństwa, jak z ojcem Pawła, poetą Janem, wchodzimy na wzgórze, na którym stoi zamek Chojnik. Jakiś prześwit w krzakach, który otwiera krajobraz – mówię: „Jak ładnie!". Na co ojciec Pawła: „Zobacz, Tomek taki wrażliwy na piękno, a ty, co?". Ta scena frunie w mojej pamięci nienaruszona, pewnie na skrzydłach komplementu. Powszechny żal, wiemy, że będzie głupiej w Polsce bez Pawła. ■

W Polsce były rwane wszystkie tradycje, chyba oprócz tradycji niechlujstwa. Piękno jest ważną częścią demokracji, brzydota jest bliska dyktaturze.

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 66d62a834a

Marmur nie wybacza pośpiechu

Igor Mitoraj od początku pobytu w Pietrasanta wpisywał się w powolny nurt włoskiej prowincji, i w pracy, i w codziennym życiu

Agnieszka Stabro

Pietrasanta słynie na cały świat z użytkowego oraz artystycznego wykorzystania marmuru, a także z nagromadzenia na stosunkowo małym terenie miasta olbrzymiej liczby pracowni kamieniarskich. Spod dłut artystów i doskonałych, najlepszych w kraju rzemieślników wychodzą posągi, popiersia, figury, obeliski, które znajdujemy wszędzie: na skwerach, ulicach, w parkach. Znaczą ronda i ważniejsze punkty miasta. Kryją się w prywatnych ogrodach, wychylają się zza gęstwin żywopłotów.

W rzeźbiarską, kamienną historię miasta doskonale wpisał się Igor. Ślady jego pamięci w mieście bowiem to nie tylko historie opowiadane przez ludzi, ale także namacalne dowody jego bytności w Pietrasanta: „Centaur" na placu Centaura, rzeźby w Museo dei Bozzetti: „Narodziny Wenus" i „Horyzont", fresk w ratuszu i scena zwiastowania, odwzorowana nad drzwiami, na fasadzie kościoła św. Augustyna.

Pierwsza z rzeźb, „Centaur", na którego natrafiamy zupełnie przypadkiem, włócząc się toskańskim, sennym i leniwym popołudniem po wąskich uliczkach Pietrasanta, usytuowana jest na placu Centaura. Mała przestrzeń, nieco oddalona od piazza Duomo, jednak pozostająca w zasięgu historycznego centrum miasta, na tyłach kompleksu sakralnego, w pobliżu Museo dei Bozzetti, jest dla niego idealna. (…)

Artysta lubił mawiać, że jego rzeźby są zdruzgotane. Zdruzgotane cierpieniem, otaczającym je światem, doświadczanymi zdarzeniami. Wzbudzają podziw, zachwyt, ale i współczucie. Emocje, jakby były żywymi istotami… Igor chętnie sięga do warsztatu przeszłości, nie po to jednak, by ją powielać, ale po to, by przetworzyć ją po swojemu, pokazać ją nie w majestatycznym, monumentalnym pięknie, ale uwidocznić, że bohaterowie greckich mitów też byli ludźmi. (…)

Na niezwykłą umiejętność Igora polegającą na łączeniu cech współczesnej rzeźby z tradycją rzeźby klasycznej, greckiej, zwraca uwagę Jacek Nitecki, przyjaciel artysty, swego czasu największy kolekcjoner prac Mitoraja. Dodaje jeszcze jedną bardzo ważną cechę twórczości Igora: najwyższej klasy warsztat i umiejętności, a także oryginalny, zaskakujący, niezwykle przemyślany koncept. Z połączenia tych wszystkich cech powstaje spójna całość, za którą stoi ciężka codzienna praca, wiedza, samoświadomość artysty i lata doświadczeń. (…)

Na szczególną uwagę zasługuje praca „Grande Toscano" – popiersie mężczyzny z uwiecznioną w jego sercu twarzą dziewczyny. Dzieło jest z jednej strony hołdem dla Toskanii i jej mieszkańców, nawiązując stylem do renesansowego toskańskiego rzeźbiarza Donatella, z drugiej zapisem osobistego doświadczenia Igora. Kobieca głowa jest podobizną Aleksandry, ulubionej modelki Igora Mitoraja, który był pod wielkim wrażeniem jej urody. Jednocześnie Igora i Aleksandrę łączyła ogromna przyjaźń, mówi się też, że być może platoniczna miłość, zakończona wyjazdem modelki z mężem do Meksyku. (…) Znaczenia „Grande Toscano", podobnie jak w przypadku innych rzeźb artysty, można jednak mnożyć, to oddalając się od autobiograficznych tropów, to się do nich przybliżając. (…) Można także interpretować na własny, niepowtarzalny sposób,

eprasa.pl 66d62a834a

na uniwersalności odbioru bowiem, przy jednoczesnym konkrecie przedstawienia, polega w dużej mierze geniusz prac Igora Mitoraja. (…)

•

Wędrówkę śladami Igora zaczęliśmy od zapalenia znicza na jego włoskim grobie; nekropolia w Pietrasanta była także naszym ostatnim przystankiem przed wyjazdem. W trakcie poszukiwań wracaliśmy często na miejsce wiecznego spoczynku artysty, w myślach prosząc go o dalsze wskazówki, radę, gdzie szukać odpowiedzi na najbardziej nurtujące nas pytania, gdzie znaleźć tajemnicę jego sztuki i miłości do Pietrasanta. Pierwszego dnia podróży, krążąc po centrum miasta, zapytałam przypadkowego przechodnia, gdzie znajduje się cmentarz, na którym jest pochowany Igor Mitoraj, chcąc się upewnić, czy zmierzamy w dobrym kierunku.

„Gdzie jest Igor? – odpowiedział miły starszy pan. – Trzeba iść prosto, potem skręcić w lewo i cały czas prosto. Za Pietrasanta jest niewielki cmentarz".

Igor. Nie mistrz, nie Maestro, nawet nie Igor Mitoraj, ale po prostu Igor. Jakby mówił o dobrym przyjacielu, czekającym za rogiem. Jakby nadal tu był.

Mały cmentarz, tuż za miastem. Grób Mitoraja, składający się z jasnego nagrobnego kamienia oraz rzeźby Igora: charakterystycznego torsu, w który wpisany jest krzyż, otaczają kamienne anioły, Madonny i trupie czaszki z początków XIX w. Jest cicho i spokojnie. Cmentarz okalają rzędy kolumbariów, tak często spotykanych na południu Europy. Wrażenie robią wielkie grobowce z XVIII, XIX i XX w., małe domy dla zmarłych, niektóre przypominające miniaturowe kościoły. Spoczywają w nich najzamożniejsze i najznamienitsze rodziny, które zamieszkiwały Pietrasanta i okoliczne tereny. Można powiedzieć, że nawet po śmierci Igor jest w dobrym towarzystwie. Grobowiec artysty jest piękny i zadbany. Palą się znicze, na płycie leżą świeże kwiaty.

Grób Igora na włoskim cmentarzu często odwiedzają jego przyjaciele, przede wszystkim Jean Paul Sabatier, Adolfo Agolini, znajomi z baru Michelangelo i wielu mieszkańców miasteczka. Gdy w dniu wyjazdu stawiam na nim ostatni znicz, wracają do mnie echem historie, które opowiedzieli mi bliscy Igora we Włoszech.

Igor stworzył w Pietrasanta własną małą społeczność, coś na wzór rodziny.

Jean Paul Sabatier: „Igor był wspaniałym, kochającym synem, oddanym przyjacielem, niezwykle dobrym i łagodnym człowiekiem, ale okropnym domownikiem. Mieszkanie z nim było bardzo ciężkie – mówił ze śmiechem – nie tylko miał różne fobie, jak na przykład strach przed otwartymi oknami, ale był też okropnym cholerykiem. Emocje i nerwy miał na wierzchu, bardzo szybko się denerwował, ale też bardzo łatwo wzruszał. Jak przypomnę sobie pierwszy wywiad Igora: totalna katastrofa".

Adolfo Agolini: „Igor stworzył w Pietrasanta własną małą społeczność, coś na wzór rodziny, będąc jednocześnie człowiekiem nieco nieśmiałym, wycofanym, z dużym dystansem do ludzi. Niektórzy ten jego dystans oceniali błędnie: ci, którzy go nie znali zbyt dobrze, mówili, że jest szorstki, oschły, wyniosły, nawet zarozumiały. A to była maska. Maska, za którą skrywał ponadprzeciętną wrażliwość, dobroć, niezwykłą łagodność, dyskrecję, bo, jak sam twierdził, inaczej ludzie by go zadeptali. Igor lubił przebywać wśród ludzi, ale jednocześnie był osobą dość zamkniętą w sobie, a nawet nieśmiałą".

Nikt nie przypuszczał, że przyjdzie mu zapłacić za swoją sztukę tak wysoką cenę.

„Czy Igor był nieśmiały?", zapytałam Jeana Paula. „Nieśmiały? Zdystansowany tak, ale nie nieśmiały. Był przede wszystkim dyskretny i bardzo wybredny w stosunku do ludzi. Wybierał sobie, z kim się przyjaźni, i z pewnością nie był człowiekiem zdolnym do zaprzyjaźnienia się z każdym. Jeśli jednak już ktoś zdobył jego zaufanie i sympatię, zyskiwał przyjaciela na zawsze. Jeśli jednak nadepnął mu na odcisk, to miał go za najgorszego wroga. Igor jeśli kochał, to całym sercem, jeśli nie znosił, to całym sobą. Potrafił być wtedy naprawdę nieznośny. Zdarzało się, że kiedy do domu przychodził ktoś, kogo Igor nie darzył szczególną sympatią, na części prac i rzeźb nagle zawisały… prześcieradła. Musiał kogoś polubić, przede wszystkim dobrze poznać, by podzielić się z nim tym, nad czym obecnie pracował, lub ze szczególnie ukochanymi pracami. Miał też dużo fobii. Nie lubił jeździć środkami transportu, dlatego w Pietrasanta najczęściej spotkać go można było przemieszczającego się na rowerze. Gdy miał wybierać się do USA, wolał płynąć statkiem, niż lecieć samolotem. Potwornie bał się latać. Na lotnisku w Genewie spuściłem go z oka dosłownie na chwilę; odwróciłem się, by kupić papierosy. Zerkając w stronę tafli lotniska, zobaczyłem Igora odjeżdżającego w taksówce".

Przypomina mi się także historia kupionego wspólnie z Jeanem Paulem XIII-wiecznego zamku Château de Confoux na południu Francji, w Prowansji, 30 minut od Marsylii, w którym Igor głównie malował, odpoczywał i urządzał huczne przyjęcia. Miał doskonałe wyczucie, kiedy przychodziło do wyboru posiadłości i miejsc zamieszkania. Château de Confoux jest przepiękną, ogromną, majestatyczną fortecą, wybudowaną ok. 1200 r. przez arcybiskupów Arles. W jego obrębie znajdują się także kaplica oraz budynki gospodarcze, zajmowane w XIII w. przez chłopów uprawiających okoliczną ziemię na potrzeby zamku. (…)

eprasa.pl 66d62a834a

Obecnie do Notre-Dame-de-Confoux prowadzą drzwi zaprojektowane i wykonane przez Igora Mitoraja. W ich centrum rzeźbiarz umieścił charakterystyczny dla swojej twórczości tors z wkomponowanym w niego krzyżem. Po lewej stronie widnieje anioł, niczym dobry anioł stróż nie tylko samej kaplicy, ale i zamku. Świątynia otoczona budynkami z XVII i XVIII w. stoi przycupnięta nieco nieśmiało pośród teraz piękne odrestaurowanych oficyn.

Podobno Igor marzył, aby zamek stał się domem pracy twórczej dla artystów z całego świata, miejscem spotkań oraz wymiany myśli. Niestety, nie doczekał się realizacji swojego projektu. Nie oznacza to jednak, że w Cornillon-Confoux nikt o Igorze nie pamięta, wręcz przeciwnie. Podczas gdy w Polsce istnieje jedynie ulica nazwana jego imieniem w rodzinnym Grojcu, w odległej o setki kilometrów Prowansji, w niewielkim, nieco zapomnianym przez świat miasteczku Cornillon-Confoux prowincjonalna szkoła podstawowa nosi właśnie imię Mitoraja. Nie tylko ze względu na jego wielkość jako artysty, lecz również na zwykłą ludzką sympatię, którą tutaj budził. Nie był anonimowy ani też nie zamykał się w zamku jak w fortecy. Lubiany i szanowany, angażował się w życie miasteczka, organizował wystawy oraz wydarzenia kulturalne, udzielał się w ratuszu. (…)

Igor potrafił tworzyć własne światy, ale miał też cudowny dar odnajdywania światów zapomnianych, miejsc przycupniętych gdzieś przy głównym nurcie życia, skutecznie mu się opierających od setek lat. Takie jest Cornillon-Confoux, niosące ślady przeszłości, zagubione pośród zielonych pól Prowansji. Miejsce, w którym Igor doskonale się odnalazł.

Bajkowa kraina Cornillon-Confoux i widoki prowansalskich pól były dla Igora ostatnimi, które widział przed śmiercią. Został pochowany w Pietrasanta na własne życzenie, jednak to nie włoska przystań była miejscem jego odejścia. Nie był też nim Paryż. Igor zmarł w zamku na południu Francji, z dala od zgiełku, ludzi, splendoru i typowego dla Włoch harmidru, ale nie samotnie.

„Centaur" na placu Centaura w Pietrasanta.

W ostatnich, najcięższych chwilach towarzyszył mu Jean Paul Sabatier, nie opuszczając go nawet podczas dwóch ostatnich, koszmarnych, jak sam przyznał, miesięcy życia.

„Mówi się, że Igor umarł na AIDS, ale to nieprawda – mówił Jean Paul na koniec swojej barwnej opowieści – Igor zmarł na szpiczaka kręgosłupa (Jean Paul mówiąc o chorobie Igora, zastosował skrót myślowy. Prawidłowa, medyczna nazwa tego rodzaju nowotworu to szpiczak plazmocytowy). Okropnie się męczył i cierpiał, to było nie do zniesienia". Przyjaciel Igora, mówiąc o jego odejściu, nie wpadał w dramatyczne tony. Był spokojny, pogodny i pogodzony. Jakby pożegnał się z Igorem lata temu, jakby puścił w niepamięć cierpienie przyjaciela, którego był świadkiem. Szpiczak kręgosłupa to bowiem wyjątkowo bolesny nowotwór układu krwiotwórczego, atakujący kości i kręgosłup, wywołujący bóle oraz cierpienie nie do wytrzymania, paraliżujący człowieka i unieruchamiający na długie godziny. Ale Jean Paul jest dyskretny. Nie epatuje swoim smutkiem ani martyrologicznymi opowieściami. Jak wyglądało życie Igora ze szpiczakiem, a także jak zapewne wyglądało jego odchodzenie, muszę wyobrazić sobie sama.

Igor chorował 20 lat, nie dając nic po sobie poznać na forum publicznym; schronieniem był dom przy via Garibaldi w Pietrasanta i zamek we Francji. Choroba, na którą zapadł, chociaż nieuleczalna, charakteryzuje się okresami remisji, w ciągu których pacjenci funkcjonują względnie normalnie, nie mając żadnych symptomów nowotworu. Okresy nasilonych objawów przeplatać się zatem musiały z okresami rekonwalescencji, kiedy organizm odzyskiwał jako taką równowagę. (…)

Mitoraj nie potrafił pracować inaczej. Był niespokojny, rozdrażniony, rozedrgany, dopóki nie skończył tego, co sobie zaplanował. Zarówno zabawie, jak i pracy oddawał się bez reszty, zapominając o otaczającym go świecie, o rzeczach tak przyziemnych, jak choćby posiłki. Powiedzenie, że Igor rzeźbi, oznaczało jedno: absolutny zakaz przeszkadzania mu i przerywania pracy. Gnany ciągłym przymusem robienia wciąż więcej i lepiej, zamykał się na wiele godzin w pracowni. „Niespełnienie ciągnęło go jak przepaść, jak obłęd. Taką już miał naturę. Pogardzał tym, co łatwe. Więc jął się pracy z jakąś otchłanną,

eprasa.pl 66d62a834a

Ślady pamięci w mieście to nie tylko historie opowiadane przez ludzi, ale także namacalne dowody bytności artysty.

niecofającą się przed niczym stanowczością, z szybkością nie do wiary, pochłaniającą wszystkie fizyczne i duchowe jego siły". Otchłań, która pochłaniała Michała Anioła, upomniała się również o Igora, który nie uniknął twórczego obłędu – przechodzącego na kolejne pokolenia artystów – odczuwając nigdy nienasycony głód, wciąż domagający się zaspokojenia.

Za doprowadzony do granic możliwości obłęd pracy twórczej przychodzi kiedyś zapłacić cenę. (…) Przy intensywnym trybie życia trudno skupić się na zdrowiu czy niepokojących objawach, trudno w porę wyłapać sygnały, które powinny zmartwić każdego. Nie było życia poza sztuką, pracownią, rzeźbami, poza małym Pietrasanta z piazza Duomo i wąskimi uliczkami. Niestety, prawdziwe życie upomniało się o Igora w najbardziej okrutny sposób, jaki można sobie wyobrazić. (…)

Mało kto domyślał się, że jest poważnie chory. Jak zawsze przyjeżdżał rano na rowerze do baru Michelangelo na kawę i wstępował na południowy aperitif. Codziennie przekraczał próg lokalu, mówiąc bez polskiego akcentu: Ciao!, i zamawiał poranne espresso, które popijał, słuchając bicia kilkusetletniego dzwonu z wieży nad kawiarnią. Podobnie jak mieszkańcy Pietrasanta nigdzie się nie spieszył, bo już nie musiał. Nie musiał już niczego nikomu udowadniać, ścigać się z innymi, zabiegać o sławę i uznanie. Osiągnął wszystko i mógł się delektować owocami swojej ciężkiej pracy, smakować życie, cieszyć się nim, nie czując na plecach niczyjego oddechu. (…)

Cierpliwości nauczył go także marmur, który pośpiechu nie wybacza. Wystarczy jeden niewłaściwy, zbyt pochopny ruch, jedno omsknięcie się dłuta, by na skutek naruszenia niezwykle delikatnej, żyłkowatej struktury marmur rozpadł się na kawałki i efekty wielomiesięcznej pracy zostały zniweczone. Igor od samego początku pobytu w Pietrasanta doskonale wpisywał się w powolny nurt włoskiej prowincji, i w pracy, i w codziennym życiu. Bardzo szybko przejął tutejsze nawyki, poddał się rytmowi południowej sjesty, jakby miał go w sobie zawsze, podobnie jak tęsknotę za słońcem, ciepłem, jasnością.

Także w czasie choroby jak zwykle można go było spotkać przechadzającego się po Pietrasanta, podziwiającego architekturę miasteczka, które nigdy nie przestało go zachwycać. (…) Był zapewne coraz bardziej przygaszony, jeszcze mniej rozmowny, jakby potwornie zmęczony… Ale przecież tyle pracował… Nawet w początkach choroby Mitoraj urządzał huczne i do dzisiaj wspominane przez Jeana Paula przyjęcia w zamku w południowej Francji, na których bawiła się śmietanka współczesnego świata sztuki. Coraz częściej jednak wcześniej je opuszczał, cicho przepraszając gości lub niepostrzeżenie udając się do swojego pokoju na samej górze. Coraz częściej unikał ciężkiego wina, coraz rzadziej oddawał się radosnej zabawie. Na jego twarzy pojawił się cień smutku, związany z napadami bólu. Starał się jednak do ostatniej chwili nie poddać chorobie,

Mitoraj nie potrafił pracować inaczej. Był niespokojny, rozdrażniony, rozedrgany, dopóki nie skończył tego, co sobie zaplanował.

FOT. MAREK LASYK/REPORTER, SHUTTERSTOCK, WIKIMEDIA COMMONS

eprasa.pl 66d62a834a

nie pozwolić, by zawładnęła jego życiem. Zdołał pojawić się jeszcze, jak pisze prof. Jerzy Miziołek, „niezwykle już osłabiony", na konferencji prasowej w maju 2014 r. w Pizie, w przeddzień otwarcia głośnej wystawy „Angeli". Do końca chciał być blisko swoich rzeźb, nadzorować wystawę, ostatni raz spojrzeć na swoje dzieła, z czego, być może, zdawał sobie już wtedy sprawę.

Mówi się, że szpiczaka może wywołać kontakt z substancjami chemicznymi, odczynnikami i rozpuszczalnikami, z którymi rzeźbiarz miał styczność przez całe życie. Nikt jednak nie przypuszczał, że przyjdzie mu zapłacić za swoją sztukę tak wysoką cenę. Gdy ostatniego dnia pobytu w Pietrasanta stoimy nad jego grobem, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że cena ta była zbyt wygórowana.

Igor umarł 6 października 2014 r. na zamku Château de Confoux w Prowansji, jak mówił prof. Czesław Dźwigaj, za wcześnie. Pozostał po nim niedosyt twórczy; być może Mitoraj, nasycony już Ikariami i centaurami, podjąłby się nowych, zupełnie innych działań. (...) W chwili śmierci Igora świat, który artysta z jednej strony odrzucał, a z drugiej kochał całym sercem, wraz z jego niedoskonałością i zarazem niewysłowionym pięknem, świat, którym jednak, nieco wbrew własnym słowom, potrafił się cieszyć i którego uroki potrafił celebrować, stanął w miejscu. W Pietrasanta ogłoszono trzydniową żałobę narodową, „przywilej" zarezerwowany dla rodowitych Włochów. Na Urzędzie Miasta wywieszono napis „Grazie Maestro". Pełne szacunku słowa, wyrażające wdzięczność za wybitną twórczość uprawianą właśnie we Włoszech, przesłane przez ówczesnego prezydenta republiki Giorgia Napolitana, odczytano w katedrze. Czarne flagi powiewały na niemal każdym budynku, zamknięto nie tylko urzędy, ale i sklepy, bary, restauracje, biura, galerie. Ludzie siedzący na krawężnikach, spacerujący uliczkami, wałęsający się po Pietrasanta jakby bez celu, w niezrozumieniu, szoku i zdziwieniu nie ukrywali łez, bólu, smutku oraz rozpaczy po odejściu Maestra. Nie potrafił ukryć ich również ówczesny burmistrz miasta Domenico Lombardi, który nie był w stanie przeczytać w czasie uroczystości pogrzebowych napisanego przez siebie na cześć Igora wiersza. Miasto pogrążyło się w kilkudniowym mroku, jakby osnuła je metaforyczna żałobna czerń.

Nie tylko Pietrasanta płakało. O śmierci Igora pełni smutku informowali dziennikarze z „The Guardian", prezenterzy francuskiej telewizji Euronews i stacji hiszpańskich. Tym boleśniejsza była cisza w polskich mediach. Tym boleśniejszy był brak na uroczystościach pogrzebowych nie tylko polskiego ambasadora, ale jakiegokolwiek przedstawiciela polskich władz czy chociażby Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

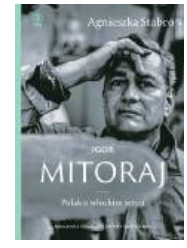

Fragmenty książki Agnieszki Stabro *Igor Mitoraj. Polak o włoskim sercu*, Rebis, Poznań 2022

eprasa.pl 66d62a834a

KURTYNA W GÓRĘ

Paweł Mossakowski, „Podróżnicy", reżyseria Gosia Dębska, Mała Scena Teatru Żydowskiego, premiera 8 marca 2023

Trzy spotkania

Może poprzestanie na „surowym" zapisie dramatu Pawła Mossakowskiego, wyróżnionego w międzynarodowym konkursie im. Szymona Szurmieja na sztukę o tematyce żydowskiej, sprawiłoby, że wybrzmiałby na scenie mocniej. Mossakowski jest wytrawnym autorem słuchowisk, wrażliwym na słowo i w słowie zawiera się klucz do jego dramaturgii. Tym razem zdecydował się pokazać jeden z wielu dramatów, które stały się udziałem polskich Żydów w wyniku nagonki antysemickiej rozpętanej w marcu 1968 r. To wtedy snująca plany wspólnego życia para zakochanych, Pola i Kuba (wiarygodni na scenie Adrianna Kieś i Paweł Chomik), będzie musiała się rozłączyć. Potem jednak dojdzie do kolejnych spotkań; w Szwecji, kiedy ona będzie już matką i żoną, a on wciąż szukającym swojego miejsca poetą, i po latach w Izraelu, kiedy on będzie człowiekiem sukcesu, a ona kobietą po trudnych przejściach. Mossakowski daje bohaterom jeszcze jedną szansę, którą, wydawało się, utracili na zawsze w roku 1968.

Młoda reżyserka Gosia Dębska, mająca na koncie błyskotliwy debiut w Teatrze Żydowskim – powszechnie chwalony „Madagaskar", zdecydowała się jednak dodać słowom trochę kolorytu, więcej zmysłowości i dlatego pojawiła się na scenie choreografia, obrotówka w maleńkiej przestrzeni salki przy ulicy Senatorskiej, a na zakończenie nawet efekt zapachowy – rozchodząca się woń świeżych pomarańczy, która stawała się obietnicą odmiany losu.

Dębska ubarwiła też dramat cytatami z niesławnego przemówienia Władysława Gomułki, którym dał on zielone światło do wyproszenia obywateli żydowskiego pochodzenia z Polski. Dodało to spektaklowi walorów sensualnych i emocjonalnych, ale coś za coś – dokumentarny podkład sztuki odsunęło na drugi plan. Tak czy owak, powstało przedstawienie, które mocnym głosem przypomina dramat marcowy, wciąż niezabliźnioną ranę w stosunkach polsko-żydowskich, z którą od lat próbuje się uporać Teatr Żydowski, strażnik zbiorowej pamięci.

Tomasz Miłkowski

MIĘDZY OKŁADKAMI

Maria Czubaszek
Wszyscy niestety normalni
Prószyński i S-ka, Warszawa 2023

Dwa cytaty oddają moim zdaniem idealnie sposób myślenia rodaków. Jeden to słynne „Sąd sądem, a sprawiedliwość musi być po naszej stronie" z „Samych swoich", drugi znajdziemy właśnie tu, w tekściku „Znieczulica": „Pan ma może argumenty, ale ja na pewno mam rację!". W tym dialogu pobitego z niewyspanym ze zbioru „Na wyspach Hula-Gula", hen z lat 70., nie ma nic surrealistycznego. Niestety. Podobną niezachwianą „logikę" można dziś znaleźć w komentarzach na portalach internetowych i w tyradach polityków. Równie niesurrealistyczne jest zakładanie „partii bezpartyjnych z programem z komputera" – to już początek lat 90. i cykl „Dziewczyny na ścianę i na życie". Ale jeśli ręce opadają nam jak płetwy w zderzeniu z rzeczywistością, wciąż znajdziemy u Czubaszek reanimującą dawkę absurdu i zabawy językiem, świetnie podpatrzoną niekonsekwencję uczuciową i tę specyficzną melodię tekstów, którą pamiętamy z tylu słuchowisk i nadal słyszymy w głowie.

Aleksandra Pańko

John Williams
Stoner
tłum. Maciej Stroiński
Wydawnictwo Filtry, Warszawa 2023

Mała wielka książka z pokrętną historią. Wydano ją po raz pierwszy w 1965 r. i… przepadła bez echa. Dopiero w 2013 r. stała się hitem wydawniczym na amerykańskim rynku. Chociaż rok później ukazało się polskie tłumaczenie, to nad Wisłą nie podzielono entuzjazmu krytyków i czytelników zza oceanu. Aż dotąd. Drugie polskie wydanie z zimy 2023 r. stało się wydarzeniem literackim. Dlaczego dosyć tradycyjna powieść, w której Wielka Historia jest tylko tłem, zyskała taką popularność? Być może jest to klasyczna odtrutka na modną tzw. literaturę konfesyjną? Mamy dość tych bebechów emocji? Być może zatęskniliśmy za opowieściami w stylu „Podróży do kresu nocy" i „Martina Edena"? Nie wiem, ale ze „Stonerem" i tytułowym bohaterem zaprzyjaźniłem się jak za najlepszych czytelniczych czasów. Polubiłem tę smutną opowieść o smutnym literacie, a po lekturze nie spoglądam już w lustro.

Rafał Pikuła

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 66d62a834a

Dzikość zagrożona

Komercyjne polowania na ginące gatunki wciąż są łatwo dostępne

Mateusz Mazzini
Korespondencja z RPA

Spotkać nosorożca w naturze, żyjącego poza sztucznym światem ogrodów zoologicznych – to już samo w sobie wyczyn, wymagający nie tylko cierpliwości, ale też sporych nakładów finansowych. Do Namibii, Republiki Południowej Afryki czy Indonezji trzeba dolecieć, potem wydać niemałe pieniądze na wstęp do prywatnego czy publicznego parku narodowego i na zakwaterowanie tam. I czekać, bo choć nosorożca wytropić relatywnie łatwo (w porównaniu z np. lampartem), to nikt takiemu turyście nie zagwarantuje, że zwierzę stanie na jego drodze. W końcu na świecie zostało raptem niecałe 27 tys. nosorożców, jedna dwudziesta populacji z początku XX w. W Afryce – mniej więcej 22 tys., z czego 16 tys. to powszechniej występujące nosorożce czarne. Białych, bardziej zagrożonych, jest nieco ponad 6 tys.

O ile żywy nosorożec sam w sobie jest rzadkim widokiem, o tyle nosorożec żywy, wolny i wciąż mający róg stanowi coś na kształt Świętego Graala obserwatorów dzikiej przyrody. Zdecydowana większość osobników żyjących nawet w parkach narodowych pozbawiona jest rogów. To zabieg prewencyjny, wykonywany przez strażników i ekologów. Nosorożce bez rogów są znacznie mniej atrakcyjnym (chociaż niestety nadal popularnym) celem dla mafii kłusowniczych i łowców trofeów. Te, które róg zachowały, stają się obiektem rywalizacji syndykatów kryminalnych, bo nawet jedno takie ustrzelone zwierzę może ustawić kłusownika na kilkanaście miesięcy.

Wszystko przez chciwość

– Nie mogę ci powiedzieć, ile mamy u nas sztuk. Chyba sam rozumiesz dlaczego – tak na pytanie o wielkość populacji nosorożców odpowiada Dijba, mój przewodnik w Blue Canyon Reserve, prywatnym parku ochrony zwierząt na północnym wschodzie RPA, tuż przy granicy ze słynnym Parkiem Narodowym Krugera. Tutaj akurat o spotkanie z nosorożcem nietrudno, czasami w ciągu dnia podchodzą nawet pod bungalowy dla turystów. Często widać je w grupach, nie za bardzo boją się też specjalnych, przerobionych na potrzeby zwiedzających 12-osobowych jeepów. Wszystkie jednak pozbawione są rogów. Kłusownictwo to tutaj prawdziwa plaga, choć na pytanie o jego przyczyny praktycznie każdy z kilkunastu moich rozmówców da mi inną odpowiedź.

Jedni mówią o słabym rozwoju gospodarczym regionu Limpopo czy w ogóle większości RPA lub nawet całego kontynentu afrykańskiego. Brak szans na legalny zarobek sprawia, że miejscowi często zwracają się

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 66d62a834a

ku nielegalnym źródłom przychodu. Drudzy, jak Jana Meyer, była strażniczka z Parku Krugera, dziś prowadząca własną firmę oferującą loty helikopterem nad kanionem, ale też lokalizująca kłusowników, uważają, że to nie kwestia gospodarcza. Limpopo, a zwłaszcza Hoedspruit, kilkutysięczne miasteczko obok Blue Canyon Reserve, szybko się urbanizuje, rozrasta się zwłaszcza rolnictwo przemysłowe. Każdy, kto chce, znajdzie tu pracę bez problemu, twierdzi Jana. Według niej kłusownictwo napędzane jest chciwością. Bo wprawdzie o legalny zarobek łatwo, ale pieniądze oferowane za trofea na czarnym rynku są tak ogromne, że dla wielu tutaj wręcz trudne do wyobrażenia.

Róg małego nosorożca osiąga cenę do 100 tys. dol. Większe potrafią przebić pół miliona. Ten kawałek zwierzęcego ciała kosztuje więcej niż kokaina! Odbiorcy znajdują się wprawdzie na całym świecie, ale ci, którzy kupują rogi dla efektu, żeby powiesić je w swoim salonie, to niewielki procent wszystkich nabywców. Zdecydowana większość towaru trafia na rynki azjatyckie, głównie do Chin i Wietnamu.

Róg nosorożca jest popularny z dwóch powodów: medycznych i społecznych. Używa się go jako uniwersalne remedium na dosłownie wszystko, od raka po problemy z erekcją i popędem seksualnym. Co jest o tyle dziwne, że róg nosorożca składa się wyłącznie z keratyny. Czyli dokładnie tej samej substancji chemicznej, która tworzy ludzkie włosy czy paznokcie. Gdyby potrafiła ona leczyć raka albo chociaż była cenna w suplementacji, można by śmiało postawić tezę, że mniej osób na świecie umierałoby na nowotwory. Nauka, przynajmniej ta zachodnia, doskonale więc wie, że sproszkowany róg nie ma żadnej wartości medycznej, jednak tradycyjna medycyna azjatycka ma na ten temat inne zdanie.

– Nie zmienisz tego. Próbować im wytłumaczyć, że keratyna cię nie wyleczy, to jakby próbować mnie, kobiecie wierzącej, wytłumaczyć, że Bóg nie istnieje – rozkłada ręce Jana Meyer.

Siedzimy w hangarze jej firmy, popijając mrożoną kawę. W Europie trwa zima, tutaj środek lata, chowamy się więc przed upalnym słońcem. Tymczasem Jana kontynuuje żonglerkę statystykami. Jak wielu jest tu kłusowników, jak mało nosorożców, jak bardzo panoszą się w Afryce chińskie syndykaty kryminalne, często jej zdaniem operujące pod płaszczykiem oficjalnych chińskich inwestycji czy projektów prowadzonych z państwowym namaszczeniem. Wreszcie podaje liczbę, która jest szokująca dla laików takich jak ja. Tysiąc – tyle jest jeszcze nosorożców w całym Parku Narodowym Krugera. A to przecież obszar wielkości Belgii lub Izraela.

Iluzję leczniczego zastosowania sproszkowanego rogu nosorożca równie trudno rozbroić jak funkcję społeczną takiego trofeum. Jana szybko wyprowadza mnie z błędu, gdy pytam, czy jakaś kampania informacyjna w Azji Południowo-Wschodniej nie ograniczyłaby handlu trofeami. – One mają funkcję klasową. Są wyznacznikami statusu, pokazują, że masz nie tylko pieniądze, ale i dostęp do ekskluzywnych dóbr. A ponieważ tamtejsze społeczeństwa są wciąż bardzo hierarchiczne, prestiż jest tam ważny. To zjawisko byłoby jeszcze trudniej wykorzenić niż ich zabobony o leczeniu raka czy zapalenia płuc.

Róg małego nosorożca osiąga cenę do 100 tys. dol.

Odbiorcy są na całym świecie, ale zdecydowana większość rogów trafia na rynki azjatyckie, głównie do Chin i Wietnamu.

Przestępczość zglobalizowana

Problem kłusownictwa i handlu trofeami nie ogranicza się do nosorożców. Równie cenne są gepardy, z powodu walorów estetycznych ich skóry. Tu jednak sprawa nieco się komplikuje, bo wytropić geparda jest nieporównywalnie trudniej niż nosorożca. Dijba, który z tropienia dzikich zwierząt ma coś na kształt magisterki, właściwie za każdym razem bezradnie rozkłada ręce, gdy pytam o tego kota. Ostatecznie go znajduje; zajęło mu to pięć dni. Do bliskiego spotkania z gepardem dochodzi dopiero za jedenastym podejściem.

Handel zagrożonymi gatunkami jest jedną z najbardziej szkodliwych gałęzi zglobalizowanej międzynarodowej przestępczości. I choć w ostatnich latach zarówno szlaki przemytnicze, jak i metody działania przestępców pod wieloma względami, np. w produkcji i przemycie narkotyków, wyraźnie się zmieniły, to akurat jeśli chodzi o kłusownictwo, wszystko zostało po staremu. Towar nadal pozyskuje się w krajach o słabo rozwiniętych instytucjach, wysokim współczynniku korupcji i niskich wskaźnikach rozwoju gospodarczego, odbiorcy zaś znajdują się na bogatym Zachodzie, ewentualnie wśród elit krajów rozwijających się (przy czym jest to termin umowny i dość mocno zaburzający perspektywę).

Dobrze ilustrują to ustalenia zawarte w raporcie fundacji Humane Society International, której działacze opisali konwencję myśliwską zorganizowaną w dniach 22-25 lutego br. w Nashville w stanie Tennessee. Uczestnicząc w niej incognito jako potencjalni zainteresowani usługami komercyjnych polowań, drobiazgowo opisali, jak w tej chwili wygląda ten rynek. A było z czego wybierać, bo w Nashville wystawiało się ponad 850 firm ze 140 krajów. Oprócz tych z RPA czy Namibii byli tam przedsiębiorcy z Kanady, Nowej Zelandii bądź niektórych krajów europejskich. HSI szacuje, że ogólny zysk ze sprzedanych tam wycieczek na komercyjne polowania wyniósł ponad 6 mln dol.

Organizator konwencji, Safari Club International, to nie tylko podmiot umożliwiający polowania na dzikie zwierzęta, w tym gatunki chronione, ale też potężny lobbysta w skali globalnej, próbujący sukcesywnie odwracać legislację związaną

eprasa.pl 66d62a834a

z poszerzaniem obszarów, na których obowiązuje zakaz polowań. Jak wynika z raportu HSI, niektórzy operatorzy wyjazdów myśliwskich niespecjalnie nawet się ukrywali z półlegalnością albo wręcz nielegalnością swojej oferty. Jeden zachęcał do polowania na białego nosorożca, bo „niedługo może być za późno, gdyż wszystkie wyginą".

Trzeba oczywiście doprecyzować, że nie zawsze polowania te noszą znamiona kłusownictwa, bo często nie odbywają się wcale w parkach. W „pakiecie", który mógł kosztować nawet 150 tys. dol., chętni kupują nie tylko szansę na strzał do nosorożca, lwa, żyrafy czy hipopotama, ale również inne zwierzęta używane jako przynęta. Często zabija się je lub rani, potem porzuca, żeby zwabić większe drapieżniki, które wychodzą ze stref chronionych na obszary ogólnodostępne. Wtedy ciężar wykroczenia jest znacznie mniejszy, trudniej udowodnić winę kłusownika, jeśli w ogóle uda się go namierzyć i przypisać winę za śmierć zwierzęcia.

Polowanie z dronem

Przy analizie danych z raportu HSI warto też się pochylić nad kwestiami finansowymi, bo w kontekście polowań nie są one bez znaczenia. Wysoka cena nie jest podyktowana wyłącznie dystansem między USA i Afryką czy Azją, ewentualnie poziomem luksusu danego wyjazdu. To przede wszystkim kontrola ryzyka związanego z polowaniami. Trzeba bowiem opłacić tropicieli, ale także, w bardzo wielu przypadkach, skorumpować strażników w parkach narodowych czy celników, którzy muszą przecież zezwolić na wywóz trofeów, w większości krajów teoretycznie nielegalny.

bardzo nie hałasują, więc ich nie spłoszą. Do tego dochodzą noktowizory, strzelby półautomatyczne, tony amunicji – nie dla zwierząt, ale na wypadek spotkania z akurat tymi strażnikami, których skorumpować się nie dało. Czasami ich patrole wspomagane są regularnym wojskiem, nie tylko lokalnym. Tak jest chociażby w Malawi, gdzie zadania ochrony niektórych zagrożonych gatunków podejmują się brytyjscy żołnierze i komandosi. Częściej jednak niedofinansowane i przeżarte korupcją

Kłusownicy do tropienia, wabienia i zabijania zwierząt stosują sprzęt podobny do używanego w działaniach wojennych.

Proceder ten dobrze opisał Peter Hain, członek brytyjskiej Izby Lordów, jeden z najbardziej zasłużonych aktywistów działających przeciwko apartheidowi i polityce segregacji rasowej w RPA. W latach 70. i 80. był jednym z architektów społecznego sprzeciwu na Wyspach wobec reżimu w Pretorii; organizował m.in. bojkot tamtejszych reprezentacji rugby i krykieta. Po transformacji ustrojowej w RPA zajął się pisaniem książek – fabularnych, chociaż mocno osadzonych w rzeczywistości. W dwóch, poświęconych przestępczości zorganizowanej w branży polowań na słonie i nosorożce, zwraca przede wszystkim uwagę na wysoki poziom korupcji w administracji państwowej i służbach mundurowych, przez co polowania na zagrożone gatunki są jeszcze w ogóle w Afryce możliwe. Hain pisze też jednak o innym aspekcie tego przemysłu, często ignorowanym przez zachodnie media – coraz bardziej wyspecjalizowanej technologii używanej przez kłusowników, którzy do tropienia, wabienia i zabijania zwierząt stosują już maszynerię zbliżoną do tej używanej w regularnych działaniach wojennych.

Normą przy polowaniach, zwłaszcza nie w pełni legalnych, jest użycie dronów. W buszu mają zasadniczą przewagę, bo nie zostawiają śladów, a doskonale spisują się w tropieniu i lokalizowaniu zwierząt. Te droższe, bardziej zaawansowane, nawet tak służby są skazane na donkiszoterię w starciu z doskonale wyposażonymi myśliwymi, otoczonymi dziesiątkami lokalnych „fixerów", dzięki którym mogą swobodnie się poruszać po terenach łownych.

– To już coraz bardziej przypomina wojnę – mówi mi Jana, dopijając kawę i pokazując na telefonie zdjęcia z niektórych przelotów, które robiła w ramach zwalczania kłusownictwa.

Jako jedna z niewielu osób w RPA ma licencję na latanie w nocy. Jeśli wtedy zlokalizuje kogoś na dole, jest to niemal pewne spotkanie z kryminalistami. Stanowi zespół z mężem, który z kłusownikami walczy na ziemi, ona jest jego oczami kilkaset metrów nad ziemią. Zdjęcia, które przeglądamy, ukazują wszystkie aspekty jej pracy, od uratowanych słoni, z których wyciąga naboje usypiające, po ślady strzałów na jej prywatnej kamizelce kuloodpornej.

Tu, w RPA, walka o ochronę zagrożonych gatunków jest już autentyczną wojną, a z tego, co usłyszę, w innych krajach na kontynencie jest jeszcze gorzej. Można i trzeba oczywiście z tym zjawiskiem walczyć w miejscu pochodzenia zwierząt. Nie byłoby jednak popytu na trofea, gdyby nie bogaci odbiorcy na Zachodzie. Jeżeli ich się nie powstrzyma, nosorożców, gepardów czy lwów ocalić się nie da.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 66d62a834a

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Dni świrów

Teflon to kamień filozoficzny, nad którego składnikami głowią się w paranaukowych lamentacjach analitycy rodzimej sceny politycznej. A przecież tajemnicę teflonowości PiS zdiagnozował już Marek Koterski w genialnej i okrutnej prostocie wieczornego pacierza z finału „Dnia świra". W arcypolskim filmie wszech czasów, powstałym, kiedy dzisiejsza partia władzy była dopiero na etapie kongresów założycielskich, rozlega się ekstatyczne bluźnierstwo: „Modlitwę moją zanoszę Bogu Ojcu i Synowi: dopierdolcie sąsiadowi! Dla siebie o nic nie wnoszę, tylko mu dosrajcie proszę". To nasz nieoficjalny hymn narodowy, odwiecznie żywy, aktualny, zrozumiały i dotykający najczulszych strun duszy.

Potęga kaczyzmu wyrosła na resentymencie i zawiści, wyborca PiS nie został wyhodowany na liberalnych ideałach zaradności i przedsiębiorczości, on nie chce pokonać drogi od pucybuta do milionera, on woli się przyglądać, jak inni przechodzą tę drogę w odwrotnym kierunku. Kaczyzm wyrósł na pańszczyźnianych kompleksach ludu, podprogowy przekaz tej partii od lat niezmiennie pielęgnuje nadrzędne pragnienie zemsty – wyzwolony chłop w pałacu nigdy nie będzie się czuł swojo, nawet jeśli przywdzieje pański żupan, niepotrzebny mu aksamitny kołpak, nic go tak nie ogrzeje jak żar płonącego dworku.

Liberałowie od ośmiu lat biją się w piersi, jęcząc, że „byli głupi", ale nie wybłagają w ten sposób litości. Jak sierp i młot oznaczały sojusz robotniczo-chłopski, tak teraz widły i różańcowy kastet powinny być w godle jako insygnia restytucji rzeczypospolitej ludowej. PiS wygrało dwie kadencje na antyelitaryzmie, a teraz samo jest elitą i też wygra. Dlatego, że nie tylko nie stara się tego ukryć, ale wręcz obscenicznie celebruje wszystkie negatywne cechy zdeprawowanej władzy, stało się nową magnaterią, przekraczając wszelkie progi bezczelności, mówi wprost: jesteśmy źli, chciwi, prymitywni, czyli dokładnie tacy jak wy, dlatego musimy trzymać się razem.

W zastygłym poparciu PiS dokonuje się jakaś piekielna apoteoza negatywności – to już nie słynne „kradną, ale się dzielą", teraz wystarczy, że kradną. Bogaty zawsze więcej straci, cudza krzywda jest większą rozkoszą niż własny sukces, dlatego lepiej stracić z Kaczyńskim, niż zyskać z Tuskiem.

Zamiast lamentować nad teflonowością PiS, trzeba było wypracować własną, utwardzać własny elektorat. Opozycja nie przejmie władzy, dopóki jej elektorat będzie rozpieszczony i elastyczny; w kryzysie do sklepu idzie się po ser, a nie godzinami zastanawia nad tym, czy wybrać goudę, cheddar, czy może bezglutenowy ementaler. Brak porozumienia partii opozycyjnych co do stworzenia wspólnej listy dowodzi ich infantylności. Najwyraźniej politycy nie rozumieją, że nie będzie już wyborów, bo nie ma wyboru. To już nie jest etap licytowania się na programy i obietnice, nikt ich nie będzie czytał ani słuchał, liczy się wyłącznie trybalistyczny imperatyw: nasi muszą się utrzymać przy władzy, to kwestia życia i śmierci. Jak wśród fanatycznych kibiców – żaden szalikowiec Polonii nie przywdzieje przecież barw Legii jedynie dlatego, że jest bogatsza, występuje w wyższej lidze i obiektywnie gra lepszą piłkę. Oddanie głosu na obce plemię jest zdradą, bez względu na to, kto obiektywnie jest „dobrakiem". Nikt już nie będzie się zastanawiał nad tym, co jest lepsze dla kraju, nie liczy się kraj, tylko podział – Polska nie musi być silna i bogata, najważniejsze, żeby była Nasza.

Nikt nie będzie się zastanawiał, co jest lepsze dla kraju, nie liczy się kraj, tylko podział – Polska nie musi być silna i bogata, najważniejsze, żeby była Nasza.

Dlatego co do joty zgadzam się z diagnozami politologów, którzy zwiastują, że jesienią w Polsce nie odbędą się żadne wybory, lecz plebiscyt. Nadchodzą dni świrów. Za miedzą krwawa wojna, kremlowski satrapa wymachuje atomówką, u nas inflacja rozpędza się do galopu, w ludziach buzują skrajne emocje, przeto coraz więcej marzy już tylko o wisielczej ekstazie: skoro i tak wszystkich nas nieuchronnie ma trafić szlag, niech w tej ostatniej chwili rządzą Nasi. Zanim wszyscy skończymy w ciężkiej zupie, Polak wznosi przedwyborcze modły „do Boga, Marii i Syna: zniszczcie tego skurwysyna. Mego brata, sąsiada, tego wroga, tego gada". ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 66d62a834a

Tanji to miejscowość na zachodnim wybrzeżu Gambii. Wszystko, co tu się dzieje, związane jest z oceanem. Na plażę, zwaną Rajskim Zakątkiem, przypływają łódki rybaków, którzy właśnie skończyli połów. Tu odbywa się rozładunek i czyszczenie ryb, a obok jest targ, na którym kwitnie handel nie tylko rybami, ale też np. muszlami czy ręcznie wykonaną przez kobiety biżuterią. Mimo biedy, braku pracy i małych zarobków ludzie są tu uśmiechnięci, życzliwi i uprzejmi. A to sprawia, że do Tanji chce się wracać.

Tekst i zdjęcia Anna Panas

W Rajskim Zakątku Gambii

eprasa.pl 66d62a834a

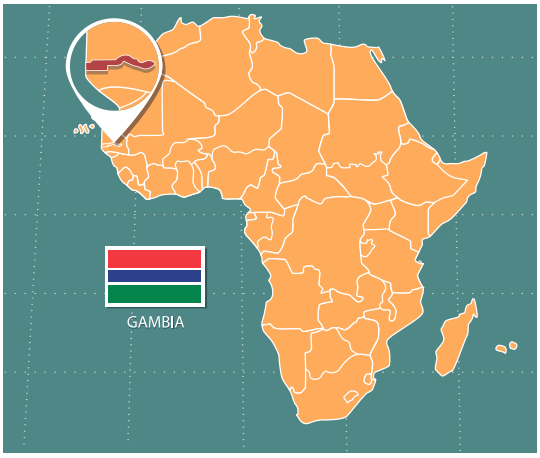

FOT. ANNA PANAS, WWW.GRZEGORZ WILCZEWSKI.PL.

eprasa.pl 66d62a834a

Łukasz Skop

Potencjał bratka

Płatki swój intensywny kolor zawdzięczają komórkom wypełnionym skoncentrowanymi barwnikami

Do opustoszałych doniczek, na rozmarzające grządki i budzące się do życia rabatki zawitała nareszcie wiosna. Jest wszędzie: unosi się w powietrzu ze słodkim zapachem hiacyntów, wypełza spod ziemi, zostawiając za sobą kretowiska, chlupie w oczku wodnym rozbawiona rubasznym przekomarzaniem się żab. Budzi rośliny, zwierzęta i ostatnich ogrodników malkontentów, hojnie dodając energii i barw tam, gdzie jeszcze do niedawna zalegała zimowa szaruga.

Wraz z masowym rozkwitaniem stokrotek, niezapominajek i bratków kwiatowy sezon zaczyna się na dobre. Te ostatnie ciągle zaskakują coraz to nowymi odmianami o ogromnych kwiatach w niekończących się barwnych kombinacjach. Jednokolorowe urzekają prostotą i elegancją, niektóre wyglądem przypominają uśmiechnięte, wesołe twarze, a inne, te najbardziej pstrokate i fryzowane, zdają się tańczyć flamenco.

Bratki mają ciekawą historię. Wywodzą się od fiołków i ślad po tym można odnaleźć chociażby w podobieństwie kształtu kwiatów bratków do dzikich fiołków. Wszystkie bratki są zatem fiołkami, lecz nie wszystkie fiołki to bratki. Bratek wielkokwiatowy (*Viola × wittrockiana*) jest najłatwiejszy do rozpoznania: to ten o ogromnych kwiatach, który kwitnie dzielnie mimo największej niepogody, ma fantastycznie intensywne kolory i zawsze można na nim polegać. Klasyczne bratki wielkokwiatowe mają cztery płatki skierowane ku górze (również dwa boczne płatki są zadarte do góry), a tylko jeden płatek opada w dół. Pozostałe bratki to właściwie już typowe fiołki: u nich dwa płatki boczne są skierowane lekko w dół, razem z największym płatkiem dolnym, tak jak u fiołków. Te drobne niuanse wcale nie pomagają w rozróżnieniu bratków od fiołków, tym bardziej że istnieją jeszcze tak zwane bratki miniaturowe, będące sporo mniejszymi wersjami tych wielkokwiatowych, i przyjęło się nazywać je właśnie bratkami miniaturowymi lub drobnokwiatowymi, tymczasem są to odmiany ozdobne fiołka rogatego (*Viola cornuta*) i jego krzyżówki.

W porównaniu ze swoimi wystrojonymi, wielkokwiatowymi krewniakami bratki miniaturowe o licznych, lecz drobnych kwiatach są prawdziwymi kopciuszkami. Zresztą w niektórych rejonach Polski wciąż jeszcze nazywa się bratki „macochami" lub „macoszkami". Dolny, największy i zwykle najbardziej kolorowy płatek porównuje się do wystrojonej macochy, boczne płatki, niewiele ustępujące mu urodą, to złe siostry, a najmniej zdobne płatki górne to właśnie bajkowy Kopciuszek. W opowieści braci Grimm Kopciuszek najpierw oczarowuje księcia, a później skrywa przed nim swoją tajemnicę. Miniaturowe bratki też nie od razu odsłaniają swoje sekrety, ale gdy już to zrobią, potrafią zaskoczyć pewną niezwykłą właściwością, którą tylko one mogą się pochwalić. Wyróżniają się tym nie tylko wśród innych bratków, ale także spośród wszystkich innych kwiatów.

Ich delikatne, aksamitne w dotyku płatki swój intensywny kolor zawdzięczają komórkom wypełnionym skoncentrowanymi barwnikami. Możesz się nimi cieszyć, po prostu obsadzając bratkami skrzynki i doniczki na powitanie wiosny, lecz możesz też zatrzymać ich urok na dłużej. Zerwij kilka świeżo rozwiniętych kwiatów bratków miniaturowych i rozłóż ich płatki płasko na chłonnym papierze – najlepiej czerpanym – lub na bawełnianej tkaninie. Nakryj płatki przezroczystą sztywną folią i zaokrąglonym trzonkiem dowolnego przedmiotu przesuwaj po folii. Pigmenty barwiące płatki wsiąkną w papier, a kwiat odbije się na nim dokładnie tak, jak został ułożony.

Technika odbijania roślin na papierze, lecz przede wszystkim na tkaninach, została rozwinięta w 2006 r. przez artystkę Indię Flint i nazwana Hapa Zome. Przez cztery dni odciskała rośliny na tkaninie o wymiarach 6 na 6 m na podłodze Green Room w Yamaguchi Center for Performing Arts w Japonii. Japońska nazwa Hapa Zome („barwienie liśćmi") przyjęła się i utrwaliła, chociaż jak twierdzi sama artystka, ludzie odbijali roślinne wzory na tekstyliach

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 66d62a834a

prawdopodobnie od stuleci. Ta wspaniała technika sprawdza się z wykorzystaniem tkaniny, młotka i różnych roślin, lecz tylko bratki miniaturowe tak doskonale wsiąkają w papier już przy lekkim nacisku. Możesz stworzyć w ten sposób niepowtarzalne kwiatowe motywy, którymi ozdobisz np. papeterię, zaproszenia i kartki na różne okazje.

Technikę utrwalania kwiatów na papierze lub tkaninach możesz też wypróbować z typowymi fiołkami.

Wszystkie bratki są zatem fiołkami, lecz nie wszystkie fiołki to bratki.

Tym najbardziej znanym jest z pewnością fiołek wonny (*Viola odorata*) o niezrównanym zapachu i ciemnofioletowych kwiatach. Po wielu latach prób udało mi się go wprowadzić do własnego ogrodu. Najlepiej radzi sobie pod ligustrowym żywopłotem, gdzie nie dosięgają go grabie ani nie ma już miejsca na żadną inną roślinę. Do towarzystwa dałem mu za to fantastyczną ciekawostkę: odkrytą przypadkiem odmianę *Sulphurea* o bladobrzoskwiniowych kwiatach z fioletowymi nasadami, która ma równie intensywny zapach. Fiołki wonne są roślinami wieloletnimi, rozrastającymi się przez rozłogi i rozsiewanie nasion, a ja z radością obserwuję, jak z roku na rok jest ich u mnie coraz więcej.

Potencjał tkwiący w niepozornych, malutkich bratkach jest ogromny. Wszędzie tam, gdzie się pojawią, ubarwią otoczenie plamami radosnych kolorów, od wczesnej wiosny aż do początku lata stopniowo uwalniając esencję barw skoncentrowanych w ich kwiatach. Rzadko dzielą się sekretem, jak to robią, ale przede mną puściły farbę – ciągle mam na to dowód w postaci bratkowych pieczątek.

Zejdź na ziemię

Czy wiosna bez bratków może być prawdziwą wiosną? Podobno może, lecz ja do tej pory się o tym nie przekonałem. Co roku powtarzam sobie, że dość już tych pospolitych bratków, a później kończę, obsadzając nimi każdą wolną jeszcze skrzynkę i doniczkę, i codziennie sprawdzam, ile nowych kwiatów pojawiło się na każdym krzaczku. To się nazywa obsesja i nie jestem przekonany, czy powinno się z nią coś robić. Zamiast tego lepiej zająć się tym całym bratkowym towarzystwem jak należy. Bratki wielkokwiatowe i drobnokwiatowe lubią zwracać swoje twarzyczki w stronę słońca. Kiedy przekwitają, natychmiast obrywam wszystkie stare kwiaty razem z łodygami, aby nie zawiązały się nasiona. Dzięki temu rośliny wyglądają elegancko i dłużej kwitną. Początkowo, kiedy kwiatów na każdej roślinie jest jeszcze niewiele, robię to ze zdecydowanie większym entuzjazmem niż pod koniec wiosny, gdy każdy egzemplarz ma już setki kwiatów na różnym etapie rozwoju i zajęcie się wszystkimi pochłonęłoby zdecydowanie zbyt dużo czasu.

Bratki kwitną od przedwiośnia (a czasem jeszcze od jesieni poprzedniego roku) do początków kalendarzowego lata. Pod koniec czerwca zastępują je już typowo letnie kwiaty rabatowe. Najładniej prezentują się wiosną, ponieważ ich łodygi wciąż są krótkie, krępe i gęste. Rozwijają się, kiedy jest jeszcze naprawdę chłodno, w słoneczne dni, które zachęcają kwiaty do rozwoju. Wraz z wydłużaniem się dnia łodygi bratków wyciągają się, płowieją i żółkną, a kwiaty są coraz mniejsze i otwierają się z mniejszą energią. Nadejście lata zdecydowanie wyciąga z nich ostatnie siły. Wszystko to jest dla bratków zupełnie naturalne, ponieważ kończą w tym czasie swój cykl życiowy. Z nieoberwanych kwiatów tworzą się drobne brązowe nasiona, które niepostrzeżenie rozsiewają się wokoło. Latem kiełkują i do jesieni zamieniają się w małe bratkowe sadzonki, które następnie zimują i zakwitają następnej wiosny. Te siewki, którym się poszczęści, zakwitną jeszcze przed nadejściem zimy. W ten sposób zamyka się dwuletni cykl życiowy bratków.

Nadejście lata zdecydowanie wyciąga z bratków ostatnie siły, kończą wtedy swój cykl życiowy.

Razem raźniej

Bratki lubią towarzystwo stokrotek i niezapominajek, które również są roślinami dwuletnimi i kwitną dokładnie w tym samym czasie. Są to łatwe w uprawie i wdzięczne kwiaty, które mają tyle przeróżnych kolorów, że można je dopasować do wielu innych roślin – tym bardziej że mają niewielkie wymagania. Zauważyłem, że lepiej rosną i kwitną, jeśli nie mają zbyt gorąco. Upalna majówka spędzona w skrzynce ustawionej na gorącym parapecie nie jest wymarzonym przez bratki sposobem spędzania długiego weekendu.

Mów łaciną

Język polski nie pomaga w ustaleniu, które kwiaty z rodzaju *Viola* są fiołkami, a które bratkami – tym bardziej że *Viola* automatycznie wskazuje na coś fioletowego, fiołkowego, tymczasem bratki ogrodowe również należą do rodzaju *Viola*. Słowo to pojawia się już u Wergiliusza i Pliniusza Starszego i jest zlatynizowaną zdrobniałą formą greckiego *íon* (pierwotnie *víon*), wiążącego się z imieniem mitycznej Io, kochanki Zeusa. *Viola* po łacinie oznacza też po prostu kolor fioletowy, który tak często występuje zarówno u bratków, jak i u fiołków. Nazwa gatunkowa × *wittrockiana* wywodzi się od nazwiska szwedzkiego botanika, Veita Brechera Wittrocka (1839-1914), prowadzącego badania m.in. nad rodzajem *Viola*. Bratek ogrodowy (*Viola* × *wittrockiana*) jest krzyżówką powstałą ze zmieszania genów fiołka trójbarwnego (*V. tricolor*), fiołka żółtego (*V. lutea*) i fiołka ałtajskiego (*V. altaica*).

Fragmenty książki Łukasza Skopa *Kwiaty bez ogródek. Jak dbać o rośliny przez cały rok*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2023

eprasa.pl 66d62a834a

JOLKA

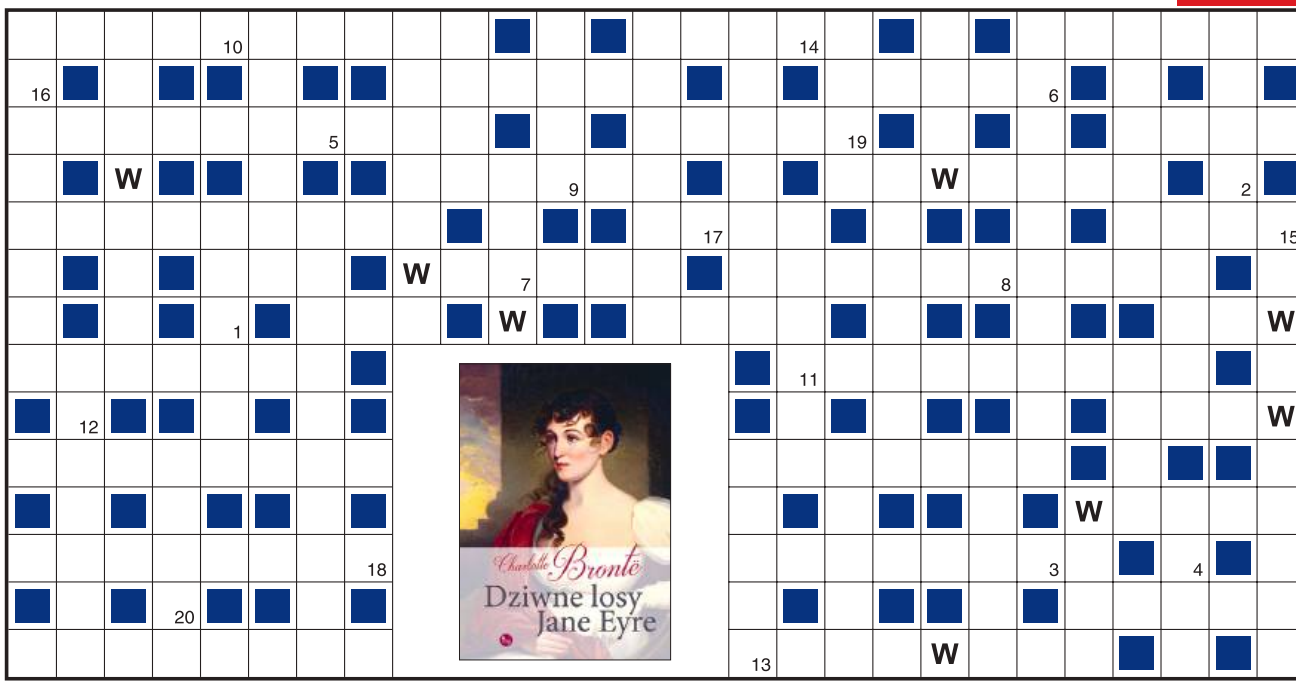

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery W ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 20 utworzą końcowe hasło.

- ojciec Kaina i Abla
- gryzoń z Ameryki Środkowej i Południowej
- …na oczach to zaślepienie
- brak go w stroju topless
- długi szal z piór
- śmieszka, figlarka
- niszczy mienie i wdaje się w bójki
- prasy lub między wierszami
- …nad dziwy – osobliwość
- jednostka pracy i energii
- pomieszanie z poplątaniem
- miasto w Egipcie lub komik Abelard
- jeździectwo
- jest obiektem podziwu graniczącego z kultem
- imię Świątek
- wypadek, kataklizm, klęska
- kurtyzana, nierządnica
- i powóz, i Stasiek z „Kogla-mogla”
- obcy, ufoludek
- nakład pieniężny, cena
- filmowa, towarzyska lub kryminalna
- niewielkie tamowane wacikiem
- futrzany krawiec
- nocna lub koniaku
- najkrótszy miesiąc w roku
- pomost w morze
- księga dla księdza
- kapa na kanapę
- żyłka liścia
- „pomocnik” pamięci
- goryle w garniturach
- ciążą nim powieki zmęczonemu
- upowszechnianie wykształcenia
- wiertnicza lub widokowa
- gruby, wełniany koc
- zna się na łamaniu w kościach
- w koszyczku jabłuszko, w jabłuszku…
- uruchomienie urządzenia, zakładu
- cienka gałązka bez liści
- w jej północnej części przylądek Arkona
- kangurze kroki
- malec, szkrab
- nie doszła do Białej na pierogi
- obowiązek pracy na rzecz budowy dróg, mostów
- szybki okręt albo motocykl
- pudełeczko z tytoniem
- dwuosobowy zespół lub rower
- najwyższe pasmo w łańcuchu Karpat
- pajęczyca z „Pszczółki Mai”
- był nim Abelard i Joseph Ratzinger
- podobny do purchawki, trufli
- między duetem a kwartetem
- pod kanałem La Manche
- zsuwanie się ziemi, mas skalnych
- odcinek tekstu Biblii, Koranu
- lejce
- statek na dnie
- wołanie natury

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1112”. Do rozlosowania książki „Dziwne losy Jane Eyre” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 16 kwietnia 2023 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1109” z nr. 12: *Diabeł diabłem pozostanie.*
Nagrody otrzymują: Elżbieta Bącalska z Maszewa, Grzegorz Jóźwik z Legnicy, Adam Wnęk z Olsztyna.

eprasa.pl 66d62a834a

Klany nasze i wasze

Pisaliśmy tydzień temu o ministrze spraw zagranicznych, że jest jak wazon – postawili go i stoi. I się nie odzywa. Więc właśnie się odezwał. Na Twitterze mogliśmy zobaczyć, jak Zbigniew Rau czuwa przy pomniku Jana Pawła II w Łodzi, tym pomalowanym, i komentuje ów żałosny czyn: „Z perspektywy bezpieczeństwa państwa to po prostu dobrze zorganizowany element wojny hybrydowej. Chodzi o to, żeby podzielić społeczeństwo według najbardziej fundamentalnych linii polskiej tożsamości".

Tyle miał do powiedzenia, co czujny ormowiec. Nagłaśniał później te partyjne mądrości rzecznik MSZ Łukasz Jasina i pół ministerstwa bardzo mu współczuło. Bo wprawdzie to dobrze, gdy taki milczący minister się odzywa, ale szkoda, że nie na temat polityki zagranicznej.

Ech, może coś by powiedział na temat polityki kadrowej, którą firmuje? To byłaby ciekawa opowieść. Otóż rządząc MSZ, ludzie PiS cały czas szukali sposobności do personalnych czystek. W tym też celu przyjęta została ustawa o służbie zagranicznej. Bardzo zresztą za nią optowali Andrzej Papierz i jego poprzednik na stanowisku dyrektora generalnego Andrzej Jasionowski – obaj w czasach studenckich działacze NZS, a potem funkcjonariusze UOP. Chodziło o to, żeby zapisać w ustawie dwa punkty. Pierwszy – że można zwolnić bez jakichkolwiek problemów absolwentów MGIMO. I jest tak zapisane, choć w wielu punktach mętnie. Drugi – że odchodzi się z MSZ automatycznie wraz z ukończeniem 65. roku życia.

W ten sposób można było wyrzucić z MSZ wielką grupę dyplomatów z najwyższymi kwalifikacjami – znających wiele języków, doświadczonych… Zauważmy, że bariera 65 lat uderzała nie tylko w tych, którzy zaczynali karierę w PRL, ale przede wszystkim w tzw. nabór Geremka, czyli ludzi, którzy przyszli do MSZ w latach 90., najczęściej z uniwersytetów.

Chodziło więc o to, by wyrzucić obcych, a przyjąć swoich. A tych obcych przy okazji zohydzić. Co Jasionowski próbował robić, gdy był w Sejmie przesłuchiwany jako kandydat na ambasadora w Chorwacji. Mówił, że w MSZ występuje nepotyzm, i to od wielu lat, pracują tam całe klany rodzinne. To jest chore! – wołał. Dodawał, że trudno mówić o normalnych zasadach naboru w ministerstwie. – Nie będę wspominał, ile różnych osób dzwoni, żeby kogoś zatrudnić, i nie widzi w tym nic złego. Ja widzę – prężył się.

Życie przerosło kabaret. Pisaliśmy na tych łamach, jak z Indii specjalnym samolotem, wielkim boeingiem, ewakuowany został wraz z rodziną bratanek ministra PiS Krzysztofa Tchórzewskiego, bo był chory na covid. Pisaliśmy o córce europosła Krasnodębskiego, która została zastępcą ambasadora w Islandii ni stąd, ni zowąd. I o wielkiej karierze Moniki Sobczak, swego czasu asystentki Andrzeja Papierza, która z funkcji radnej PiS trafiła na posadę wicedyrektora Biura Spraw Osobowych, a teraz wyfrunęła na stanowisko konsula w Houston. Pisaliśmy też o Konstantym Radziwille, ministrze zdrowia w rządzie PiS, a potem wojewodzie mazowieckim, który wysłany został na ambasadora na Litwę. Ma lat 65, czyli emeryt…

Czy Jasionowski tego nie widzi? Ależ widzi i szeroko się uśmiecha. Bo wreszcie są to klany słuszne i właściwe.

Attaché

Rządowy punkt dystrybucji mąki w Peszawarze. Premier Pakistanu Szehbaz Sharif ogłosił, że podczas ramadanu zapewni darmową mąkę potrzebującym.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 66d62a834a

PENETRACJE

Monde diplomatique

PRZEMYSŁAW WIELGOSZ,
REDAKTOR NACZELNY

Trudno sobie dziś wyobrazić sojusz Waszyngtonu i Moskwy, ale w świetle celów ekipy Bidena nie jest to całkowita fantazja. Dość wspomnieć, jak się skończyło obsadzenie syryjskich Kurdów w roli „piechoty Zachodu" w walce z Organizacją Państwa Islamskiego. Chwilę po zwycięstwie Kurdowie zostali porzuceni w imię sojuszu z wspierającą dżihadystów (i zwalczającą kurdyjskie aspiracje) Turcją. Nie ma się co łudzić, że Stany nie porzucą Ukrainy (albo zmuszą ją do zawarcia niekorzystnego pokoju), gdy przyjdzie im ochota na „ważniejszy konflikt" z Pekinem.

odra

MAGDALENA BAJER,
DZIENNIKARKA

W roku 1970 eksperymentalny Trzeci Program Polskiego Radia rozszerzał swoją antenową ofertę, zatem i zwiększał liczbę redakcji, m.in. o publicystyczną. Dołączyłam do stacji w sierpniu tego roku. Przyjmował mnie do Redakcji Magazynów, największej w programie (nadawanej po pięć godzin na dobę), jej szef, Jan Mietkowski, człowiek z komunistyczną przeszłością, ale odznaczający się doskonałą znajomością radia i autentycznym umiłowaniem dla tego medium. Od pierwszej chwili wiedziałam, że znalazłam się w gronie osób ambitnych i świadomych swoich umiejętności oraz wiedzy o kulturze czy dobrego gustu. Były to silne indywidualności, bacznie obserwujące nowego członka redakcji. Po z górą roku zostałam kierownikiem tego zespołu, jako że dotychczasowy szef został korespondentem Polskiego Radia w Moskwie. Prezes Mietkowski zgodził się, żebym sprawowała tę funkcję, a jednocześnie nadal przygotowywała swoje audycje.

PANI

AGATA KULESZA,
AKTORKA

Lubię bure poranki. Kiedy mam wolne, nie muszę wcześnie wstawać na plan, mówię: „Ale super, Agata, w ogóle nic nie musisz". Idę się wykąpać, robię kawę i wracam do łóżka, żeby poczytać, pooglądać albo tylko pomyśleć. Ja w ogóle lubię nie musieć. Poczucie, że mogę wszystko, jest takie przyjemne! I lubię stan wolności, a dla mnie wolność jest czystym sumieniem. Dbam o nie. Staram się nie ranić innych, nie robić im przykrości, bo potem się z tym źle czuję. Myślę: „A jak mu się zrobiło przykro?". Wtedy dzwonię, wyjaśniam. Nie lubię mieć złogów.

na szczycie

MARTA KRZEPTOWSKA,
GOSPODYNI SCHRONISKA W DOLINIE PIĘCIU STAWÓW

Zdarzyło ci się zabłądzić?

– Tak, zimą, już całkiem blisko schroniska. Spowiła mnie nagle taka mgła, że zupełnie straciłam orientację. Nie wiedziałam, gdzie jestem, czy idę pod górę, czy po płaskim. Błędnik zaczął mi wariować, zrobiło mi się niedobrze. Myślałam, że to już koniec, czułam się nawet nie jak w mleku, lecz w mące, która otępia wszystkie zmysły. Widoczność była zerowa, trudno to sobie wyobrazić… Szczęśliwie trafiłam na brzeg stawu i dosłownie na czworaka szłam wzdłuż niego jak po nitce do kłębka. Nazajutrz, gdy zobaczyłam swoje ślady, to uwierzyć nie mogłam, że da się tak kluczyć.

FOT. KRAINA MUSZTARDĄ PŁYNĄCA (2), PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ, SEKCJA GIMNASTYCZNA

eprasa.pl 66d62a834a

BRAKUJĄCE LITERY

W każdym rzędzie wstaw po 6 liter, tak aby odczytać trzy hasła – rozwiązania.

POCWŁAKAMZTUĘ

ZASESTOEMRADY

SOWNICIEKSTUJ

ROZWIĄZANIA: POCHWAŁA KARMI SZTUKĘ, CZAS JEST OJCEM PRAWDY, SŁOWO NIC NIE KOSZTUJE

Aby język giętki…

ANDRZEJ SEWERYN O DOWCIPACH

Potrafię się śmiać z dowcipów, ale nie potrafię ich opowiadać. Czasem nawet te lepsze zapisuję, ale potem te notatki gdzieś mi giną.

KRZYSZTOF PIASECKI O CENZORACH

Często dostawałem zlecenia w stylu: „tego nie, tego nie, polityka nie, to nie, bo my nie wiemy, kto przyjdzie". Sami cenzorzy.

AGNIESZKA GRAFF O FEMINATYWACH

Lubię feminatywy, mam nawet cudną torbę z napisem: JĘZYK POLSKI SIĘ ODMIENIA i długą listą kobiecych nazw zawodów.

MAGDA LINETTE O PORAŻKACH

Jeśli wydaje się dużo pieniędzy na sport dziecka, a te pieniądze są ostatnimi, jakie się ma, presja jest tym większa.

JAN PESZEK O PORANKACH

Każdego dnia rano – zanim zaparzę imbir z kardamonem, który piję na odporność – muszę mieć 20 minut na ćwiczenia, żeby przygotować ciało.

KRZYSZTOF ZANUSSI O ŻONIE ELŻBIECIE

Pod względem charakterologicznym jest między nami pełna niezgodność. Żona jest choleryczką, a ja jestem flegmatykiem.

PIOTR POLK O PRZESZCZEPIE NERKI

Jak to jest, że facet dba o swój samochód bardziej niż o swoje zdrowie?

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Tomasz Borejza, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON**: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl 66d62a834a

1

2

Baśniowe Światy

Galeria Stalowa
Warszawa, ul Stalowa 26
od 15 kwietnia do 7 maja

3

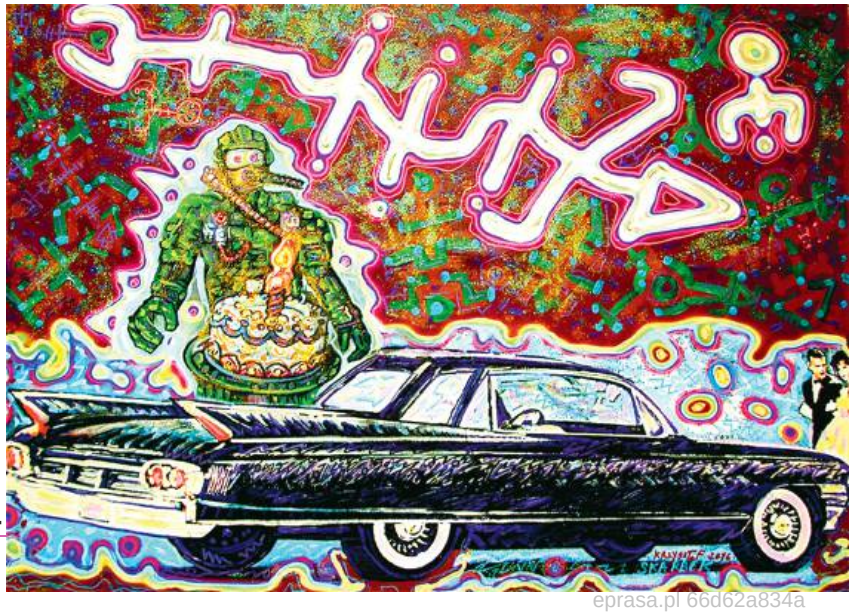

4

Galeria Stalowa zaprasza do Baśniowych Światów stworzonych przez dwóch wybitnych artystów z Wrocławia, Krzysztofa Skarbka i Piotra Saula. Obrazy tych barwnych postaci polskiej sztuki współczesnej nikogo nie pozostawią obojętnym i wprowadzą w moc nowego ekspresjonizmu, a jednocześnie zadumy nad światem – z wiarą, że jego najważniejszymi wartościami są miłość i przyjaźń.

1. Piotr Saul, Krasnal
2. Piotr Saul, Dino z dostawą
3. Piotr Saul, Jezus
4. Krzysztof Skarbek, z cyklu Obcy chcą być Dobrzy, Wojownik z tortem prosi o podwiezienie na urodziny

eprasa.pl 66d62a834a

WARSZAWA

13-23.04

eurazjafestiwal.com

FILM FESTIWAL

kino Luna

kino Atlantic

Najlepsze filmy świata premierowo w Polsce!

Finansowanie:

POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ

Organizatorzy:

FUNDACJA NOWA PRZESTRZEŃ

KINO LUNA

KINO Atlantic

eprasa.pl 66d62a834a

Golden Rooster Awards (China, Pekin) nagroda publiczności

HAIFA FILM FESTIVAL

Berlinale 72. Internationale Filmfestspiele Berlin Konkurs Główny

STÉPHANIE BLANCHOUD | VALERIA BRUNI TEDESCHI | ELLI SPAGNOLO

NIEBIESKA LINIA

REŻYSERIA URSULA MEIER

Czy wszystko można wybaczyć?

w kinach od 14 kwietnia

Schweizerische Eidgenossenschaft
Confédération suisse
Confederazione Svizzera
Confederaziun svizra

Swiss Confederation

Federal Department of Home Affairs FDHA
Federal Office of Culture FOC

SWISS FILMS

AURORA

eprasa.pl 66d62a834a